KI

NIKI







PAMIĘTNIKI
JANA DUKLANA OCHOCKIEGO.



PAMIĘTNIKI
JANA DUKLANA OCHOCKIEGO,

z pozostałych po nim rękopismów
przepisane i wydane

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Qui audiunt audita dicunt, qui vident
plene sciunt.

Plautus.

TOM PIERWSZY.



WILNO.
Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1857.

Drukować pozwolono, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj, liczby exemplarzy. Wilno dnia 5 Września 1856 roku.

Cenzor Radzca Stanu i Kawaler

A. Muchin.

Słówko od wydawcy.

Przez lat dwadzieścia kilka rękopism Ochockiego różne przechodząc koleje, dziś idzie pod sąd publiczny. Czytano go oddawna pożyczając od rodziny na Wołyniu, chodził po rękach obudzając ciekawość i żywe zajęcie, wreście posłużył cząstkowo jako materyał autorowi *Stolnikowicza Wołyńskiego*, a może i innym co się do tego niebardzo przyznać zechcą;—to wszystko jednak wcale go niewyczerpało, bo tu nad drobne szczegóły i rysy pojedyńcze ciekawszą i ważniejszą jest całość, typ człowieka niezmiernie charakterystyczny, obraz epoki skréślony ręką współczesną, aż do zbytku prawdomówną i szczérą, ale życia pełną.

Odczytawszy te pamiętniki, sądzimy że ogłoszenie ich, o ile możności całkowite i wierne, nie może być bez pożytku, sąd nasz w téj mierze zgadza się ze zdaniem wszystkich co je w ręku mieć mogli. Nic w nich dodać, nic zmienić nie mamy odwagi, dajemy je jak są, zaledwie gdzieniegdzie oczyściwszy z błędów kopijsty lub niepoprawności z pospiechu pochodzących, zachowując jak najpilniéj niestartą cechę epoki, która nam je przekazała. Co się tycze pojęcia faktów, sądów, przekonań, rozumowań, te, choć w wielu rzeczach jak to łatwo czytelnik dostrzeże, zgadzać się ze zdaniem naszém nie mogły— wieki nas dzielą!— przeinaczać je sądziliśmy występkiem przeciw dziejóm i przeszłości. Odjęłoby to barwę téj księdze, wielce w nią bogatéj i naiwnéj do podziwu w malowaniu scen i stron życia ludzkiego, jakichbyśmy dziś dotknąć nie śmieli. Skutek to poprawy naszéj moralnéj, czy hypokryzii wieku? nie wiem. Może potroszę, obojga.

Nie będziemy się tu rozszérzać nad ocenieniem pamiętników Ochockiego, sąd o nich zostawując czytelnikom i krytyce; bylibyśmy może stronni, ale w spuściźnie XVIII w. i lat następujących, nic równie charakterystycznego, tak odtwarzającego życie nasze, nie znajdujemy. W swoim rodzaju, *mutatis mutandis*, z różnicą XVII i XVIII wieku, to drugi pan Pasek; naiwnością, nieustępujący swemu protoplaście. Sądząc jednak o nim potrzeba mieć na względzie epokę w któréj żył, ludzi jakiemi z młodu był otoczony, wychowanie, okoliczności które nań wpływały, przykład, ducha wieku i wszystko co go czyniło takim jakim się nam tu z nieporównaną szczérotą przedstawia. Nieraz uśmiechnąć się tu przyjdzie, czasem oburzyć i dźwignąć ramionami, ale rzuciwszy książkę, pewien jestem, że każdy z czytelników lepiéj i jaśniéj znać będzie żywot przeszłéj, blizkiéj nas epoki, niżeli wprzód się go domyślał, odgadywał, lub z odgadywanych tworzył sobie obrazów.

To właśnie stanowi główną wartość pamiętników Ochockiego; malują w sposób nieporównany epokę.

Jedyną pracą naszą było, aby redagując pamiętniki, jak najmniéj ich dotykać, i jak najcalszemi zostawić: zdaje się żeśmy to spełnili z największą sumiennością. Nic tu niéma naszego, nic wciśnionego i do najmniejszéj też zasługi nie rościm sobie prawa; będąc tu tylko przepisywaczem i wydawcą. Z drugiéj strony uroczyście protestujemy, przeciw wszelkim do nas ściągać się mogącym, z powodu tych pamiętników, urazom osobistym i familijnym, których obudzić strzegliśmy się jak najmocniéj. Sąd o ludziach jest przekonaniem P. Ochockiego, dotykać go niegodziło się, ale odpowiadać zań nie możemy.

D. 22 Sierpnia 1855.
Żytomierz.

I.

Wstęp.

Skończyłem siedmdziesiąt sześć lat życia — kawał to czasu, kawał! a kto tyle przeżył, musiał i napatrzéć się wiele i doświadczyć nie mało i nie jedną przejść losu koleją i z wielą zetknąć się ludźmi, i ucierpieć i przyboleć i nauczyć się i zapamiętać.

Wyszedłem w świat szeroki, wypuszczony ze szkół, w ostatnim dwudziestoleciu osiemnastego wieku, i nie zamarłem wegetując niedołężnie w zakątku rodzinnym, jak się to wielu z naszéj braci szlachty trafiało; posunąłem się między ludzi, szczęśliwym trafem wpadłem w świetne towarzystwo

jednéj ze znakomitych choć smutnych epok dziejów naszych, otarłem się o ludzi wybranych, do dziś dnia pamiętnych rolą jaką odegrywali w téj chwili ciężkiéj i tylu następstwami brzemiennéj. Dziś to już daleka przeszłość, sen jakiś mglisty— osobiste nasze dzieje i widoki dobra powszechnego, czas uniósł na swoich skrzydłach, wspomnienie pozostałe obudza to rozrzewniające uczucie, to niezłagodzoną boleść. Dla czegożbym tym skarbem pamiątek, nie miał się z drugiemi podzielić?

Nie przedsiębiorę pisać historyi, czuję że to nad moje siły, podejmą się jéj ludzie którym Bóg dał i jenjusz i pracą zdobyte obszerne wiadomości—mnie skromniejszy udział pozostaje. Tamci wypowiedzą prawdę całą, dobędą z martwych przeszłość ziemi krwią braci naszych oblanéj—ja piszę tylko pamiętnik własnego życia, z pozostałych mi notat, z żywéj jeszcze i nie osłabłéj, dzięki Bogu, pamięci; odmaluję tę tylko część obrazu, którą mi się widzieć, w któréj mi się działać dostało.

Kocham tę przeszłość moją! może mnie do niéj wiąże urok jaki dla starych mają wspomnienia dzieciństwa i najdroższéj epoki życia nieodżałowa-

néj młodości; może ku niéj zwraca ta wiara nie wygasła, że lepiéj choć inaczéj było za dni naszych, których dzisiejszy postęp i cywilizacya ani zastąpić, ani pamiątki zatrzéć potrafią. Formy, zwyczaje, drobnostki nawet najmniejsze, dziś poniewierane i wyśmiane, wszystko co się do tamtych czasów odnosi, łzę rozczulenia wyprowadza z oka i miłem jakiemś uczuciem karmi serce. Nim przystąpię do opowiadania sięgającego ostatnich lat osiemnastego wieku, muszę wprzód nieco powiedzieć jakie za czasów moich dziecinnych były zwyczaje, obyczaje i życie społeczne pozostałe nam po sześćdziesięciokilkoletniém panowaniu dwóch Sasów. Częścią sam na to jeszcze patrzałem, w części wiadomość o tém doszła mnie od ojca mojego, który obyczajem wszystkich dzieci szlacheckich i synów obywatelskich, był naprzód pokojowcem, potém dworzaninem, nareście marszałkiem dworu u hetmana Sosnowskiego. Za Augusta III jeszcze został on cześnikiem mozyrskim, póżniéj z tym już tytułem podpisał dyplom elekcyi króla Stanisława Augusta, jako urzędnik i deputowany z województwa Lubelskiego, z ziemi Łukowskiéj, gdzie ojciec i dziad mój mieli dziedziczną

wieś Ryszki—(Stanisław Józef z Ryszek Ochocki Cześnik Mozyrski). Jak wielu innych, i nas koleje losu przeniosły z rodzinnego kąta na Wołyń, gdzieśmy się stale osiedlili, zachowując tylko pamięć naszego szlacheckiego pochodzenia.



II.

Wychowanie XVIII wieku.

Nie wiem jak tam wychowywano dzieci po pałacach i w stolicy, ale u nas na wsi, jedna i niezmienna była rutyna i metoda. Ledwie dziecię zabełkotało i oczy otwarło, przedewszystkiém uczono je kłaść na sobie znak Zbawienia, godło naszéj wiary, krzyż święty. Pierwszemi słowy naszemi była modlitwa do Stwórcy, pacierz któryśmy za matką powtarzali. Uczono nas potém artykułów téj świętéj wiary w któréj się nam Bóg dał urodzić, wpajano miłość bliźniego, przywiązanie do kraju szczepione przykładem, podległość nieograniczoną rodzicom, prawu i władzy, którą Bóg postanowił dla społecznego porządku, poszanowa-

nie dla starszych, braterstwo dla równych, łagodność i wyrozumiałość dla niższych.

Daléj uczono nas czytać i pisać po troszę, jezdzić na koniu i bić się w palcaty. Miałem nie więcéj jak lat siedm, gdym przy karabeli, którą zachowałem do dziś dnia, dosiadał już konia i codzień musiałem, dla wprawy w robieniu bronią, bić się w kije krajką okręcone z Jasiem, synem podstarościego.

Tak otarganego nieco chłopaka, w latach dziewięciu lub dziesięciu oddawano zwykle do szkół Jezuickich. Plagi były jednym z najdzielniejszych środków wychowania i uśmierzenia wybuchów krwi, nadto zrazu żywo płynącéj.

W domu bralíśmy częste i liczne chłosty, w szkołach też na nich nie zbywało. Ksiądz prefekt i professor usilnie byli o to proszeni przez ojca, ażeby dziecku nie pobłażali w niczém. Pan dyrektor, pod utratą świątecznego prezentu, miał sobie przykazaném, zeby najmniejszego przewinienia nie darował; zdarzało się więc szczęśliwiéj ukwalifikowanym po dwa i trzy razy na dzień leżeć na stołku.

Po skassowaniu Jezuitów, w większéj części zastąpili ich przygotowani już do tego Pijarowie, a

gdzieindziéj KK. Bazyljanie. Ci objąwszy po nich władzę i obowiązki powołania, wzięli z niemi i metodę edukacyjną tradycyonalną. Nahaj niesiono za idącym do szkoły księdzem Patrem, jako widomą oznakę siły, i wraz z teką rozkładano go na katederce, abyśmy zbawiennego monitora nigdy z oczów nie tracili. Z początku wyłącznie prawie ślęczeliśmy nad łaciną tak, że wysiedziawszy nad nią lat kilka umieliśmy całego Alwara, mowy Cicerona, Wirgilego i Horacyusza na pamięć—ale więcéj nic a nic. Bazyljanie nie wdając się w ro- zumowane reformy, długo sposobem Jezuickim nauczali z Alwara; ledwie w r. 1781 Kommissya Edukacyjna zmusiła ich, wedle planu przez nią przepisanego urządzić nauki szkolne; a wieleż to przez ten przeciąg czasu odebraliśmy nahajów! Trzeba jednak przyznać, że je zastosowywano do wieku, klassy i siły penitenta, i w Infimie były cieniuteńkie i nie administrowano ich więcéj dziesięciu; za każdą promocyą grubiał monitor i zwiększała się liczba razów, tak, że gdy uczeń doszedł do Filozofii, kańczuk także dorósł z nim do normalnego swego wzrostu i tu już brano po pięćdziesiąt, a niekiedy i więcéj. Języków żyjących obcych

nieuczono w szkołach, a jeśli się znalazł szurgot jaki, który je prywatnie dawać się zobowiązywał, zmarnowane to były i czas i pieniądze, bo uczeń z rąk jego wyszedłszy, pewnie ani niemca, ani francuza nie zrozumiał i od nich też nie mógł być zrozumianym.

W połowie XVIII w. wychowanie w Polsce, było jeszcze na bardzo nizkim stopniu, jednakże odpowiadało ono potrzebom czasu i kraju. Uczeń wyszedłszy ze szkół znał łacinę lepiéj i mocniéj niż język rodowity, umiał się gracko bić w palcaty, a nawet w pałasze; zresztą, przywykły był do ślepego posłuszeństwa, i to stanowiło niejaką posadę przyszłego rozwinienia człowieka.

Natychmiast ze szkół wyszedłszy, potrzeba sobie było stan obierać, bo rodzice próżnować nie dawali; dwory panów już naówczas upadały i zmieniać poczęły charakter, umieszczano więc zwykle synów przy boku i pod okiem na gospodarstwie, oddawano do wojska, sposobiono zaraz do stanu duchownego, lub rozsyłano po kancelaryach rządowych i tak zwanych palestrach, trybunałach, ziemstwach i grodach.

Były to źródła z których czerpano praktykę pra-

wa i nabiérano światowego poloru; to też przy każdéj tego rodzaju juryzdykcyi, nawet powiatowéj, znaleźć było można po sto i więcéj młodzieży szlacheckiéj, niekiedy synów najbogatszych obywateli. Nie mieliśmy czasu próżnować, dziś to się wcale dzieje inaczéj.

Wpadła mi niedawno w ręce książka w któréj mowa o Bałagułach (*): obraz to prawdziwy, ale zdaje mi się, że większa część odmalowanych w nim postaci należy do excepcyi. Młodzież dzisiejsza, biorąc ją w ogólności, dobrze wychowana, na talentach jéj nie zbywa, nauki ma dosyć, wreszcie nikt jéj nie zaprzeczy pięknego układu i grzeczności w obejściu, która jéj zaszczyt przynosi. Obok niéj, znaleźć się muszą burzliwszego charakteru wyjątki, którym zbytnia swoboda tyle smakuje, że dla niéj nawet wszelką poświęcają przyzwoitość; ale z tych o całości sądzić nie można, choć wpływ na nią jednostek nie jest też bez znaczenia.

Jedna kropla silnego jadu, w chwili całe zatruwa ciało, przyprawia je o zgniliznę i śmierć w o-

---

(*) Męszaniny obyczajowe przez Bejłę.

statku sprowadza; tak i w społeczności, którą uważać potrzeba za ciało jednolite, kilka wyjątków rozpostrzeć mogą zarazę, lub wywołać sąd niekorzystny o ogóle. Za takich uważam Bałagułów o których mowa. Nic oni nie szanują; jedni piszą paszkwile, drudzy je po karczmach rozwożą, żeby się do rąk interesowanych dostały; w tych obrzydłych pismach, które osobista wywołuje niechęć, nie umieją poszanować ani zasługi, ani wieku, ani płci, rzucają się na wszystkich i na wszystko, miotając potwarze i wymyślając wypadki, najmniejszego do prawdy niemające podobieństwa. Każdy z tych panów mających świat poprawić, marsową przybiera postać, udaje rycerza, choć w rzeczy tchórzem podszyty i nie naruszy prawa, bo za nic bić się nie będzie. Język ich także zasługuje na uwagę, naprzykład użyciem nieustannέm honoru i bóstwa, które się w nim co chwila powtarzają: — Na honor! co za boski koń! na honor, jaki boski surdut! Jak bosko, na honor, nosi ta nejtyczanka i t. p.

Młodzież lepiéj wychowana, idąc za zwyczajem powszechnym i nie wyróżniając się od ogółu, przywdziewa strój jaki za modny uchodzi, ubiéra się

przyzwoicie, nie chce zwracać oczów na siebie. Bałaguli wąsy noszą polskie, bakenbardy, podobno zabytek, sankiulotów, bródkę długą hiszpańską, drugą dodatkową żydowską, na ćwierć łokcia wystającą z pod halsztucha, czapeczkę tatarską, kożuszek kamczadalski, szarawary albo całe skórzane, lub tak skórą okładane, że mało z pod niéj widać sukna, furmańskie, kapciuch w pętlicy wiszący jako godło próżności i dymu, osobno kieszeń z ładunkiem cygarów i mundsztuków do nich, a drugą jeszcze na lulkę i krótki cybuszek, kończy wreszcie uzbrojenie, w ręku nahaj czerkieski.

Bądźże mądry i poznaj po tych cechach do jakiéj narodowości, do jakiego plemienia należy ta jednostka? Cóż dopiero gdy na wychudzonym Rossynancie, na tatarskiem siodełku, junak ów w dobranéj kompanii pocznie latać po mieście zaglądając do karet w których damy siedzą aby im niegrzeczność powiedzieć, lub nieprzyzwoitym zawstydzić ruchem. Prawdę powiedziawszy i za moich młodych czasów trafiały się wybryki, były uchybienia, ale te nigdy płazem nie uchodziły i nie stawały się regułą postępowania; nie przybierano strojów dzikich i barbarzyńskich narodów, a

jeśli kto komu krzywdę wyrządził, przeprosinami się z tego nie wykręcił, krwią trzeba było przypłacić, lub życiem wybryk zapieczętować. To prawo powszechne trzymało każdego w granicach przyzwoitości; dziś Bałagule co cię obraził, pokaż pałasz, odpowie: — w pałasze bić się nie umiem; zaproponuj pistolety, powiada ci, że sekundanta znaleźć nie może, lub że prawo pojedynków nie dozwala... Obrazić potrafi, a bić się nie umie! ma prawo obelżyć a nie ma prawa krzywdy po szlachecku krwią zapłacić; przeprosi z ochotą, a jutro w tąż rozpocznie. Są między niemi i gracze zawołani, którzy ci siądą na żądanie do gry największéj, osobliwie w diabełka, bo pewni są plije, mając do tego palce wprawne, a jeśli ich pilnemi strzeżesz oczyma i kuglarstwo się nie powiedzie, a przegrać przyjdzie, z miedzianém czołem wstaną od gry wołając: — Będziesz pan miał u mnie! Dług to który się chyba na Józefatowéj spełni dolinie; wygrany—zabierze pieniądze, przegrany—każe czekać do dnia sądnego. Co za doskonały, jak uczciwy i tani utrzymania się sposób! Ale daremniebyśmy o tém pisali: są to Treny Jere-

mijaszowe, których Jeruzalem słuchać i zrozumieć nie zechce.

Obok pisma o bałagułach, trafiło mi się drugie w tymże przedmiocie, w którém krytyk wywodzi ich od przeszłowiecznéj w polsce Tężyzny (*). Na tę genealogiją zgodzić się nie mogę. Znałem ja dobrze ową przeszłowieczną Tężyznę; należałem do niéj sam i gorąco starałem się ją naśladować, a dziś z boleścią patrzę na bałagułów.

Tężyzna wylęgła się między młodzieżą owego czasu najznakomitszą rodem, wychowaniem i możnością, a to z następującéj okoliczności.

Dwóch młodych ludzi w Warszawie wyzwali się na rękę i wyjechali do Jeziornéj; u jednego z nich na sekundzie był podpułkownik Cichocki, znakomitéj rodziny potomek, protegowany przez króla i lubiony od całéj familii, a w szczególnych łaskach u księcia Józefa Poniatowskiego. Powróciwszy z Jeziornéj, gdy począł z tego pojedynku zdawać sprawę u księcia Józefa Cichocki, opowiadając jak oba przeciwnicy gracko stawali i bili się tęgo, jak się nawzajem poobcinali, począł się unosić

(*) Artykuł Mich. Grabowskiego.

nad jednym z pojedynkujących, a nie mogąc dobrać wyrazu na oznaczenie jego zręczności, odwagi i krwi zimnéj, zawołał w końcu— to prawdziwa Tężyzna.

Wyraz ten, na prędce jakoś stworzony, tak się podobał księciu i jego przybocznym, że mu odtąd honorowe miejsce dano w codziennéj terminologii, i pochwyciwszy zaraz w obieg puszczono. Odtąd waleczny oficer był tężyzną, mężny żołnierz tężyzna, grzeczny i miły chłopak tężyzna, nawet piękna kobiéta posiadająca wszystkie pociągające uroki młodości i wdzięku, a w ostatku i dzielny koń zwali się jednostajnie, *tężyzną*. Nareście cały niemal naród stał się tężyzną, bo zapatrzywszy się na wzór owych młodych ludzi, jakiemi byli podówczas książe Józef Poniatowski, ks. Eustachy Sanguszko, ks. Kazimierz Sapieha generał artylleryi i marszałek sejmowy litewski, Michał Wielohorski generał, Kazimierz i Adam Rzewuscy, piérwszy pisarz koronny, drugi kasztelan witebski, Janusz generał-inspektor i Józef szef półku swego imienia Ilińscy, Adam Walewski brygadier, Działyński, Czapski, Niesiołowski,

wszyscy trzéj szefowie pułków swoich imion, Jan Potocki i inni— chętnie ich naśladował.

Tacy to byli naczelnicy, taka naówczas tężyzna, ale tężyzna grzeczna, miła, wesoła i uczciwa, ozdoby największych salonów, chciwie pożądane we wszystkich najświetniejszych towarzystwach. Byli to ludzie wysokich rang wojskowych, senatorowie, urzędnicy koronni, posłowie, kwiat polskiéj młodzieży. Od nich reszta brała wzór grzeczności i popularności, jaką się oni odznaczali. Naśladowano ich ruchy, postawę, ubranie, mowę, wady nawet może, ale to była epoka świetna jeszcze, i pod szatą płochości grały w niéj uczucia wyższe, tętniał puls życia i zdrowia. Strój ówczesnego młodzieńca cale był inny i charakterystyczny. Na bandolecie z napisem: król z narodem, naród z królem— zawieszony pałasz zuchowato pobrzękiwał, ostrogi lub srébrne u czérwonych butów podkówki dobrze mu wtórowały, czapeczka lub kołpaczek na bakier zawieszony na prawém uchu z kordonem trójkolorowym i czaplą, strusią lub szklanną kitą, pięknie odbijały przy kontuszu i czamarze. Tężyzna była w narodzie, a naród się niejako przedstawiał w tę-

żyznie; w sprawach honorowych, gdy szło o obronę czyją, nie składano żadnych sądów, nie sprowadzano super-arbitrów, bo każdy stróżem będąc czci swojéj, patronem i sędzią honoru swego, nie poddałby go pod żadną w świecie decyzyą. Przywiodę tu na przykład jedno tylko zdarzenie, między ks. Eustachym Sanguszką a Kazimierzem Rzewuskim. Oba ci naówczas jeszcze młodzi ludzie, byli z sobą w wielkiéj zażyłości, gdy pewnego razu na liczném zebraniu, Rzewuskiemu niechcącemu stracić dobrego konceptu, wyrwało się cóś ostrego na księcia wojewodę wołyńskiego. W tejże chwili zbliżył się doń książe Eustachy z lakoniczném zagadnieniem.

—Albo się bić, albo przeprosić.

Rzewuski równie krótko odpowiedział:

—Bić się.

Było to już o dobrym zmroku, ale nie odkładano do jutra. Natychmiast oba przybrali sobie po jednym sekundancie, po pałasze posyłać nie było potrzeby, bo każdy wówczas oręż nieodstępnie przy boku nosił, ludziom kazano wziąć pochodnie, ruszyli zaraz za Wolskie rogatki; tu się wykrzesali; książe panu Rzewuskiemu krwi upu-

ścił i rozjechali się z wzajemnym dla siebie szacunkiem. Nazajutrz rano, jak tylko przyzwoitość dozwoliła, Rzewuski pojechał do księcia wojewody wołyńskiego i oddawszy uszanowanie poważnemu senatorowi, wyznał mu sam uchybienie swoje. Książe go serdecznie wyściskał i rzekł w końcu:

— Proszę waćpana jutro na obiadek.

Na tym obiedzie była większa część ówczesnego najznakomitszego towarzystwa warszawskiego; popili się uczciwie, dawna harmonia skleiła się na nowo, a wszyscy podziwiali zacnych przeciwników. W kilka dni późniéj po tém zdarzeniu przybywszy do stolicy, trafiłem na powszechne o tém gawędy. Otoż jaka to była naówczas tężyzna, za którą w ślad idąc kraj cały tężyzną się być starał. Takim to ludziom winna ona powstanie swoje; charakteryzowała naród, boć i junakerya ta i męztwo lekce sobie ważące niebezpieczeństwa, stanowiły rys narodowy przez dziewięćset lat naszego bytu. Dzisiejsza Bałagulija, płód to nieprawego łoża, nie przyznaję jéj nawet za plemię z morganatycznego związku z tężyzną pochodzące; wylęgła się i wyhodowała między ta-

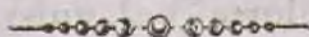
kiemi co nigdy nikomu za wzór służyć nie mogą, a sami się na wzór Tatarów, Kałmuków i żydów kształcą, zwracając dobrowolnie do barbarzyństwa i dzikości.

Gdyby jaki przedsiębierca, z tych co to dla grosza menażerye w klatkach rozwożą, małpy białe niedzwiedzie, lamparty i tygrysy— złapał dzisiejszego bałagułę w tatarskiéj czapeczce z starego barana, z wiszącemi kołtunami osłaniającemi pół twarzy, z brodą żydowską, w kożuszku kamczadalskim, w szarawarach skórkowych, ze wszystkiemi insygniami i godłami dziczyzny, i gdyby go przywiózł był w klatce do Warszawy w czasie sejmu 1788 roku, mógłby go był za biletami pokazywać, a ręczę, że pięknegoby się grosza dorobił, choć delikatne nerwy kobiét mocno-by były tym widokiem wstrząśnione. Zapominam po staremu, że to być nie mogło, bo tego rodzaju istot przed laty pięćdziesięciu na świecie nie było, a syn coby się przeistoczył na cóś podobnego, niechybnieby od ojca dostał sto nahajów bez kobierca. Tężyzna nasza inne miała pochodzenie i charakter, wszelkiego téż z dzisiejszą pokrewieństwa,

choćby najdalszego, zapieram i przeczę;— a ktoby go chciał dowodzić, wyzywam na wszelką broń i bój, jaki się podoba (*).

(*) Autor pisał to widocznie w epoce wyjścia Mieszanin, kiedy Bałagulija panowała na Wołyniu: dziś już i śladu po niéj nie pozostało. Za ostro wszakże osądzony tu może ten dziwny fenomen, który miał przyczynę bytu, myśl pierwotną, rozwój, schyłek i upadek. Samo przyjęcie się acz chwilowe bałagulszczyzny przez młodzież i rozpowszechnienie jéj dowodzi, że nie mogła być bezmyślnym szałem, jakby ją powierzchownie osądzić można. Może być, że sami promotorowie tego bractwa nie zdawali sobie zupełnéj sprawy z tego co czynili, ale przez nich wyraził się wstręt do zniewieściałości, zgnuśnienia i rozpieszczenia. To było niby myślą główną i celem bałagułów, których nazwisko oznacza z żydowska furmanów;— furmanowali też oni, jeździli, żyli hulaszczo ale po prostu, odziewali się licho i popadli w przesadę z drugiéj strony. Wkrótce z młodzieży, co frak i białe rękawiczki zrzuciła, czując, że one więżą i krępują, bałaguli stali się tylko hulakami i zabywszy głównego celu swojego, puścili się na dokazywanie, wybryki niedarowane, powiedzmy prawdę, rozpustę. Wszystko się naówczas rozprzęgło obudzając wstręt, obawę i zniechęcenie. Ale w początku, powtarzamy, jesteśmy pewni, że myślą pierwotną nie była prosta hulanka i używanie drogiéj młodości na bezmyślną rozrywkę— zaprotestowali bałaguli po swojemu przeciwko paniczykowstwu, które jest i nieprzestaje być dotąd

plagą części młodzieży naszéj — przeciwko zniewieścieniu i dobrowolnemu upadkowi. To co autor mówi o bałagułach, stosuje się raczéj do wyjątków niż do ówczesnego ogółu, a takich wyjątków zawsze i wszędzie pełno, nie malują one epoki, ani odcechowują społeczeństwa. *(P. R.)*



III.

Inicyowany.

Otoż kiedy o tém mowa, żebym dowiódł, że nie jestem stronny, i nie kryję, jak się i za naszych czasów rożnie trafiało, przypomnę dwa zdarzenia, które tu przyjdą w porę, bo do wybryków należą. Zjawił się za moich czasów w Warszawie przybyły z prowincyi młody człowiek, którego ojciec świéżo był wszedł w obywatelstwo za przywilejem Stanisława Augusta. Tatko zapaśny, szczodrze na wyjezdném syna w grosiwo opatrzył, miał się więc z czém i o czém przystojnie w stolicy pokazać; znalazły się sposoby wszrubowania w lepsze towarzystwo, a lubo w nim



przebijała się surowizna, ślad zrazu zaniedbanego wychowania, nadrabiał jegomość prezencyą i rdzę pokrywał tém, co tu i ówdzie połapawszy, przyswoił sobie ze zwyczajów światowych. Rowieśnicy przybyłego, ludzie wyższego urodzenia, do których przystał, niechętnie znosili poufałość jego i śmiałość z jaką się do nich posuwał, ale co było począć z natrętem.

Do poniżenia go trafiła się zręczność, którą sam ów jegomość nastręczył. Massonerya széroko się wówczas rozgałęziała, stowarzyszenie to było w modzie, zachciało się i jemu zostać massonem, zwierzył się téj żądzy gorącéj Kazimiérzowi Rzewuskiemu, prosząc by mu w tém chciał dopomódz. Rzewuski, który już cóś na prędce obmyślił, z początku zaczął przedstawiać wielkie trudności, zastraszał koniecznością wyrzeczenia się religii, ceremoniami bluznierczemi, poprzysiężeniem nienawiści duchowieństwu i t. p. i t. p.

Zawsze jednak gorąco pragnący przypuszczenia kawaler, nie tylko się na to zgodził, ale na piśmie dał na siebie cyrograf, że się wyrzeka wszelkiéj wiary i t. d. i tę kartę w ręce Rzewu-

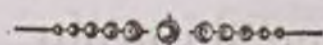


skiego złożył. Rzewuski jeszcze raz mu przedstawił przez jak wielkie i straszne próby przejść było potrzeba; niezastraszony wszakże niczém inicyant, oświadczył, że na wszystko gotów, poddaje się próbom i znieść je obowiązuje.

Naznaczono tedy dzień Inicyacyi: pokój na ten cel osłoniono czarném suknem, ozdobiono godłami masońskiemi, i wprowadzono młodzieńca. Kazano mu naprzód odczytać samemu wyrzeczenie się, zobowiązano przysięgą do największéj tajemnicy i przystąpiono do próby.

Drzwi się znienacka otwarły, weszli sześciu silnych chłopów, a dwóch z nahajami exekutorów, rozciągnięto jegomości na całunie i wyliczono mu sto basów za wyrzeczenie się Boga i wiary. Na tém skończyła się ceremonia inicyacyi, po któréj wybiegł kawaler z łaźni jak oparzony. Tajemnica téj przygody utrzymać się nie mogła, puszczono w obieg awanturę i nim wyszła doba, wszyscy znajomi z kolei winszowali mu inicyacyi; nieborak zapóźno poznał się na krwawym żarcie jaki sobie z niego zrobiono, opuścił śpiesznie Warszawę i nigdy w niéj więcéj nie postał.

Rzewuski wypłacając się za tak surowe skarcenie płochości, a wiedząc, że mu się tytułu szambelana tak gorąco chciało, jak przypuszczenia do masoneryi, wyrobił późniéj przywiléj u króla, i na wieś odesłał. Inicyowany pocieszyć się nim musiał zapewne.



IV.

Posłusznica.

Oto jedna jeszcze przygoda z moich czasów, którą sobie przypominam; może ona dać miarę, żeśmy i my nie byli święci, aleśmy się starali zgładzić winę, kiedy się ją popełnić zdarzyło. Młody magnat po przebytéj w stolicy zimie, wczesną wiosną udał się na Ukrainę do oddziału wojska którym dowodził. W blizkości miasteczka, w którém była jego główna kwatera, stał klasztor dziewiczy obwiedziony jak forteca wysokim ostrokołem, oznaczającym granicę gdzie się świat kończył, a ustroń pobożna zaczynała.

Wracając raz z przeglądu swojego wojska, przez szczeliny częstokołu, młody dowódzca najrzał posłusznicę (nowicyuszkę) zadziwiającéj piękności, z rydelkiem w ręku pracującą w ogródku przy swojéj trapezie. Wielki znawca i miłośnik kobiécéj piękności, uderzony został tém niespodzianém zjawiskiem, ale i dziewcze ujrzawszy dorodnego młodzieńca na dzielnym koniu, wpatrującego się w nią z zachwytem, upuściwszy z rąk rydel stanęło zapłonione i zdziwione. Książe przemówił cóś do niéj, ale zmięszana nic mu odpowiedzieć nie mogła; a rumieniec i zawstydzenie mocniéj jeszcze ujęły dowódzcę.

Nazajutrz bardzo jakoś rano książe wyjechał na manewra, posłusznica też od zarania pracując oglądała się na ścieżkę, którą przybycia się jego spodziéwała. Wczoraj przejeżdżał ze sztabem, adjutantami i w licznéj komitywie, teraz ukazał się sam jeden na dzielnym arabie, który leciał jakby niósł szeregowego z kresy do kresy, pilną niosącego expedycyą, ale przybiegłszy do miejsca jak wryty się zatrzymał, zdawało się, że myśl pańską odgadł. Rozumne bo to było i prześliczne stworzenie ten koń książęcy, czarny i lśniący jak

axamit, z rozdartemi płomienistemi nozdrzami i zaognioném błyszczącém okiem. Pod jego delikatną szerścią policzyć mogłeś wszystkie żyłki, któremi szlachetna krew synów pustyni w nim płynęła. Cicho było i pusto do koła, komendant miał czas przypatrzéć się doskonale posłusznicy i zachwycić doskonałą jéj pięknością.

Natura rzadko tworzy arcydzieła, ale gdy się do tego weźmie, żaden jéj sztukmistrz nie przesadzi— nowicyuszka rysy twarzy miała prześliczne, płeć alabastrową ożywioną rumieńcem czystego karminu, kibić giętką i wciętą, rączki i nóżki drobniuchne, a w dodatku głos i wejrzenie, które za serce chwytały. Z tych przymiotów wnieść łatwo, że się komendant zapalił, że pokochał czy zapragnął, że mu przeszkody choć wielkie niczém się wydały. Piękność ta była córką duchownego z miasteczka, który ją do stanu zakonnego przeznaczał; klasztor był zamczysty, drzwi troje i cztéry kłódki dzieliły go od świata i nie otwierały się tylko cztéry razy do roku w czasie uroczystych prażników. Co tu było począć? jak myślicie?

Nie wiém ile razy i jak się tam kochankowie

widywali i co z sobą mówili, aliści pomimo wysokiéj zagrody, przez którą dobrze się na koniu śpiąwszy ledwie do środka zajrzéć było można— rozeszła się głucha wieść po miasteczku, że jedną z posłusznic, które mieszkały każda z osobna przy swoich trapezach, gwałtem z klasztoru porwano. Jakim się to wszakże sposobem zrobiło, dójść było nie podobna, bo śladu przemocy nie zostało, a pytane sąsiadki ani krzyku, ani żywego nawet głosu w téj porze, w któréj się to stało, nie słyszały.

Musiano ojca i rodzinę zagodzić, bo w kilka dni potém, w prześlicznie i po pańsku ubranéj, parą anglizowanemi końmi i karyolką księcia jadącéj piękności, niektórzy poznawali porwaną posłusznicę.

I tak się to utarło.

Komendant do bardzo późnéj jesieni manewrował w miasteczku, nakoniec musiał jechać do Warszawy; wybrany był bowiem na sejm konstytucyjny i miał publiczne obowiązki do spełnienia. Towarzyszka jego, nic nie straciwszy na piękności, trochę się jednak w tym przeciągu czasu odmieniła i jakoś na zdrowiu zapadać poczęła.

Książe przed odjazdem jeszcze wydał ją za mąż, z posagiem jakiego się nigdy spodziéwać nawet nie mogła.

W lat cztéry potém, książe wziął piérworodnego jéj syna na opiekę, umieścił go w Teresianum w Wiedniu, zabezpieczył mu los niepodległy i dziecię to doszło w wojsku do wysokiéj godności. Dano mu nazwisko niemieckie jakiejś wygasłéj rodziny.

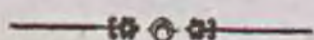
Takie to były sprawy Tężyzny za naszych czasów; nie pochwala się magnatowi jego postępku, ale w następstwach przynajmniéj było sumienie i usilna chęć poprawienia złego kroku. W monasterze nie rychło późniéj znaleziono dwie palissady podpiłowane i osadzone tylko na żelaznych iglicach, z których łatwo mogły być zdjęte i napowrót wstawione, a że nie było szkody żadnéj, domyślano się, że ktoś inny nie prosty złodziéj, użył fortelu tego, żeby się wcisnąć do środka.

Żyje dotąd ten pan (*); krucze kędziory włosów jego czas pobielił i styczniowym śniegiem

(*) Żył gdy to pisał P. Ochocki, dziś od lat kilku w Bogu spoczywa. *(P. R. W.)*

obsypał, spadają one na pogodne jego czoło i oblicze, które się poryło fałdami, ale zmarszczki nie starły z niego pogodnego wyrazu czystego sumienia i spokoju duszy.

Ani jego ręka, ani dłonie tych co mu życie dali, nie skalały się nigdy żadném świętokradzkiém przekupstwem. Sąd Fryderyka Wielkiego nie dotyka ich.



V.

Życie na wsi pod koniec XVIII wieku.

Województwo Kijowskie bardzo podówczas rozległe, składało się ze trzech powiatów: Kijowskiego, Owruckiego i Żytomirskiego, sięgało ono od Słuczy po Dnieper, od Czarnego Szlaku podolskiego do Litewskiéj granicy nad Prypeć. Powiaty Żytomirski i Owrucki zasiedlone były możniejszemi i uboższemi familjami w wielkiéj liczbie, sąsiedztwa gęste były wszędzie. Powiat Kijowski, zacząwszy od Berdyczowa aż po Dnieper, zajmowały całkiem prawie królewszczyzny i obszerne dobra magnatów; ledwie kilku obywateli mieli tam odwieczne swoje dziedzictwa, jako to: Proskurowie, Zalescy, Bierzyńscy, Hołowińscy i kil-

ka jeszcze rodzin, których sobie na razie przypomnieć nie mogę.

Część ta kraju zwała się Ukrainą. W piérwszych dwóch powiatach choć szlacheckie dwory stały dosyć gęsto przy sobie, mało się nawzajem odwiedzano. Właściciele na jednéj lub dwóch wioskach osiedli, zajęci byli gospodarstwem, w pocie czoła i pracy uczciwéj szukając dochodu z posiadłości. W dnie powszednie mało się kto ruszał, chyba za interesem; ale w święto zawsze się prawie gościa spodziewać było potrzeba. Przeto jegomość choć zwykle w domu w samym tylko żupanie chadzał, zimą sukiennym a latem białym dymowym, miał na podoręczu położony kontusz, który się na pas i żupan wdziewał, co się zwało na *opaszki*, a jejmość także kontusik drojetowy futerkiem jakim okładany, spadek po babce, lub dar pani, u któréj była na respekcie, a do niego soboli z kitką kołpaczek.

Leżało to pod ręką, aby w skok gotowi być mogli oboje państwo, gdy chłopiec od rana czatujący na drabinie u komina, zakrzyknął:— Goście jadą!

Naówczas usłyszawszy klaśnięcie z batoga,

wszystko co żyło ruszało się w domu, hajduk szybko naciągał czekczery i lejbik, żeby się z posługą u butelek nie opóźnić. Jegomość brał co najprędzéj kontusz, a jejmość kołpaczek i strój niedzielny. Tymczasem powolnie posuwał się powóz ku dworowi, czy to żeby tłustych nie mordować koni, czy też żeby dać państwu czas do przygotowania się na przyjęcie, a stangret nie żałował ręki i nieustannie z bicza walił a walił. Zajeżdżała tedy kolasa lub gdańska kareta przed ganek, a gdy państwo z dziećmi byli, towarzyszył jéj czasem syn pierworodny na kucyku.

Gospodarstwo wychodzili naprzeciw, jegomość wprowadzał uroczyście i ceremonialnie opasłego sąsiada wystrojonego wspaniale i przy pałaszu, jejmość, małżonkę jego— tak wchodzili do bawialnego pokoju. Nie obeszło się to bez komplementów, bez ceregielów u drzwi, na progu i przy zajęciu miejsca, gdy zasiadali.

Następnie gospodarz powstawszy prosił o odpasanie pałasza, przyczém nie pominiono znowu długich grzeczności i wrzekomego oporu, ale w ostatku usilném naleganiem pokonany gość, odej-

mował broń i w komitywie gospodarza składał ją w głównym kątku pokoju.

Tuż i hajduk wchodził niosąc na tacy parę butelek i jeden, mniéj więcéj, pół kwartowy kielich, ten gdy wzajemnie całując się spełniono, butelki były wprędce suche i na skinienie pańskie, hajduk, który je wyniósł, powracał z cztérma, a do nich z kielichem większego rozmiaru.

Czasem się gość wymawiał, ale w tém była sztuka gospodarza uprzejmego, aby tak przekonywające wynajdywać zdrowia, a do nich sentencye i teksta łacińskie, żeby gość od wychylenia wiwatu wyłamać się żadną miarą nie mógł.

Jeśli to było czasu wakacyi lub świąt, przywoływano synów, którzy w kontusikach i przy pałaszach stanowili się na rozkaz pana ojca.

Powitanie łaskawego sąsiada stosowało się do godności jego— stolnikowi, cześnikowi lub t. p. ręce tylko ucałować było potrzeba, kasztelanowi, a broń Boże wojewodzie, plackiem do nóg.

Uczono nas zawczasu pokory i poszanowania dla wieku i zasługi. Jeżeli sąsiad był z żoną i córkami, jejmość przyjmowała kobiéty w drugim pokoju czyli alkierzu jak go podówczas nazywano.

Tam dla nich podawano kawę, gdyż herbaty nie używano jeszcze, tylko na lekarstwo i to z szafranem, a gdy damy po cichu sobie gwarzyły, w pierwszéj izbie pili i spijali się rozczuleni sąsiedzi. Kiedy się tak trzech lub cztérech dobrych szczerych i poufałych dobrało przyjaciół, pod wesoły humor i fantazyę, pewnie w beczce sam tylko lagier pozostał; a nazajutrz jegomość musiał ruszać do miasta i *pro* zapas kupić drugą, aby go kto nie schwytał na nieprzygotowanego. Podchmieleni, już na wyjezdném, strzemiennego jeszcze na stopniach karety lub kolaski wychylić musieli; gościnność nie ustawała często aż za bramą.

Słyszałem tę anegdotę i mam ją za prawdziwą; August III gościł raz u magnata P. M. w B.... gospodarz przyjmował sercem otwartém i piwnicą, lało się wino przez trzy dni bez ustanku, nareszcie nadeszła chwila odjazdu. Najjaśniejszy pan siadał już do karety, gdy go M... zaatakował jeszcze jednym kielichem.

— Królu, zawołał rozczulony do łez— mam jeszcze dwie butelki wina, którychbym nikomu nie dał, ale dla waszéj królewskiéj mości je dobędę....

Król rozgniewany, że mu je tak późno ofiarowano, odparł z passyą.

—Schowaj-że je sobie waćpan dla kogo lepszego...

Anegdotkę tę bardzo powtarzano; wszakże późniéj słyszałem ją i o Stanisławie Auguście jadącym do Petersburga, i o jednym z królów francuzkich, może być przerobiona.

Po wyjeździe gości, jeśli jegomość dobrodziéj był w stanie zrobić examen z synów przytomnych—*Quid fuit dictum?* wypytywał ich zaraz—o jakich mówiono materyach z panem sąsiadem? jakich tam pryncypalnie użyto frazesów? jakich sentencyj łacińskich i t. p. Jeżeli synowie czego zapomnieli, nie minęły ich pewnie rózgi lub dyscypliny; to też przez cały przeciąg bytności gościa, słuchali pilnie i z największą uwagą stojąc zdaleka, bo ani usiąść ani się nawet oprzeć nie było wolno... To wychowanie surowe nie tylko u nas, ale wszędzie naówczas było jeszcze w duchu epoki; najlepszym dowodem młodość Fryderyka Wielkiego z którym ojciec, nawet po ożenieniu jego, z największą się ostrością obchodził. Toż było i w Polsce;—z pokoju, bez dozwolenia ojca lub matki

nie wolno było wynijść pod żadnym pozorem; w razie otrzymanego zezwolenia wyznaczony był trakt, z którego zboczyć nie godziło się ani na krok i meta, po za którą występkiem się było posunąć. Z ludźmi służącemi, jak z jednéj strony zabraniano wszelkiéj poufałości i dyskursów, tak znowu z drugiéj, dziecię im rozkazywać nie miało prawa, a o wszystko prosić musiało grzecznie. Za mojego dzieciństwa, obywatele nawet na jednéj wiosce trzymali oprócz hajduka i pajuka, jednego, dwóch do trzech, wedle możności, dworskich szlacheckiego stanu. Było to małpowanie wielkich panów, którzy gromady ich żywili.— Dworski taki przed kolaską lub karétą do kościoła lub na wizytę jechał konno, przy szabli i ładownicy, za nim masztalerz lub kozak. Wszyscy wówczas obywatele trzymali tylko ludzi wolnych, aż do stajennych, hańbą byłoby posługiwać się poddanym w liberyi; wyjątkiem tylko byli kozacy, w możniejszych domach muzyka, nadworny żołnierz nawet składał się ze szlachty lub ludzi stanu wolnego.

Wracając się do obejścia dzieci ze sługami, jeśli się trafiło, co i mnie zdarzyło się, połajać kogo lub wyrządzić mu jakiego psikusa, a zaszła o to

skarga do wyższéj instancyi, potrzeba było nie tylko przeprosić, ale i rózgi odebrać, w czém żadne instancye, łzy ani prośby nie pomogły. Nawzajem też słudzy, bez wyjątku, przy pańskiém dziecku ani usiąść, ani w czapce na głowie stać nie mogli; ten zwyczaj poszanowania dla dzieci oddalał od nich, nie dopuszczał zbytniéj poufałości, w nas zaś wkorzeniało się poszanowanie szlacheckiego stanu i zbytnie może wyobrażenie o dostojności własnego pochodzenia.

Nie tylko w dziecinnym wieku, ale dorośli synowie i zięciowie przy starszych i rodzicach usiąść nie śmieli aż im dozwolono. Widziałem raz w Żytomierzu Jana Pauszę, ze stolnika kijowskiego, późniéj podkomorzego owruckiego, idącego ze czterma dorosłemi synami do kościoła pojezuickiego na mszę studencką, otoczonego liczną assystencyą przyjaciół i służby. Synowie jego Michał sędzia ziemski owrucki, O. S. S. K. drugi Tadeusz szambelan, trzeci Jakub porucznik w wojsku, czwarty Józef jeszcze w szkołach, szli za ojcem z pokorą; Michał niósł za nim pałasz, który podkomorzy dopiero przed kruchtą przypasał. W kościele ojciec zabrał miejsce w ławce, a sy-

nowie przy niéj postawali wszyscy rzędem, za nimi dopiero służba. Takie były prerogatywy wszystkich ojców i obowiązki dzieci.

Życie obywateli na wsi było tak jednostajne, monotonne, że dzień do dnia podobien był jak dwie krople wody. — Za mojego już dzieciństwa poobiednia kawa stała się zwyczajną, chociażby gości nie było. Jegomość jak skoro na brzask, obchodził gumna, obory, stajnie, kuchnie i wszystko co do jego departamentu gospodarskiego należało. Za nim często dawały się słyszeć krzyki, skutek boleśnych razów, któremi winnych obdzielał nie odkładając; nie przeszkadzało to do odmawiania koronki lub różańca, którego z rąk nie wypuszczał.

Jejmość zimą, dobrze przededniem budziła swoje dziewki i francymer do wrzecion i kołowrótków, ala i tu się rzadko bez huku i hałasu obchodziło. Wielka księga, w jaszczur oprawna i na klamry zapinana, nie odstępowała jejmości, z niéj codzień odbywało się nabożeństwo, potém dosyć rano jeszcze następowała kawa. Czasem się i dziewczy-

nie, która ją przynosiła, placek jaki oberwał, jeśli podana była nie tak jak potrzeba. Po mszy świętéj przed obiadem, który o saméj dwunastéj podawano, oboje państwo z księdzem kapelanem, szli na chwilę do apteczki. Za powrótem ich przyjemna woń kminku rozchodziła się po pokoju i każdy, piernik lub tłuczeniec miał w ręku. Obiadek bywał skromny, na cynie; dóm szlachecki rzadko miał więcéj nad jaki tuzin łyżek i sztućców srébrnych, i to chowano w kolbuszowskiém biórku pod kluczem jegomościnym od gościa. Dla pana i pani były sztućce osobne, uprzywilejowane, reszta stołowników, domowych, nawet ks. kapelan jedli łyżkami blaszanemi. Barszcz z rurą i kiełbasą, lub groch ze schabem, dobry rosół z kury, sztukamięs, kapłon, to były najpospolitsze potrawy. Wieńczyła obiad duża flasza miodu dla konkokcyi, do któréj i ksiądz kapelan był przypuszczony. W wieku przeszłym, prawie każdy dóm obywatelski miał kapelana; klasztorom nie zbywało na zakonnikach różnéj reguły, pospolicie funkcyę tę spełniających. W Zasławiu naprzykład bywało po dwóchset Bernardynów, w Berdyczowie po stu z okładem Karmelitów. W Warszawie i Lublinie

na procesyach pogrzebowych widywałem po ośmiuset razem zakonników, a na Boże Ciało przy biskupie celebrującym, po półtora tysiąca.

Tak u nas szlachty; lecz były w województwie Kijowskiém familje możne, które na większą daleko skalę utrzymywały domy, jako to: książe Marcin Lubomirski w Lubarze, Stępkowski kasztelan kijowski w Łabuniu; Iliński, starosta żytomirski w Romanowie, brat jego Nepomucen, starosta cudynowski w Skarżyńcach; Giżycki, chorąży Kijowski, w Krasnopolu; Woronicz, kasztelan bełzki, w Trojanowie; Onufry Bierzyński, kasztelan żytomirski, w Pilipach; Józef Bierzyński, podkomorzy żytomirski, w Andruszówce; Stanisław Pruszyński, wprzód sędzia ziemski żytomierski, potém kasztelan w Łowkowie; Karnicki kasztelan zawichostski, w Karpowcach; Jakubowski, podkomorzy w Starosilcach; Pausza, podkomorzy, w Owruckiém; książe Adam Poniński, w Cudnowie. Po roku 1780, Hańscy otworzyli dóm w Pulinach, Bukarowie w Januszpolu. W tych domach reprezentacya była większa, życie pańskie; miały one dworskie muzyki, ułanów nadwornych, służbę

liczną. Mieściło się to jednak po większéj części w dużych tylko drewnianych domóstwach, nie przystrojonych wytwornie i w meble nie obfitujących. Kilka krzeseł gdańskich skórą wyzłacaną obitych, dwa lub trzy orzechem fornirowane kolbuszowskie biórka, zydelki suknem zielonóm lub płócienkiem w kratki obite, parę arkuszowych źwierciadełek w ramach orzechowych, całe przystrojenie pokojów składały. Na stół występowały srébra, jedzenie obfite, a obfitsze jeszcze wino; otaczał go tłum pajuków, hajduków i pokojowców, Pierwszy dóm murowany, dwupiętrowy, pałacem już nazwany, po powrócie swym z zagranicy, wzniósł Kajetan Giżycki w Krasnopolu (umarł chorążym kijowskim, tamże z dnia 1 na 2 września 1785 r.). Plan téj budowy przywiózł był z sobą z Francyi. Pierwszy tu raz u nas ujrzano posadzki, ale mebli, jakie dziś w lada dworku i wiosce się znajdą, nie było tam jeszcze.

Wkrótce potém, Jan Kajetan Iliński, starosta żytomirski (fundował juryzdykcyą w grodzie Żytomierskim d. 18 kwiet. 1765 r.), zbudował pałac w Romanowie, w którym zrazu także nie było

mebli wytwornych. W innych domach, w Karpowcach, w Trojanowie, Łowkowie, Pulinach, były tylko obszerne drewniane dwory, które dotąd czas oszczędził; w Januszpolu późniéj stanął drewniany dóm wielki z posadzkami, pięknie umeblowany; stoi on dotąd, chociaż ma już lat przeszło sześćdziesiąt kilka.

Taki był tryb życia za czasów mojego dziecińtwa w województwie Kijowskiém. Stępkowski, wojewoda kijowski, wymurował w Łabuniu pałac, smakownie i bardzo kosztownie go umeblowawszy: poczęli zaraz naśladować możniejsi, a w niedługim przeciągu czasu i mniéj majętni postawiali sobie porządniejsze domy i umeblowali je przesadzając się na zbytki. Na Ukrainie, w Tulczynie, już po r. 1780 wzniesiono pałac pierwszy w tym kraju: znałem jeszcze ludzi co pamiętali zamczysko ostawione kamiennemi babami po rogach, warowne, ale puste, które ów pałac poprzedziło. Szczęsny Potocki po odpadnieniu Galicyi od Polski, z Krystynopola przeniósł się na rezydencyą do Tulczyna, tu założył pałac i trzymał dwór niby monarchiczny, z etykietą prawie królewską. Został po-

tém wojewodą ruskim, i kupił od Stępkowskiego generalstwo artyleryi (*). Póżniéj panowie tracić zaczęli, szlachta kupowała, z kluczów porozdzielanych na kluczyki i wioski, potworzyły się szlacheckie majętności, każdy się osiedlał, upiększał w koło siebie, zabudowywał i dziś ta prowincya Ukraińska, jest jedną z najpiękniejszych pod tym względem, jak była zawsze jedną z najobfitszych i najbogatszych.

(*) Za szarżę płacono zwykle trzyletni żołd do niéj przywiązany; posiadający ją występował z wojska, a nabywca na mocy rezygnacyi obejmował.



VI.

Pieniactwo i t. d.

Dużoby o tym przedmiocie napisać można; pod koniec bowiem zeszłego wieku tak w nałóg weszło pieniactwo, że w sądach grodzkich i w ziemstwie, po dwieście do trzechset wpisów z kadencyi na kadencyą zalegały. Sadzę, że tania bardzo procedura, bo papier stęplowy i to tylko na pierwszy arkusz, srébrny grosz kosztował, przytém wielka liczba palestry obsiadującéj juryzdykcye, i nastręczającéj się każdemu, wreście punkt honoru aby przeciwnika zwyciężyć i na swojém postawić—główną były przyczyną tak wielu processów. Widziałem nieraz sprawy dwudziestu złotych nie

warte, a zawzięcie promowowane, na których umorzenie, ani pośrednictwo przyjaciół, ani instancye dostojnych osób wpłynąć nie mogły. Z nich rodziły się osobiste zajścia i nieprzyjaźni długotrwałe.

Przeciwnicy spotkali się z nienacka w trzecim domu gdzieś na kompanii, jeden drugiemu *Waść* powiedział, za tém i cóś gorszego z ust wyleciało; wtedy już nie było sposobu pojednania, kordy decydowały i krwi sobie musiano upuścić. Jeżeli się dobrali dwaj rębacze równéj siły, co sobie przez jakie minut dziesięć nic zrobić nie mogli, przypadali sekundanci i przyznając obu doskonałość i extra-kunszt, godzili poważnione strony. W winie naówczas tonęła pamięć osobistości, a często dwaj owi zawzięci przeciwnicy, powziąwszy dla siebie szacunek przy kielichu, na wieki wiązali się niezłomną przyjaźnią.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednym zwyczaju. Kiedy kawaler starać się zamyślał o pannę, musiał w domu jéj rodziców przyjechać z poważnym przyjacielem, w assystencyi i paradzie. Oba wchodzili przy pałaszach, dziewosłęb odpasywał szablę, ale pan młody uchybił-by domowi, gdyby ją

na największe i najusilniejsze naleganie odpasał lub konie wyprządz dozwolił; musiały stać w podwórzu choćby dwadzieścia cztéry z rzędu godziny. Bawiono się kieliszkiem do kolacyi, która o losie konkurenta stanowiła. Zwyczajem było stawić na stół wszystkie potrawy; jeżeli przed kawalerem był półmisek z gęsią, prosięciem na szaro lub buzem czy kawonem, znak to był, że wszystkie interwencye dziewosłęba i prośby usilne na nic się nie przydały. Harbuz ztąd, i w mowie pospolitéj stał się synonymem odmówienia.

VII.

Spuścizny po Augustach — Zjazdy obywatelskie.

Prawdę powiedziawszy, wielkim naówczas talentem była możność pochłaniania niezmiernéj ilości napoju: kto innych w tém przesadził, łatwo zyskiwał miłość braterską, popularność i promocyą. Widziałem kielichy objętości nadzwyczajnéj, i butelkowych rycerzy, co do nich niezmrużoném przystępowali okiem. Był naprzykład puhar u Stępkowskiego wojewody kijowskiego, (który dziś wziął po nim wnuk jego Ignacy), trzymający pięć butelek, trzy właziło w nakrywę. Byłem świadkiem razy kilka, jak pan Iliński starosta cudynowski, Józef Swiejkowski, stolnik owrucki, puł-

kownik Komarzewski i Janikowski, pokrywę jednym tchem, a kielich dwóma łykami wypróżniali do dna. Pierwsi dwaj byli kolosalnéj budowy, otyli, osobliwie Iliński, który nóg swoich nigdy nie widywał, a w brzuch jego pewnieby beczka wina węgierskiego z klepkami zmieścić się mogła. Przy tém oba ci mężowie i apetyt mieli więcéj niż zwyczajny. Ale Janikowski i Komarzewski byli to ludzie średniego wzrostu, krępi tylko, plecy szerokich i mocnego karku; nie wiem gdzie się to w nich pomieścić mogło.

Janikowski pod dobry humor i ochotę pił dosyć, a miał tę własność, że natura z niego nadmiar spirytusu wypędzała przez ogoloną głowę, z któréj się kurzyło jak z komina; to też choćby jak najwięcéj pił, nigdy nie stracił przytomności. Nie byli to wcale pijacy, tylko weseli towarzysze, żaden z nich sam na sam po kieliszek nie sięgnął.

Znałem pana Swiejkowskiego w wieku już bardzo podeszłym, ręce mu się tak trzęsły, że do tabakierki trafić nie mógł, kielich jednak nalany po obrączkę zawsze doniósł do ust, nie uroniwszy z niego ani kropelki, i z największą gracyą, po-

tém suchy już oddawał przez serwetę temu, w czyje pił ręce.

Pan Iliński przy swoim obiedzie, zwykle podawanym o godzinie dziesiątéj, co dzień *ex officio* wypijał dla konkokcyi sześć butelek francuzkiego wina; przy obiedzie zaś powtórnym o drugiéj godzinie, do którego żona, domowi i goście zasiadali, gdy nie było okazyi wychylenia zdrowia, spełniał tylko drugie sześć, przy wieczerzy trzecią szóstkę. Dodać należy do rachunku, że przed każdém jedzeniem, dla podbudzenia strawności wychylało się zwyczajnie cóś nakształt pół kwarty wódki, jak spirytus mocnéj.

Pijaństwo w Polsce, o którém tyle pisano i na które krzyczano tyle, nigdy w istocie nie było charakterystyczną wadą narodową. Weszło w modę szczególniéj od początków panowania Augusta II; przez lat sześćdziesiąt kilka pokoju i ciszy wzrosło i rozwinęło się do wysokiego stopnia, stało się prawie powszechnym zwyczajem. Tu właściwie przypomnieć stare przysłowie: *regis ad exemplar totus componitur orbis.* Dodajmy do tego rodzaj i formę rządu, do którego wszystka szlachta wpływać miała prawo: potrzeba było popularności, a

ta się tylko przy kieliszku nabywała. Przy nim też zawiązywały się przyjaźni, cementowały związki, kończyły kłótnie, układały projekta sejmikowe, instrukcye dla posłów, aby *obstante calamitate patriae* na żadne nowe podatki nie dozwalali— kleiły się małżeństwa i t. p. i t. p.

Przy kielichu nawet roztrząsano żywoty pobożnych i układano prośby o beatyfikacye, a wychodząc z zasady, że *vinum laetificat cor*, i *in vino veritas*, które to godła na niejednym z owych czasów wypisano puharze—spijano węgrzyna obficie, nie gardząc jednak i skromniejszym domorosłym miodem. Zaraz po zapustach, sprowadzano do domu księdza kupucyna, który miody sycił i stokfisz urządzić nauczał.

Pięćdziesiąt lat mija jak już ustał zwyczaj przyjmowania i uraczania gości mnogiemi kielichami, ale nawyknienie do tego trybu od młodości, choć dziś zaniechanego, taką ma jeszcze nademną siłę niepokonaną, że gdy mi pan Bóg da w dom sąsiada lub przyjaciela, wytrwać nie mogę, żebym z nim choć dwa zdrowia nie spełnił, a gdym w gościnie, zdaje mi się, że gospodarz zimno mnie przyjmuje, kiedy affektom nie pośredniczy butelka.

Obywatele na prowincyach mieli prerogatywę jedną zwłaszcza, strzeżoną z największą troskliwością, były to zjazdy, sejmiki na deputatów, a co lat dwa wybory posłów na sejmy. Tych zjazdów nie opuszczali nigdy, a choć wojewoda zagajający sejmik lub magnat mający preponderencyą w województwie od roku ułożyli między sobą, kto ma zastąpić miejsce dawnego deputata lub posła, i pewno się przy swojem utrzymali, zgromadzonym jednak obywatelom zdawało się zawsze, że *libera voce*, wybierali sobie kogo chcieli. Było to nieszkodliwe złudzenie....

Na sejmikach podpisywano Laudum dla posłów, windykowanie summ neapolitańskich przez królową Bonę wywiezionych, nalegania o odkrycie gór Olkuskich, prośby o parę beatyfikacyi do Rzymu, rekomendacyą pana wojewody *ad panem bene merentium*, a szczególniéj pilne zalecenie panom posłom, aby na żadne cło od win nie dozwalali. Nakoniec popiła się szlachta, porąbała mocniéj jeszcze i nie jeden do jejmości swéj z pohaftowanym policzkiem powrócił.



VIII.

Juryzdykcye—Sądy.

W juryzdykcyach zasiadali pospolicie ludzie możni, sędziowie; podsędkowie, pisarze; byli to obywatele dostojni i dostatni, nie mogło więc być przekupstwa, o jakiém dziś na wiatr prawią. Ludźmi jesteśmy, znajdowano prawda czasami drogi do sędziów, którym się trafiało wybryk popełnić, ale za to potém w trybunale, potrzeba było łypać oczyma i cierpieć chłostę za popełnione abusum, które się dla przyjaźni lub pięknych oczek dokonało. Za mojego dzieciństwa, w sądzie ziemskim Kijowskim sędzią był Michał Trypolski; pochodził on z rodziny, która od kilku wieków za-

siedzibiona była w województwie Kijowskiém i posiadała w niém dobra dziedziczne, wydając szczęśliwém następstwem zacnych mężów, urzędników wojewódzkich, sędziów, posłów, deputatów, którzy się odznaczyli chlubnie obywatelskiemi cnotami, przywiązaniem do ziomków i pożyteczną krajowi usługą. Miło mi, robiąc tu o nim wzmiankę, oddać hołd należny prawdziwéj zasłudze całéj téj zacnéj rodziny. Daléj podsędkiem był Antoni Wieczffiński, pisarzem Ignacy Szczeniowski; w Żytomierskim powiecie sędzią Stanisław Pruszyński, podsędkiem Antoni Baczyński, pisarzem Józef Bierzyński. W jednym roku 1779 cały ten skład sądów się odmienił: Pruszyński postąpił na kasztelaniją, Baczyński umarł, a Bierzyński został podkomorzym żytomierskim.

Miejsce ich zajęli: Adam z Juncza Bukar, sędzia, Jakób Zawialicz Moczulski podsędek, Jan Zaleski pisarz. Adam Bukar, za czasów trybunału Lwowskiego był tam mecenasem wielkiego znaczenia, ożenił się z Konstancyą Pacanowską respektową damą księżnéj Stanisławowéj Lubomirskiéj. To małżeństwo uczyniło go obywatelem osiadłym Województwa Kijowskiego; zrobił znaczny mają-

tek i zostawił dzieciom klucz Januszpolski, przeszło dwumiljonowéj wartości. Dóm państwa Bukarów był na wysokiéj stopie, umeblowany i utrzymywany kosztownie, trzymali muzykę nadworną, dwunastu ułanów, liczną usługę pokojową, a szczególniéj naśladowania godna gościnność i grzeczność gospodarzy, czyniła dóm ich jednym z najprzyjemniejszych i najwięcéj uczęszczanych. Bywały w nim wielkie zgromadzenia; ja sam spędziłem tu nie jedną dobę, którą wspominam z roskoszą. Adama Bukara jeden syn Seweryn został przy życiu; ten w korpusie kadetów pobierał nauki i zebrawszy szczęśliwie zapasy wiadomości, chlubnie ich późniéj i korzystnie używał. Odznaczył się szczególnie w r. 1792 pod Dubienką, gdzie wstrzymał silny napad na swoją bateryę... Zginął tam generał Palembach, żałowany wielce przez swoich, którego pałasz dostał się w spadku Bukarowi.

Po wojnie zaszczycony krzyżem wojskowym *virtuti militari*, Seweryn oddał się gospodarstwu i obrał życie wiejskie; późniéj zrzekł się majątku dzieląc go między synów swoich: Wincentego, osiadłego

na wsi także, i Teofila, który się dał poznać jako krytyk i literat.

Mikołaj Zaleski, ojciec Seweryna, przez lat sześć marszałek żytomierski, (który urzędował w czasach dla prowincyi najtrudniejszych), był wprzódy deputatem na trybunał, potém posłem na sejm 1788 r.; w 1789 został chorążym żytomierskim i O. S. S. K. Był to mąż wielkiéj zacności i niepokalanego imienia, powszechnie szanowany; nieustannie godził zwaśnionych i żaden sąd kompromisarski bez niego się nie obszedł. Miałem przyjemność dwa razy z nim zasiadać; pojmował rzecz szybko i gruntownie, niepodobna też było więcéj nadeń mieć łagodności, wyrozumienia i delikatności, temi nawet gdy o wyrok chodziło, umiał wszystkich pokonać.

Wszystko to byli ludzie możni, mający wielkie znaczenie w obywatelstwie, prawi i nieposzlakowani, smiało los rodziny można było złożyć w ich ręce.

I nie było też w owe czasy przekupstwa, nie słychać było o tém, żeby sędzia wziąwszy dwie głowy cukru na prostą illacyą, bez pozwu, bez odpowiedzi strony, nakazał reindukcyę, a na mocy

dawnych naszych praw sądził — ani, by za trzysta rubli wydawał rezolucyą wdowie na podniesienie własnéj jéj summy w aktach jego reponowanych; nie trafiało się, by po zmarłéj głowie nie obwieściwszy przez okolniki publiczne licytacyi, cichaczem na nią z kilką żydkami zjeżdżał, sam jeden do niéj stawał, a remanenta kilkadziesiąt tysięcy wartujące za kilkaset rubli zlicytował pozornie; gdy tymczasem do wioski P. sędziego je odtransportowywano. Takich brudów nie widzieliśmy dawniéj, nie hańbiono się i nie sprzedawano!



IX.

Polowanie.

Wspomniałem wyżéj, że Iliński, starosta cudynowski, był niezwalczonym rycerzem do kielicha, i z wrodzonéj skłonności i z ówczesnego zwyczaju. Nie w mniejszym stopniu zagorzałym był myśliwym, a dwie te namiętności jednoczyły go ściśle z hetmanem Branickim, który im także ulegał.

Myśliwcy ci, dla składania ofiar na cześć Bachusa i Dyanny zjeżdżali się to do Lubomla, dóbr hetmana, obfitujących w niezmierne lasy pełne grubego zwierza, to do Kureńskiego klucza, dziedzictwa Ilińskiego, który też w źwierzynę obfito-

wał. W r. 1779 Iliński zaprosił do siebie hetmana Branickiego na polowanie, po cichu od roku przysposabiając się na przyjęcie sercu swojemu miłego gościa.

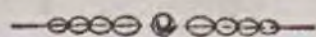
W Kurnem budowano tymczasem domki, stajnie, psiarnie, gotowano wszelkiego rodzaju zapasy na pobyt myśliwych, gości, przyjaciół i świty pana hetmana, wiązano parkany, zszywano sieci, nabywano z najpiérwszych psiarni jak najlepsze ogary, sprowadzono z Gdańska przez szypra Duńskie brytany, zwane pijawkami, które są tam pospolicie do szczucia dzikiego zwierza używane; strojono w cieńkie sukno myśliwych, strzelców i dojeżdżaczy, słowem nic nie skąpiono by znakomicie wystąpić. Ze swojéj strony sąsiad Kurnego, książe Kalixt Poniński, żonaty z księżną Kasprową Lubomirską, mający grosza dosyć po temu i ogromne obok lasy, w środku ich, w lichéj, poleskiéj wioseczce wystawił dom nakształt oberży o trzydziestu pokojach, z kuchniami i stajniami na kilkaset koni. Pan hetman zaproszony stanął w wigilię swoich imienin, S. Ksawerego, w Skarżyńcach, u serdecznego przyjaciela i zastał już na przybycie swoje sproszoną wielką kompanię.

Byłem tam i ja z mojemi rodzicami; nazajutrz jakby wiązanie dla solenizanta, wyprawiono wielką rewią myśliwską.

Zastaliśmy na polu uszykowane całe myślistwo, do stu ludzi na dzielnych koniach, w nowych i cieńkich mundurach, każdy ze strzelbą na plecach francuzką lub angielską i kordelasem, ale najwięcéj zwracał oczy na czele stojący pan łowczy, ogromny mężczyzna z wąsami, jakim równych nigdy późniéj w życiu nie widziałem, grubości nadzwyczajnéj i długości niesłychanéj, jak broda Ś. Onufrego do pasa sięgającemi. Pan hetman konno, gospodarz na koniu grubszym od siebie, mnóstwo mężczyzn, damy i dzieci w kolaskach, powozach i wózkach wyjechali na to ciekawe widowisko. W polu za wsią był plac duży ogrodzony ostrokołem, nakształt szczwalni, wpuszczono tam niedźwiedzia, a psy i brytany za nim. Walka była długa, niedźwiedź kilka psów rozdrapał, ale pijawki owe duńskie go osadziły, a łowczy kordelasem dokłuł. Puszczono potém po jednemu kilka wilków w pole, a charty je pojedyńczo brały, wśród uganiającéj się do koła jak zajrzéć, całéj konnéj czeredy myśliwców. Powróciła kom-

pania do pałacu na obiad, a przed panem hetmanem, *more antiquo*, postawiono pieczeń ze źrebięcia. Oh! jakaż potém pijatyka była! jakie rozczulenie, pan Iliński swego wąsatego łowczego musiał aż odstąpić panu hetmanowi. Nazajutrz dano na stół łapy niedźwiedzie, ale téj potrawy nie kosztowałem.

Wszystko to przeniosło się późniéj do Kurnego i do Miakołowicz; mówią, że ta zabawka do stu tysięcy kosztowała pana Ilińskiego i tyleż księcia Kaliksta Ponińskiego, chociaż co do wspaniałości myśliwskich przyborów staroście cudynowskiemu nie zrównał. Na samą myśl co tam wina wyszło, włosy na głowie powstają.



X.

Kontrakty Dubieńskie 1780 roku i t. d.

Jak tylko zapamiętać mogę, co roku ojciec mój jeździł na kontrakta, a w roku 1780 mnie w szkołach jeszcze w Syntaxymie będącego, wziął z sobą. Nie łatwo to opisać zachwycenie moje na widok tego wszystkiego co po raz piérwszy ujrzały tu oczy; obyczajem dziecinnym ciekawy i podrażniony, pytaniami zarzuciłem ojca i nie dałem mu spokoju. Ale co się to ze mną działo, gdym stanął przed księciem Ponińskim P. W. K., który naówczas był duszą kontraktów. Książe przyjął ojca mego jako dobrze znajomego z serdecznością wielką, i zaprosił raz na zawsze na c-

biady i kolacye; siedzieliśmy więc tu ód rana prawie do późnéj nocy.

Jak z papierów małego mego archiwum widzę, ojciec mój corocznie miewał z księciem Ponińskim rachunki od roku 1775; trzymał od niego dobra zastawą, miewał drobne kapitaliki, i tego roku także wziął dwie wsie w zastaw za sześćdziesiąt pięć tysięcy. Pańszczyznę nam liczono po groszy osiémnaście ciągłą, po dziesięć pieszą, a kury, jaja, motki, dni letnie, połowę szarwarków i inne daniny *pro commodo* dzierżawcy dodawano. Nadtom był naówczas dzieckiem jeszcze, ażebym mógł pojąć obrót kontraktowych interesów; tom tylko pochwycił i zrozumiał, co mi w oczy wpadało.

U księcia Ponińskiego ścisk bywał niesłychany, a jak późniéj na drugich i trzecich zobaczyłem kontraktach, wszystkie ważniejsze roboty u niego się odbywały, tak, że u księcia więcéj bywało ludzi, niż w kancelaryi kontraktowéj, w zabudowaniu wśród fortecy naprzeciw pałacu księcia Michała Lubomirskiego, gdzie się urzędowie czynności spełniały. Od samego rana w kilku pokojach zastawiano stoły sztofami wódek gdań-

skich połyskujących złotem, ostrygami, minogami, śledziami holenderskiemi, sérami szwajcarskiemi w całych kręgach tak ogromnych jak koła powozowe. Kto tylko przyszedł, jadł i pił, co mu się podobało, a gdy zabrakło przekąsek, na nowo śniadanie zastawiano, secinami butelek piwa angielskiego je podlewając. Jak dziś miarkuję i przypominam, i wówczas utrzymywano, każde takie kontraktowe śniadanie najmniéj dziennie trzysta dukatów kosztowało.

Do obiadów po sto i więcéj osób zasiadało, a korki szampańskiego wina wystrzałami salutowały biesiadników. Trafiło się raz, że ojciec mój, któregoś dnia być nie mógł u księcia, Poniński bardzo mu to wymawiał, od téj pory bywaliśmy już co dnia. Po obiedzie rozkładano stoły, przynoszono stoliki do kart, ciżba znowu niezmierna się naciskała i poczynano grę najmniéj u dwudziestu stolików. Ci co bank faraona ciągnęli, mieli przed sobą kupy złota wielkie jak kretowiny, na innych stołach grano w kwindecza, ale i tam złota nie brakło. Ojciec mój siadał do kwindeczyka, bo to była gra jego ulubiona; mnie wówczas z hajdukiem Wasylem, który na rękach no-

sił lub na stołku przytrzymywał i niańczył, odsyłał do stancyi, gdzie mnie już pan Strzałecki nie odstępował. Jak tam mój ojciec w karty wychodził, nie wiém, ale czasem zrana ważył, brakował i przebierał złoto. Pod koniec kontraktów wielki był nacisk u księcia, tak szlachta niosła mu pieniądze. Wprawdzie o ile dziś pomiarkować mogę, nie było summ tak wielkich jak teraz, ale znoszono po trochu kapitaliki, spijano wódki, zmiatano zakąski, wypróżniano butelki pieniącego się angielskiego piwa, a do kassy ledwie się dobić było można.

Czytałem afisze i słyszałem, że były reduty, komedye, teatr, ale na nich nie bywałem i wyobrażenia nie miałem jak to wygląda; chociaż ojciec mój z księciem codzień się prawie tam znajdowali. Dla mnie wszystko było nowością i zabawką; przypominam sobie, że tu raz piérwszy widziałem służbę laufrów, których kilku uwijali się u księcia na pokojach i przed karétą jego z harapniczkami latali. Każdy z Wielkopolan musiał mieć choć jednego takiego konio-człowieka; w Warszawie i w W. Polsce, trzymano laufrów do roku 1792. Ostatnią razą widziałem ich je-

szcze w roku 1811 przy dworze króla Saskiego, który codzień spacerem jeździł z królową i królewną sześcią końmi z konia, furmani i forysie z trąbkami, za koczem spuszczonym dwóch bardzo grubych lokai z harcapami spadającemi na krzyże, przodem dwa laufry.

Ojciec mój ukończywszy interessa swoje, bawił jednak dość długo na kontraktach; był to wielki adorator księcia i mawiał często, że nie ma w Polsce nadeń rzetelniejszego i dostępniejszego pana.

Nareście wszyscy się już rozjeżdżali i my nazajutrz powracać mieliśmy do domu, książe zawołał mnie do gabinetu, dał mi cukierków ile się ich tylko w kieszenie pomieścić mogło, a w dodatku pięć dukatów. Niewypowiedzianie kontent byłem z obójga, a powróciwszy do stancyi pokazałem ojcu i prosiłem go, żeby mi co za to kupił, ale ojciec ostro zganił, że pieniądze wziąłem i kazał mi je oddać matce.

Ledwieśmy powrócili do domu, tylkom futro z siebie zrzucił, pobiegłem z cukierkami i pieniędzmi do matki.

—Zkąd-że to te pieniądze? zawołała.

—Od księcia.

—Jakżeś ty je śmiał przyjąć! Matka moja bardzo była dumna i wyniosłego ducha, obraziła się, że syn jéj pierworodny, poniżył się przyjmując pieniądze od obcego człowieka; długa była z powodu tego perora i zapalczywie wymówna. Słuchałem jéj stojąc skruszony jak zbrodzień, gdy weszły dwie dziewki i panna Stolińska, która tego rodzaju exekucye kryminalne spełniała, rozciągniono mnie bez litości i piętnaście dyscyplin jak jedna wyliczono, wprzódy niżelim się rozgrzał po zimnie.

Miano mnie wysłać do szkół, gdy nadjechał mój wuj, dla którego ojciec z kontraktów przywiózł był procent; dwa dni wstrzymano mój odjazd.

Wuj chciał mi dać parę talarów na drogę, alem mu się z pychą postawił i pieniędzy przyjąć nie chciałem; poskarżył się o to siostrze; nowe tłómaczenie, że od tak blizkiego krewnego godziło się przyjąć dowód łaski. Musiałem mu do nóg upaść, przeprosić, pieniądze przyjąć, a dla pamięci znowu do garderoby zawołano i zwyczajnym trybem i obrzędem, panna Stolińska admi-

nistrowała dziesięć dyscyplin. Takie to z piérwszéj podróży mojéj odniosłem zyski.

W roku 1781 przed samemi kontraktami, powrócił z Lublina po odbytéj funkcyi deputackiéj, pan Popiel, wielki przyjaciel rodziców moich; radość z przybycia jego była niesłychana. Był to człowiek trzydziesto-letni, piękny i bardzo grzeczny. Umówiono się razem na kontrakta jechać, i znowu mnie zabrano. Byłem już w Poetyce i miałem lat piętnaście, to też uszczęśliwiała mnie ta podróż tém bardziej, żem był faworytem pana Popiela, a matka mnie oddała mu w opiekę. Ku większéj méj beatyfikacyi, jejmość dała mu dziesięć dukatów, aby mi sprawił za to mundur Kijowski ze złotą szlifą, jaką wówczas noszono.

Wyjechawszy z domu wstąpiliśmy naprzód do Zaborzycy, do pana stolnika owruckiego, Swiejkowskiego, ztamtąd z nim razem posunęliśmy się do Dubna, i w jednym domu stanęliśmi kwaterą. Jeszcześmy się nie rozpakowali, gdym już począł naglić i moroczyć pana Popiela, żeby mi co prędzéj mundur i szablę, (bo moja krótka już była) sprawiał; zaraz się też wziął do tego i nazajutrz byłem w mundurze. Poszliśmy do księcia

Ponińskiego: tu wszystko było po przeszło-rocznemu, śniadania, obiady, karty, ale roboty kontraktowe jeszcze żwawsze i gorętsze.

Książe już był bez nas sprzedał kilka wiosek od Cudnowszczyzny, klucz Januszpolski panu Bukarowi sędziemu, przeszłemu zastawnemu dzierżawcy, Troszczę i Borkowce, Strutyńskiemu, za cztéry tysiące dukatów. Pan Kordysz kupił klucz Czartoryjski od pana Swiejkowskiego za miljon dwa kroć sto tysięcy złotych. Mnóstwo robót już było pokończonych, ojciec mój pozbiérał różne sumki i złożył znowu u księcia Ponińskiego cztérdzieści i trzy tysiące.

W kwindecza grali na współkę z panem Popielem, codzień zrana składając się po piętnaście dukatów. Ojciec mój przynosił do domu czasem obie sakiewki napchane złotem, a rano nim wszyscy powstawali, obliczał się i ważył. Dwa czy trzy razy trafiło się że przegrał, wtenczas i do mnie pretensyi szukał, znajdując żem nie miał ani dobréj maniery, ani grzeczności i obyczajności.

W kilka dni, może w tydzień po przyjeździe do Dubna, kiedyśmy my, stojąc osóbno z panem

Popielem już się byli spać pokładli i na dobre spoczywali, powrócił mój ojciec z wieczoru i nagle nas rozbudził. Patrzymy, wyjął dwie sakiewki pełniuteńkie złota, i osóbno ogromny węzeł w chustce: zaczęto liczyć, kupa była duża, a z działu każdemu z okładem po cztérysta dukatów wypadło. Naówczas pan Popiel odsunął z kupy dwadzieścia czérwonych złotych i rzekł do ojca:

— To musimy odłożyć dla Duklanka, na lepsze oporządzenie, osobliwie na mundur Lubelski, który i pan nosisz, mając tam dziedzictwo pod dożywociem matki, wiém, że sobie tego mocno życzy.

Ojciec pod dobry humor zgodził się na to, a ja już u nóg jego leżałem, przydał nawet jeszcze dziesięć dukatów na zielony garnitur ze złotym sznurkiem. Pan Popiel wziął na siebie moje oporządzenie, i aż nadto mnie może wyelegantował. Oka nie zmrużyłem do dnia myśląc jak wyglądać będę.

Kiedy tak ojciec kassę swoją sortuje, oblicza, robi interessa i gra szczęśliwie w kwindecza, my tymczasem z panem Popielem, który był moim ciceronem i dobrodziejem, a miał ogromne

znajomości, robiliśmy wizyty, codzień chodziliśmy na reduty i teatr, na wieczory i assamble.

Najmilszy to choć najburzliwszy czas ów przejścia z dzieciństwa do młodości; nie było aktorki, w któréjbym się serdecznie nie kochał, nie było damy z tych u których bywaliśmy, (a wszędzie nas dobrze przyjmowano i mnie garderoba nowa nie mało do śmiałości i prezencyi pomagała)— żebym dla niéj nie poczuł choć na godzinę największego zapału. Tymczasem u księcia Ponińskiego, jego i całych kontraktów interessa robiły się na wielką skalę. Dwóch jego plenipotentów: pan Rotmistrz Gołowiński i pan Ferdynand Żórawski, (który tychże kontraktów kupił sobie za darowane od księcia podskarbiego pięćdziesiąt tysięcy, Superitendencyą Ukraińską od pana Fabiana Godlewskiego)— nieustannie zajęci expedyowali sprawy, które książe Poniński w mgnieniu oka decydował.

Gry były niesłychane: poznałem tu mistrzów ówczesnych w téj sztuce, generała Mi...... Wendorffa, Golejewskiego, Kottunk'a Fabrycego, Zakrzewskiego z W. Polski. Ci zawsze bank ciągnęli u księcia, prócz tego i na redutach ogro-

mne zakładano banki, po kilka tysięcy dukatów na każdym zielonym stoliku.

Kończyły się tedy kontrakta, ojcu mojemu jakoś się w grze szczęściło, on i Popiel mieli po tysiąc sto dukatów wygranéj każdy; obładowali się sprawunkami i z największym żalem moim opuściliśmy Dubno. Prawda żem zyskał, nabrawszy maniery, poloru i zwyczajów świata, nabywszy śmiałości, któréj nie miałem, ale tak byłem zbałamucony, żem już do lekcyi ani mógł powrócić. Rok następny bez żadnéj korzyści spędziłem w szkołach. Z jaką to ostróżnością młodego chłopca prowadzić potrzeba!— jeden krok z drogi go spycha. Na dawne tylko bacząc zasługi dano mi do Retoryki promocyą.

Nastąpiły kontrakty znowu, pojechaliśmy na nie z P. Popielem i staliśmy z nim razem. Interessa zawsze wszystkie odprawiały się u księcia Ponińskiego; podskarbi przedał czy też facyendował na klucz Łysobycki z panem Protem Potockim o Lubar. Jak lat poprzednich u niego śniadania, obiady i gra ciągła.

Ojciec mój pozbierał swoje kapitaliki, przemienił dawną zastawę i dał księciu na klucz Wilski

sto osiémdziesiąt dwa tysiące złotych, najdogodniejszy otrzymawszy kontrakt, chociaż mu poniekąd już odradzano téj roboty, hipotekę podejrzewając, bo kredyt Ponińskiego chwiać się poczynał. Nic nie pomogły rady, ojciec bowiem tak Ponińskiemu wierzył, że oddałby mu był co tylko miał. Tymczasem od księcia podskarbiego widocznie się ludzie usuwali, roboty kontraktowe przechodziły do pana Prota Potockiego; gra jednak i pijatyka nie ustawała. Szczęściem mój ojciec miał jeszcze trzydzieści pięć tysięcy złotych u bankiera Kabrego, które jakoś na usilne nalegania i prośby pana Popiela u niego zostawił.

Na ten raz nie grał ojciec tak szczęśliwie jak przeszłego roku, jednakże motyanci wygrali jeszcze po sto dukatów z okładem. Przyszedł ojciec na zastawną dzierżawę klucza Wilskiego i spokojnie przez rok go trzymał; byliśmy na następnych kontraktach i ojciec miał ochotę odstąpić zastawy, ale już pieniędzy nie było na wykupno, kredyt Ponińskiego upadł całkowicie, pieniądze wszystkie przeniosły się do pana Potockiego, témbardziéj, gdy książe klucz Cudnowski

przedał Potockiemu, a hasło nigdy wprzódy nieznane *potioritatis*, zaczęło latać po Dubnie. Myśmy prędko powrócili do domu, ojciec od bankiera procent odebrał i za radą pana Popiela, kapitał, zmieniwszy tylko weksel, nadal pozostawił u niego.

Tymczasem w marcu zaraz, przyszła Komissya Edukacyjna z pretensyą za zaległe od trzech kroć sześćdziesięciu tysięcy złotych kilkoletnie procenta i klucz Wilski zatradowała— ojciec pozostał na lodzie. Musiał ruszać do Warszawy; nie odstąpił go poczciwy przyjaciel, i wzięli tam od Komissyi kontrakt dzierżawny, dopókiby ona swój dług wytrzymywała. Potrzeba było zapłacić z góry za półtora roku tenutę, jako wadium, pieniądze od Kabrego bardzo się przydały, a summa zastawna została bez procentu do ukończenia kollokacyi, to jest do roku 1791. Gdy mu od późno ulokowanéj summy pół procentu przepadło, nie mógł już ojciec mój mieć tego sentymentu, co dawniéj dla księcia Ponińskiego. Tak upadł ten ogromny kolos, albo właściwiéj mówiąc olbrzymich rozmiarów machina, która interessa całéj Polski obracając przez lat dziesięć, grą swoją

i ruiną wielu niewinnych pokaleczyła, przysypując gruzami.

Odtąd wszelkie roboty kontraktowe, wszystkie interessa ważniejsze i zaufanie powszechne przeszło do pana Prota Potockiego. Należał do tych facyend i pan Morzkowski; ścisły związek z bankierami do akuratności pomagał, z największą też rzetelnością wypłacano wszystkim do roku 1793. Upadek kilku bankierów, pociągnął za sobą i zawikłał fortunę Potockiego. Majętności Ponińskiego w roku 1784 poddane *sub hastam potioritatis*, po raz piérwszy wywołały te straszliwe słowa i dały poznać dotąd niepraktykowany sposób pozbycia się długów.

W prawie pisaném ciemno i głucho było, *de potioritate*, osobliwie w konstytucyi 1588 roku,— a w praktyce rzecz to była nowa i niesłychana prawie; nigdy się nic podobnego jeszcze nie trafiło. Ziemianie-szlachta co po przodkach brali wioski, nigdy ich nie obciążali nad miarę, owszem starali się jeszcze przydbać posagi dla córek, a synami, jeśli ich kilku było, tak starali się rozporządzać, żeby z nich każdy na chleb sobie zapracował. Jednego zwykle zostawiali przy

sobie, innych mieścili po dworach panów, u których stare mieli zachowanie i zasługi, to w stanie duchownym, gdzie im tylko dopomagano do otrzymania stallów i beneficyów, lub kupowali im szarżę wojskową.

Przydać potrzeba, że takich zbytków niewidziano wprzódy, jakich się potém namnożyło. Jejmość jeździła gdańską kolaską, która najwięcéj jeśli sto dwadzieścia tynfów kosztowała, lub karétą tejże fabryki, trypą wybitą, trzysta tynfów wartującą, końmi wprawdzie tłustemi, ale swojego chowu, naszéj krajowéj rassy, któréj teraz śladu niema. Garderobę składały dwa po prababce robrony, ze dwa saki, tyleż kontusików, i to wystarczało na całe życie, a jeszcze się i córce w spuściźnie dostało. Niepotrzeba o tém zapominać, że wielkie panie brały na swą opiekę córki ziemian, na rezydentki, jak tylko one wyszły z edukacyi klasztornéj; ztamtąd im dawano wyprawę i pomagano całe życie. Jegomość będąc kawalerem, a wieszając się dworu magnata, z pomocą jego miał garderobę piękną i obfitą, nie potrzebował sprawiać nowéj, tylko ją ścieśniał lub rozpuszczał, w miarę przybywającéj lub

uchodzącéj cyrkumferencyi, a potém ją na dorosłych synów przerabiał i kwita. Dodajmy do tego taniość niesłychaną towaru wszelkiego, naprzykład: beczka dobrego wina węgierskiego kosztowała cztéry dukaty, okseft francuzkiego najdroższy siedem, oko kawy i oko cukru pięć złotych. Było to jeszcze za mojéj pamięci i w notatach ojca znajduję też same ceny. Intraty były daleko mniejsze od dzisiejszych, pijano prawda wiele, ale to tanio kosztowało. Taki stan i obyczaje nie wprowadzały ziemian w długi, owszem można jeszcze było przyrobić majątku, co kto uzbierał oddawał zaraz panu na zastawną dzierżawę lub arędę; nie było więc praktyki prawie, żeby się ziemianie zadłużali, sprzedawali wioski i wykręcali od wierzycieli. Tego rodzaju facyendarstwo wprowadził piérwszy Adam Poniński w roku 1773. Jeśli który z panów wielkich pobrykał trochę za granicą, albo w kraju poszumiał, milion, dwa, trzy długu zrobiwszy, sprzedawał kilka wiosek, klucz lub dwa i kredytorów uczciwie zaspokoił— o kredzie inaczéj słychać nie było. Ponińskiego roboty były innego rodzaju. *Passiva* przenosiły *activa*, przedaż więc nie mogła

mieć miejsca, potrzeba się było uciec *ad potioritatem*. Prot Potocki największą miał należność na téj fortunie, a połączywszy ją z rachunkami Kabrego, Teppera, Szulca i innych bankierów, podniósł do dwudziestu z górą milionów; prawdziwe to było szczęście dla szlachty, któréj się cóś od Ponińskiego należało, bo Potocki wziął się czynnie do windykowania, a do téj czynności przybrał sobie jak się wyżéj rzekło pana Józefa Morzkowskiego, chorążego podlaskiego, świéżo ożenionego z panną Hańską. Morzkowski, wychowaniec sławnego Antoniego Tyzenhauza, P. N. Litewskiego, świéżo też przez Ilińskiego starostę grodowego żytomierskiego instrumentowany był na podstarostę tego grodu, i równie świéżo osiedlił się w województwie Kijowskiém. Po sejmie roku 1773 i trwających do 1775, był on w kancelaryi sejmowéj, w wydziale wydawającym sancita na kommissye: te dwie posady dały mu sposobność poznania interesów całego kraju i nabycia statystycznych wiadomości o wszystkich majątkach. Morzkowski nie miał odznaczającego się wychowania, innego języka nad polski i łaciński nie umiał, ale łacinnik był tęgi, a dary natury na-

gradzały co zbywało z innéj strony. Rozsądek naturalny miał zdrowy, pojęcie bystre i łatwe, a praca ciągła ukształciła go na prawdziwie wielki geniusz w zawodzie sądowym i prawniczym. Nie mógł więc pan Potocki szczęśliwiéj dla siebie i kredytorów trafić. W roku 1786 zapadł w trybunale Lubelskim dekret, naznaczający zjazd podziałowy fortuny Ponińskiego, w całym kraju, po wszystkich województwach rozsypanéj. Morzkowski utworzył doskonałą regułę, determinującą postępowanie i formy sądu zjazdowego, był zarazem naznaczony oficyalistą zjazdowym od massy, a drugim z nim Franciszek Puhała, komornik graniczny czerski, chociaż nie w sile był iść z nim w parze i Morzkowskiemu wydołać.

Na expensa tego rozbioru Trybunał naznaczył od tysiąca złotych po czerwonym złotym od kredytorów, z każdéj zalikwidowanéj i uiszczonéj summy, a że *activów* było 83,000,000 złotych polskich, wypadła summa 83,000 dukatów na koszta, zapłatę oficyalistów, utrzymanie kancelaryi i t. p. Zdaje się na piérwszy rzut oka, że to summa bardzo znaczna, ale też jakie były wydatki! Wiele to potrzeba było po całym kraju

utrzymać geometrów, wielu rachmistrzów dla sformowania inwentarzy, ile kosztowały podróże do zweryfikowania tego na gruncie, ilu w kancellaryi utrzymać było potrzeba ludzi, ku czemu Morzkowski posprowadzał najwięcéj swoich familjantów z Podlasia, i ci na téj kredzie z wielką wyszli korzyścią. W pięć lat niespełna Morzkowski ukończył ten akt, bo w r. 1791 już go trybunał zatwierdził i każdy kollokator wprowadzony był do swéj części; a tak mistrz tén sam zrobił wzór pierwszy czynności dotąd w Polsce niewidzianéj z sztuką prawdziwie doskonałą, na nieszczęście do zbytku późniéj naśladowaną.

Dodać do tego należy, że żadnéj kadencyi sądów w których był prezesem, nie opuścił, a być bardzo może, że ta kreda Ponińskiego posłużyła i do owéj wielkiéj krescytywy jego majątku, przez nabycia kredytorów, na imie różnych osób z kancelaryi. Szczególniéj jednak pomógł P. Morzkowskiemu do zrobienia fortuny, nowy porządek rzeczy w tym kraju.

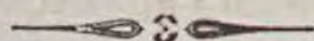
Od r. 1793 wielu właścicieli, którzy w Polsce mieli znaczniejsze majątki, a mniejsze dobra w odpadłych prowincyach, poczęli je zbywać bardzo

tanio. Po bankructwie kilku bankierów cyrkulacya pieniędzy została zatamowana chwilowo, i kapitałów brakło w naszym kraju. Morzkowski, jak gdyby przewidywał te wypadki, miał znaczny kapitał w gotówce, do tego kredyt jego wzniósł się do takiego stopnia, że na kilka lat przed śmiercią, całe kontrakty i wszystkie obróty pieniężne miał w swoim ręku. Był on do śmierci prezesem Izby cywilnéj Kijowskiéj, a od wstąpienia na tron Cesarza Pawła Igo nie było ani jednego dekretu jego, któregoby senat nie potwierdził.

Dla trzech swych córek zrobił majątku dwanaście milionów, a pewnie z parę milionów darował bratu Franciszkowi, ale nikt powiedzieć nie mógł żeby ten nabytek z czyjąkolwiek przyszedł szkodą, wydarty był podstępem, lub wymożony przemocą. Dodajmy do tego, że w pięć lat niespełna, Morzkowski skończył rozbiór ogromnéj fortuny po całéj Polsce roztrzęsionéj, osiemdziesiąt trzy miliony activów wynoszącéj, gdy naprzykład kommissya Rzewuskich, fortuny daleko mniejszéj podobno, w dwóch tylko wielkorządztwach położonéj, od lat dwudziestu kilku trwając ukończyć się nie może. Komisarze biorą pensye, ciągną

rozbiór, a ileż to rodzin oczekując ostatecznego wyroku, bez kawałka chleba, bez sposobu do życia zostały. Po rozbiorze fortuny ks. Ponińskiego, nastąpił wkrótce drugi rozbiór dóbr Prota Potockiego, a chociaż majętności były wielkie i bardzo rozrzucone, Morzkowski w lat dwa go ukończył szczęśliwie. Po tych dwóch praktykach mnóstwo się natworzyło wielkich i małych rozbiorów, a Litwa w tym względzie przewyższyła Koronę.

Czuję tu jeszcze potrzebę dodać, że kontrakty dawniéj odbywały się we Lwowie, a gdy po piérwszym podziale, Lwów odpadł pod panowanie austryackie, sejm 1775.roku, naznaczył Dubno w zastępstwo Lwowa. Zaczynały się zwykle w pierwszy poniedziałek po Trzech Królach; we Lwowie jednak utrzymały się kontrakty, których termin na dwa tygodnie po Dubieńskich był odroczony.



XI.

Dwory pańskie w XVIII wieku.

Dwory pańskie bywały bardzo liczne: składały się one głównie z saméj szlachty, synów obywatelskich, dworzan, pokojowców, giermków alias paziów; lokajów i kamerdynerów nieznano. Byli za to hajducy, pajuki w barwie i laufry w właściwém sobie odzieniu. Dworzanie ubierali się jak się im podobało, ale na pokoje występowali przy pałaszach i w ładownicach; brali wprawdzie bardzo szczupłą gażę zwaną *salarium*, lecz panowie prezentami ich podsycali. Musieli mieć konie dzielne, rzędy sute, bo w stolicy lub na wizytę wszyscy stawali kawalkatą około karety, w któréj pan lub

pani jechała. Kareta ozdobiona była z przepychem, herbami i insygniami dostojności, którą pan piastował; ciągnęły ją konie wedle ówczesnéj mody tarantowate jak lamparty, białe z pąsowemi albo zielonemi grzywami, lub izabellowe jasno-cieliste, z białemi nozdrzami, ogonami i grzywami, a oczami czerwonemi. Tę rasę sprowadzano z Hiszpanii; śladu już jéj teraz niéma, a i tarantowate także wyginęły. Białe z pąsowemi lub zielonemi grzywami możnaby i dziś mieć; malowano je bowiem, a i tarantom się to trafiało, że gdy do cugu jednego lub dwóch brakło, malarz z białego umiał na taranta przerobić. Szory na konie złocone były, z czubami na łbach złocistemi, jedwabiem przerabiane, piórami strusiemi przyozdabiane; stangret i foryś odziani byli w żupanach i ferezyach z wysokiemi kołpakami, za karetą stawali czterech hajduków. Jeśli pani jechała, taż sama bywała aparencya, z tą tylko różnicą, że na stopniach stali paziowie; takie ekwipaże, ja jeszcze w r. 1785 w Warszawie widziałem u starych panów i pań dobrze podeszłych, trzymających się dawnéj mody. Ekwipaż poprzedzali dwaj lub jeden z harapnikiem laufer w koléj; jeden też z dwo-

rzan wyznaczony był do ręki pani, gdy do kościoła lub pałacu wchodziła, i podawał ją zdaleka jak do tańca o krok naprzód postępując. Paziowie ogon długi nieśli.

Pokojowi, była to służba pałacowa jednakowo ubrana, zawsze przy pałaszach, stojąca za panem, panią i gośćmi z talerzami u stołu; tym się często trafiało leżeć na kobiercach; uczyli się powinności dworskich w przyjmowaniu gości, przy stole, rozbierając na powietrzu kapłona i t. p. *Paziowie* był to dobor pięknych dzieci szlacheckich, pospolicie z hiszpańska bogato strojnych, których panie za dójściem do młodzieńczego wieku posuwały na dworskich, kupowano im szarże w wojsku lub wyrabiano urzęda powiatowe i wojewódzkie, żeniono ich zyskownie albo w służbie kościoła promowano na wysokie w hierarchii stopnie. Zgoła paź wielkiego pana całe życie był protegowany przez jego familją, jako z dzieciństwa mający w niéj zasługi. *Laufrów* odziewano z hiszpańska w lekkie materye, w trzewiki, z kaszkietem na głowie z herbem pańskim i piórami strusiemi, którego nie zdejmowali nigdy ani w kościele, ani w sali posługując do stołu. Każdy pan trzymał prócz

tego żołnierzy nadwornych, piechotę i konnicę, i miał także *Kozaków* dworskich i do posyłek. Panie miewały jeszcze przy sobie panienki szlacheckie pod tytułem panien respektowych, do których trzymały guwernantki, ochmistrzynie, obowiązane czuwać nad obyczajami, ich nauką i tém wszystkiem, co należało do dobrego wychowania i właściwe było szlacheckiemu urodzeniu.

Gdy pani wychodziła na pokoje, u siebie lub w gościnie, wszystkie panny respektowe musiały się przy niéj znajdować dla assystencyi; obowiązkiem pań było wydawać je za mąż, a wychodzące z domu opatrzyć wyprawą i posagiem...

Marszałek dworu musiał być koniecznie posesyonatem i jakimś urzędnikiem powiatowym lub wojewódzkim; on zastępował gospodarza domu, pod jego dependencyą byli dworzanie, w ścisłym bardzo dozorze pokojowce, paziowie, cała barwa (tak wówczas zwano liberyą) i kuchnie. Do innych wydziałów byli osobni urzędnicy; podczaszy (piwniczy), koniuszy, szatny, który ogromną i bogatą garderobą pańską zawiadywał, jako to żupanami ze złocistych lub srébrnych materyj, kontuszami ozdobnemi w sznury pereł uryańskich, lub

szamerowanemi łańcuchami brylantowemi, z guzami kameryzowanemi, ze spinkami z drogich kamieni — pasami złotemi, srébrnemi, szalowemi perskiemi, chińskiemi, indostańskiemi i t. d. U niektórych panów osobni nawet byli urzędnicy zawiadujący kulbakami i rzędami na konie, które bywały bardzo kosztowne, wybijane blachą srébrną, pozłocistą, sadzone turkusami, ze strzemionami i wędzidłami złotemi od wielkiéj parady. Nie razem jeszcze je widywał, dziś ich już nie zobaczyć.

Daléj jeszcze składały się dwory z pajuków, hajduków, kredencerzy; to było w barwie, którą dziś liberyą zowią, koniecznie w kolorze rodzinnym, zastosowanym do barwy tarczy herbowéj. Świętokradztwem było i zbrodnią niedarowaną cudze sobie przywłaszczyć kolory, od naddziadów spadały na wnuków farby i kroje barw dworskich. *Pajuki* nosili żupany długie, z pod których jednak widać było spodnie, pasy które pan rozdawał, na wierzch delję rozpiętą. Żupan i delja ozdobione były pętlicami złotemi, srébrnemi, złotniczemi lub szmuklerskiemi, jedwabnemi lub kamelorowemi; na wygolonéj wysoko głowie mieli

czapki śpiczaste, obwinięte materyą koloru herbowego, któréj ani na pokojach, ani nawet w kościele nie zdejmowali. Służby téj używano tylko w domu, w pokojach; dobierano do niéj ludzi wysokiego wzrostu, pleczystych, z dużemi wąsami. *Hajducy* mieli czekczery bardzo obcisłe od pasa do stóp, z tyłu od zgięcia kolana czekczery te spinały się na bardzo duże srébrne lub pozłacane wypukłą robotą haftki, nogi w sznurowanych ciżemkach czerwonych, żółtych lub czarnych. Cały lejbik i czekczery burtami strzyżonemi, jedwabnemi albo kamelorowemi były po szwach obszyte; na przedzie takąż robotą jak haftki były pętlice. Na głowie włosy zapuszczone, ujęte w kosę z tyłu jak węgorz długą, z przodu od skroni oddzielone w sploty pozwijane, spadały na ramiona jak pejsy żydowskie. Pokrywali głowę krągłym kapeluszem z szérokiemi skrzydłami, przytém wąs duży był koniecznym: oba te stroje w saméj rzeczy były bijące w oczy i w swoim rodzaju piękne. Na hajduka dobrze zrobić odzienie było wielkim kunsztem; dobierano zwykle na nich jak najlepiéj zbudowanych ludzi. Takich hajduków i pajuków panowie po kilkudziesięciu miewali, ale i szlachta

ubóższa na prowincyi, musiała też mieć choćby po jednym hajduku i pajuku.

Pajuk stawał przy pani około ławki w kościele, z książkami, w gościnie z talerzem u stołu, zawsze w wysokiéj swéj czapce na głowie. Hajduk trzymał przy panu pałasz, kiedy nie było wielkiego festu, w uroczyste bowiem dni wszyscy szli do kościoła przy pałaszach.

W r. 1786 zastałem jeszcze w Warszawie wiele pańskich domów, jeżdzących z kawalkatą ekwipażami jakiém powyżéj opisał; trzymały one hajduków i pajuków, ale młodzi ludzie i młode damy już miały lokai, a kawalerowie huzarów za karetą i krzesłem stawających. Ci niewiele się różnili w stroju od hajduków, tylko, że huzar miał pałasz, mentyk i ładownicę. Król taką samą miał służbę, a książe prymas trzymał hajduków, którzy należeli do parady jaką niżéj opiszę. I król i książe prymas mieli także pajuków, którzy po dwóch w każdych drzwiach zamku stawali i takąż służbę pełnili w izbie sejmowéj; ubior ich był taki jakim wymienił wyżéj, ale za pasem nosili zatknięte kindżały. Prymas do śmierci taką służbę chował,

król nie wiem czy ją z sobą po abdykacyi do Grodna i Petersburga przeniósł.

Widziałem dwa razy księcia prymasa występującego w całéj paradzie na celebrę uroczystą, officyalnie jadącego do kościoła S. Jana i do dworu. Naprzód szła przed nim eskorta gwardyi konnéj z oficerem, za nią na koniu marszałek dworu z podniesioną laską jak przed królem marszałkowie wielcy, a ten powinien był z prawa być koniecznie senatorem jak u króla. (U króla marszałkiem nadwornym był Alexandrowicz, kasztelan podlaski, u prymasa Oborski, kasztelan ciechanowski; ci mieli osobny stół do którego w imieniu króla lub prymasa przez bilety zapraszali).

Za marszałkiem jechał koniuszy, za nim dwaj masztalerze przy pałaszach, za témi piechoto pięćdziesięciu hajduków, na czele ich jeden z wysoką laską zakończoną ogromną gałką wyzłacaną z kordonem złotym jak u tamburmażorów. Hajduki za pasem mieli berdysze alias siekierki z długiemi toporzyskami, zwano ich kapłonkami prymasowskiemi, chociaż liberyą mieli dworską. Daléj przed karetą jechał ksiądz Krucyfer z wysokim srébrnym krzyżem na koniu, ten musiał być albo wysokim

jakim prałatem, albo opatem i t. p. Naówczas był nim Szydłowski, opat płocki. Za tym znowu jechali koniuszy i dwóch masztalerzy, jak za marszałkiem, nareszcie postępowała kareta sześcią końmi ubranemi w czuby, w szory złocone, z licami jedwabnemi, stangret i foryś w ferezyach. Kareta do takich tylko aktów używana, obrzędowa, ozdobiona była insygnjami państwa i prymasowskiéj godności, herbami rodzinnemi jego, na wierzchu zakończona gałkami złoconemi, nakształt wazoników, w pośrodku infułą i pastorałem; cała była w taflach przezroczystych.

W niéj siedział prymas w głębi, a na przedzie dwaj biskupi towarzyszący mu. Za karetą stali czteréj lokaje, szli jeszcze pieszo cztérdziestu pajuków, a kończył ten szereg oficer z eskortą, jak na przedzie. Jeżeli prymas jechał dokąd prywatnie, tedy albo w soliterce (karetce na jedną osobę) albo w *vis-à vis*, karecie z siedzeniem na przedzie, ale tak wązkiéj, że się tylko jedna osoba w głębi, druga z przodu pomieścić mogła.

Naprzeciw niego siedział biskup lub senator.

Takich soliterek i vis-a-vis, panowie i panie używali do wizyt także, nawet etykietalnych.

W r. 1785 zastałem wielu panów i znaczną część szlachty już w stroju francuzkim, a w r. 1788 panowie wszyscy niemal młódsi i szlachta znowu pobrali żupany i kontusze. Stanisław August od początku niemal panowania swego starał zbytki w stroju kosztownym ukrócić, gdyż te i rujnowały i oddzielały widocznie szlachtę od panów. Nie jeden magnat dźwigał na sobie kilka wiosek lub cały klucz jaki, czemu szlachta dorównać klejnotami dziadowskiemi nie mogła.

Ustanowiono na sejmie grodzieńskim mundury wojewódzkie w r. 1780, pod tytułem *Leges sumptuariae*, był to własny pomysł Stanisława Augusta. Do tego, już w epoce w któréj piszę, dwory panów powoli upadać zaczynały, ubywało dworzan i pokojowców, a chociaż możniejsi jako Czartoryscy, Radziwiłłowie, szczególniéj ks. Karol *panie kochanku*, ks. Stanisław Lubomirski wojewoda kijowski, Szczęsny Potocki i inni, po roku 1786 otaczali się licznemi gronami szlachty, nie była to już służba jak dworska, raczéj klienci i przyjaciele, których panowie do wyższych swych interesów używali, jako to na posłów, deputatów, sędziów, doradzców w sprawach osobistych i kra-

jowych. Historya mundurów przypomina mi anegdotę, tyczącą się ks. Karola Radziwiłła, który nazajutrz po wydaném prawie, stawić się miał u króla w mundurze województwa Wileńskiego, kontuszu granatowym tak wytartym i połatanym, że zdawało się, jakby go wczoraj na tandecie kupiono. Król trochę go obejrzawszy nie mógł się powstrzymać, żeby nie spytać o przyczynę takiego stroju. Na to książe Karol trzepiąc się po kontuszu: — Panie kochanku, Najjaśniejszy panie, bo to ten kontusz już na szesnastym (?) wojewodzie Wileńskim... nie każdemu, panie kochanku w takie się stare stroić łachmany.

Król zjadł przymówkę nie dając poznać po sobie, że go dotknęła.

W mojéj młodości, w Warszawie i na prowincyi, wielkie jeszcze i w stołach widziałem zbytki. Dzielono ucztę na trzy dania, a wszystkie tak obficie zastawiano, że gdyby biesiadnicy po trzy brzuchy z sobą mieli, nie potrafiliby spożyć wszystkiego; danie każde miało osobną i kosztowną zastawę, dworzanie z półmisków częstowali i gospodarzyli. Ta moda stara już przed sejmem 1788 roku ustała, kamerdynerowie zaczęli obnosić półmiski,

ubierano stoły w tafle zwierciadlane z pięknemi złoconemi galeryjkami i kryształowemi ozdobami. Te kładziono wzdłuż przez cały stół, a na nich stawiano figurki porcelanowe, koszyki i inne cacka misterne, żyrandoliki z kryształowemi wisidełkami do świéc i t. p. Na wielkie obchody, wysypywali w pośrodku stołu cukiernicy kolorami herby osób które fetowano, w koło tafel z obu stron ustawiano konfitury, blanmanże, galarety, owoce i co do desseru należało. Nie mógł być stół piękniéj i dla oka powabniéj ubrany, osobliwie wieczorem przy świécach ślicznie się to wydawało. Niektóre z tych przyborów stołowych od dwóchset do ośmiuset czerwonych złotych płacono. Taki garnitur powinienby się znajdować jeszcze w Korosteszowie u pana Gustawa Olizara, bom go widywał u jego ojca, podczas gdy sprawiał funkcyą marszałka trybunału. Serwisy owe srébrne, po sto i więcej funtów ważące, jaki jest jeszcze u senatora Ilińskiego po jego ojcu, ta nowa moda całkiem wyrugowała.



XII.

Koliszczyzna, wspomnienia XVIII wieku.

Byłem już na świecie, alem jeszcze w kolebce leżał w pieluszkach, kiedy wybuchnęła pamiętna owa rewolucya chłopska, koliszczyzną lub rzezią Humańską zwana; nie widziałem jéj na moje oczy, anim był w wieku by o niéj słusznie módz sądzić. Szkoda, że nikt z obecnych natenczas, nie opisał jéj szczegółowo i bezstronnie. Kilka mi się pism o tém czytać trafiło, niektóre zajmujące bardzo, ale wszakże niedostatecznie rzecz wyświecają. Ja powiem co zapamiętam, jako z ust wiarogodnych ludzi, naocznych po większéj części świadków słyszałem.

Kodnia była w owéj epoce kwatérą główno-do-

wodzącego partyą ukraińską, regimentarza Józefa Stempkowskiego, który dla uśmierzenia téj rewolucyi, miał sobie udzielony od Stanisława Augusta, *Jus gladii*, i przydany sąd wojenny, doraźny, nazwany *Judicium Statarium*, który w dwudziestu cztérech godzinach, bez odwołania stanowił o losie przyprowadzonych mu hajdamaków. Dziś jeszcze są tam ślady okopów starego zamczyska, i w miejscu gdzie dawniéj stał drewniany Augustyański kościołek, jamy, w których więzniów czasowo zamykano. Kościołek ten przed laty kilkunastą, gdy nowy ukończono, rozrzucony został. Tysiące ludzi w tém miejscu zginęło. Przyprowadzały ich po rozbiciu komendy ze wszech stron, wieszano, ćwiertowano, łby ucinano, innym odejmowano tylko prawą rękę i lewą nogę zostawując ich przy życiu, na postrach i świadectwo winy. Sam w młodości mojéj kilku jeszcze takich widziałem kaleków. Stempkowski i jego sąd wojenny miał przepisy postępowania i surowe polecenie dochodzenia przyczyn tak okropnego wypadku. Czytałem sam w r. 1787 w Łabuniu u wojewody kijowskiego, Stempkowskiego, cały protokół czynności tego sądu.

W powstaniu tém, kilka ledwie osób nieco świa-tléjszych od prostego gminu, udział mieli; lud szedł na oślep na rzeź i rabunek z szałem sobie właściwym, nie patrząc skutków, słuchając tylko nienawiści lub zemsty. Czterech duchownych, a dwóch między niemi starszych, którzy do tego wplątani zostali, złożyli późniéj bardzo ważne zeznania, które się w protokóle znajdowały; z niego ułożone były raporta, jakie Stempkowski przesyłał królowi. Pięćdziesiąt i sześć lat temu jakem to ogromne dzieło przeglądał, nie pamiętam już ani nazwisk osób, ani miejsc zkąd byli, lecz tok rzeczy saméj i jéj przyczyny zostały mi w pamięci.

Zacząwszy od Dubna do Dniepru, na wschód, na południe, do Dniestru ciągnęły się dobra pańskie Sanguszków, Lubomirskich, Potockich, Tyszkiewiczów, lub starostwa rozdawane przez króla; w tych wszystkich majątkach począwszy od Białopola, panowie i szlachta nie mieszkali. Obszerny więc ten kraju kawał rządzony był przez komisarzy, gubernatorami wtedy nazywanych, przez ekonomów kluczowych i żydów arędarzy. Można sobie wyobrazić, że w takim stanie rzeczy, bez

dozoru wyższego, chciwość, charakter popędliwy, podżegania żydowskie na wielkie często naprowadzały nadużycia. Obdzierano nieraz i srogo się obchodzono z ludem, który się nie zaparł całkiem uczucia swéj godności, a w dobrym bycie czerpał siły do oporu. Żydzi arędarze wciskający się jako pośrednicy pomiędzy rząd a wieśniaków, najwięcéj się dali we znaki nielitościwą grabieżą; arędowali naprzód młyny i karczmy, potém wszystko co tylko było powinnością, opłatą, daniną, w ostatku to czego nikt wydzierżawić i ciągnąć zysków nie miał prawa. Powoli to i stopniami do tego przyszło, ale chłopi od wszystkiego się w końcu do arędy opłacać musieli, nawet od kunicy weselnéj, od kar i chłosty, a nic im na stronę bez pozwolenia arędarza sprzedać nie było wolno, pod konfiskatą i sztrafami. Ten ucisk, który jakiś czas płazem uchodził, bo o nim oddaleni nie wiedzieli dziedzice i winni mu wcale nie byli, nieźmiernie małe mając z ogromnych majętności dochody, gdyż wszystko to panowie gubernatorowie i ekonomowie zagarniali, nareszcie wywołał zaburzenie i wybuch gwałtowny. Duchowni nieraz upokorzeni, musieli sympatyzować z ludem,

z którym ich wiara łączyła, jedno słowo nieostróżne, w boleści wyrzeczone, mogło być iskrą podpalającą gotową do wybuchu minę. Znalazł się śmiały naczelnik i powstanie groźnie się szérzyć poczęło.

Tym był Gonta i ataman Korsuńskich kozaków Żeleźniak; w Korsuniu piérwsze było zbiegowisko spiskowych, Gonty, Żeleźniaka i duchownych, którzy do tego należeli. Ztąd rozpuszczono śmiałych wysłańców na różne strony, a ogień objął tém łatwiéj całą Ukrainę, że w niéj podówczas wojska koronnego nie było. Ogniskiem stał się Humań, i tu jak wiadomo, rozpoczęła się niesłychanego okrucieństwa rzeź, z któréj nikt prawie nienawistny im nie uszedł; tu miały miejsce piérwsze świętokradztwa, o których wspominać nie chcę. Gonta z zebraną drużyną posunął się daléj i w pień wycinając szlachtę, księży i żydów nie zostawił nikogo od Dniepru do Pawołoczy. W kilka tygodni dopiéro, wojska rossyjskie i polskie przypadły dla uśmierzenia tego buntu i pokonały go, hajdamaków pochwytanych wysyłano do Kodni dla sądu i kary.

Jeśli archiwum Łabuńskie przez zjazd oficya-

listów i kredytorów zniszczone nie zostało, musi się w niém jeszcze ciekawy ten protokół znajdować; lub u Stempkowskich, wnuków wojewody; w nimby obszerne do poznania tego wypadku i najwiarogodniejsze znaleźć można materyały. Powiadają, że Gonta skazany, jako przewódzca, na darcie pasów i ćwiertowanie, wyszedł na plac z wesołą i wypogodzoną twarzą, jakby do kuma na chrzciny. Kat udarł mu pas skóry, krew się polała, a twarz hajdamaki ani się zmieniła, udarto drugi, a Gonta odezwał się do patrzących:— Ot howoryły szczo bude bołyty, ani kryszki ne bołyt!— Gdyby człowiek z tak wielką mocą charakteru, na inném stanął stanowisku, czegożby nią dokonać nie mógł!

Długo było przysłowie u ludu w Ukrainie, gdy kto kogo przeklinał:— *Szczob tebe świataja Kodnia ne minuła!*— bo wiele tam krwi się wylało.

Publicznie nie wiém czy podano powody bunt wyjaśniające, ukryto zapewne i raporta pana Stempkowskiego do króla, oszczędzając magnatów, z powodu których nierządu i niedbalstwa kraj tak niepowetowane poniósł straty.

Możny obywatel pan Dubrawski, sędzia grodz-

ki, miał także *Jus gladii;* trzymał on milicyą konną i pieszą dostateczną do łapania hultajów, pilnowania ich i przewożenia do Zubowszczyzny, miejsca rezydencyi jego, okopanéj wałem i przysposobionéj jak turma dla winowajców. On sam był w kraju, który żadnéj innéj nie miał policyi, stróżem porządku i spokoju, i sprężyście spełniał powierzony sobie obowiązek.

Znaliśmy wszyscy jeszcze tego obywatela, przed podziałem kraju; był wzrostu małego, a tak chudy, że pas się na nim utrzymać nie mógł; opasywał się więc cieńką taśmą z klamrą, a że pałasz nadto był dla niego ciężki, nosił tylko u boku lekki kindżalik.



XIII.

Notatki.

Ojciec mój w roku 1774 jeździł odwiedzić matkę swoją w województwie Lubelskiém, w ziemi Łukowskiéj zamieszkałą, która tam dożywociem trzymała majętność po dziadzie; jeździłem i ja z ojcem. Odwiedzaliśmy familią mieszkającą w ziemi Łukomskiéj i byliśmi w Warszawie.

Przypominam sobie, że ojciec kupił wówczas półarkuszowy sztych, na którym wyobrażony był dosyć duży ptak podobny cóś do dudka, mający na głowie jakieś różki. Na piórkach jego po całém ciele były trupie główki, a w pośrodku dwie większe głowy trupie z koronami. Pod spodem

wypisana była obszerna explikacya, że ptak ten w dzień zaduszny w Paryżu, wleciał przez okno do audyencyonalnéj sali królewskiéj, i usiadł na tronie, jakby chciał, żeby go wszyscy tam znajdujący się podówczas widzieli. Nim zdziwieni przytomni namyślili się pochwycić to zjawisko, ptak zerwał się i zniknął.

Żyją dotąd trzy osoby, które ten sztych jak ja widziały; rzecz zapewne nie do wiary, nie chciałem nawet o niéj wspominać tutaj, ale mnie ośmielił hrabia Henryk Rzewuski, który mi powiadał, że anegdotkę o tym ptaku słyszał podobnież od ojca żony swéj, hrabiego Grocholskiego, starszego odemnie. Wierzono w to natenczas jak w cud i przepowiednię jakąś, a politycy różne ztąd wyciągali wnioski. O tego rodzaju ptaku w historyi naturalnéj wzmianki nie ma; prawdziwy czy zmyślony, był już naówczas wieszczbą téj rewolucyi, która w lat cztérnaście cały kraj ogarnęła, a w osiémnaście potém, pod topor skazała dwie koronowane głowy. Towarzystwo usposobiło się do niéj powoli, osłabieniem wiary, wybujaniem wyobrażeń o prawach przyrodzonych, stanie przyrodzonym i równości ludzi; okoliczno-

ści szczególne, słabość panującego, rozwinęły rzucone zasady i sprowadziły te excessa, któremi się odznaczyli sankiuloty, illuminaci, rybaczki, a na czele téj rozhulanéj zgrai, Maraty i Robespierry.

W roku 1774 już łacno przewidywać mogli do czego dójdą i cel mieli zapewniony. Mam tu o tym jakoby cudzie na piśmie notatkę, zostawioną w kalendarzu sławnego Duńczewskiego, ręką mojego ojca.

W półowie zeszłego wieku nie było podobno wziętszych i sławniejszych kalendarzów nad te; bywały one bardzo obszérne, zawierąły prognostyki na każdy dzień roku, kiedy krew puszczać, kiedy bańki stawić, pigułki zażywać, mixturę brać lub proszki, kiedy siać, dróbʹ sadzić, konie stanowić, wieprze na karm zasadzać, wreszcie ważną skazówkę dni feralnych i szczęśliwych i t. d. Oprawiano jak i dziś niektóre na wpół z białym papierem do wpisywania przychodów, rozchodów, ważniejszych gospodarskich czynności, praktyk osobliwych i wydarzeń familijnych.

Jako próbkę tego rodzaju notat, ośmielam się tu dać maluczkie wyjątki z kalendarza ręką ojca

mojego zapisanego, wybiérając co najbardziéj zdaje mi się zajmującém.

1774 dnia 1 januaryi, nowy rok się zaczął, daj Boże szczęśliwy, ale cóś źle gadają o naszym Sejmie, Boże uchowaj, żeby się niesprawdziło co o nim ludzie prawią. Byłem wczoraj na imieninach u JMP. stolnika, zjazd był liczny; JMP. podkomorzy zapewniał, że ma *sub secreto* z Warszawy uwiadomienia, jako by się bez wici na pospolite ruszenie nie obeszło— wszyscy przyrzekają na koń siadać i swoich uzbroić.

Eodem 5 januar. Herszko arędarz, został winien jeszcze z przeszłego kwartału dziewięćdziesiąt i jeden tynfów. Musiałem się uciec do exekucyi, według opisu kontraktu, że zawód mając, prawomocen jestem zabrać go z żoną i dziećmi i więzić dopóki mi się podoba, lub z długu się nie uiści. Otóż kazałem ongi wziąść szachraja, i na łańcuchu wpakować do sadza, między wieprze, żonę i bachurów resztę zostawiłem w karczmie, a młodszego tylko syna Lejzia sprowadziłem do dworu i kazałem uczyć pacierza i katechizmu, bo sprytny. Muszę go ochrzcić, o czém już uwiadomiłem księdza infułata, który na ten akt zjechać obiecuje,

aby duszę jego przysposobić. Lejzio nie chciał się żegnać, ani paciérza naszego mówić, ale pan Strzałecki rózgami go do tego napędził, dziś już jadł słoninę. JM. Ks. Bonifacy, reguły *minorum de observantia*, kapelan nasz, przykładny zakonnik, bardzo się około niego poci i upór dziecinny zwyciężyć umié.

26. Maciora zwana kłodnicka, amerykańska, dziś dała jednaścioro prosiąt bardzo pięknych... Świnki, *exceptis* dwie, wykolą się na kuchnię, wyjdą właśnie dobrze na imieniny spodziewanego brata jéjmościnego.

Eodem 27. Przyjechali żydy z Berdyczowa, oddali za szalbierza Herszka dziewięćdziesiąt jeden tynfów, w prezencie głowę cukru i oko podłéj kawy. Wypuścić kazałem Herszka, a syna chciałem zatrzymać jako już wchodzącego na łono kościoła katolickiego, ale bardzo mi się prośbami uprzykrzać zaczęli, więc i jego puściłem, ale żyd się znów pewnie na terminie nie wypłaci, mam nadzieję, że Lejzio mi się znów popadnie i chrześcianinem zostanie. Tymczasem poczekamy do 24 marca.

Eodem — powróciwszy z kontraktów przywio-

złem dla jéjmości dwie pary trzewików pięknych od ludzi, kupionych u Zabudzkiego, i patynków par dwie— na suknią atłasu weneckiego łokci piętnaście.

—Krowa Podberezka czérwona, dała nam cieliczkę, szkoda że nie byczka.

—Eodem 29. Byłem na imieninach JMP. podkomorzego, zjazd był wielki— wiadomo jak ten *princeps nobilitatis* ugaszcza w swoim domu, było jedzenia suto i wina w bród, możdzierze za każdym vivatem dawały ognia, i dwa dni nie wypuszczano żywéj duszy pozdejmowawszy koła z kolasek. Nazajutrz przy śniadaniu JMP. podkomorzy zagaił zgodę między JMP. chorążym a JMP. stolnikiem, długo strony się wodziły, ale gospodarz tyle dokazał, że w końcu ręce sobie podali. Chorąży na kontraktach stolnikowi ma zapłacić dwa tysiące trzysta tynfów. *In gratiam concordiae* nastąpiły mnogie vivaty, a JMP. podsędek, jako *vir peritus* napisał tranzakcyą. Chorąży tak się na razie poprzyjaźnił ze stolnikiem, że mu darował ogiera gniadego, stada J. O. Ks. Józefa Czartoryskiego Wdy Ruskiego.

3 Martii; przyjechał ksiądz Felix kapucyn, wa-

rzył miód z trzech półbeczków, jeden na konserwę, a dwa na expens, dwa półbeczki na chwałę Bożą odesłaliśmy do klasztoru. Tegoż dnia namoczono stokfisz, który, *intra parenthesim*, podrożał, dawniéj płaciłem kamień po dukacie, a dziś po dwadzieścia i trzy złote.

8 Martii. Klacz biała turecka, miała żrebczyka po stadniku księcia jegomości, będzie koń rosły, bo kolanka ma grube.

11 Martii. Owce kocić się zaczęły i drób kwili na gniazda.

14 Martii. Na chwałę Bogu w Trójcy jedynemu, Matce Najświętszéj i wszystkim świętym, urodził się nam syn téj nocy, około godziny trzeciéj. Dziecko było słabe, dla tego niemieszkając ochrzcił je z wody ksiądz Jakób Pichelewicz, ritus graeco-uniti, paroch tutejszy, bo JM. ksiądz kapelan wyjechał na rekolekcye do klasztoru. Trzymali do chrztu pan Józef Strzałecki z panną Karoliną Stolińską, i dano mu na chrzcie imiona, Józef, Antoni i Zacharyasz, bo się w ten dzień narodził.

Daléj w ten sposób następują każdodzienne metryki urodzonych źwierząt domowych, wymłoty

i wywozy zboża, wypłaty ludziom i t. p. opuszczam mniéj ciekawe.

10 Augusti. Oddawna doświadczaliśmy różnych w gospodarstwie upadków, grad hreczkę i groch pobił, chudoba odpadać zaczęła, ogień się był pokazał w kuchni, szczęściem uratowano, zgoła były to plagi boskie, a smutne *praesagia;* nie wiedzieliśmy czemu to przypisać, kiedy *juvante Deo*, nareszcie odkryła się zgroza *peccatum sodomiae*. Marysia Zakrzewska szlacheckiego rodu, wychowanica jéjmości, wielka faworyta i bardzo usposobiona, okazała się winną; długo się taiła, ale panna Stolińska doszła wszystkiego. Przyznała się nareszcie do konszachtów i amorów z Mikołajem teorbanistą poddanym moim, którego kosztem moim wyedukowałem. Nie mogliśmy tego puścić płazem, JM. ksiądz kapelan wziął na siebie oznaczenie i dopełnienie kary, wyznaczył dziewczynie sto dyscyplin, ale jejmość odprosiła na cztérdzieści. Aby zapobiedz przypadkowi przywiązano ją do drabiny i wyliczono, a teorbanistę kazałem w dybki pod strażą posadzić na pięć tygodni, co piątek o chlebie i wodzie po sto dyscy-

plin. W każdy piątek była msza na ich intencyą, a z ich zasług po złotemu na nią wytrącano.

10 7bris, wyjechałem do jejmości dobrodziejki, matki mojéj w Łukowskie, jejmość, dziatki i dom zostawując opiece Boskiéj, wziąłem tylko z sobą Modestka, (tak mnie zrazu zwano, potém zmieniono to imie na Duklana)— dla odebrania błogosławieństwa.

4 Decembr. Zostawiłem Modestka u wuja mojego Szaniawskiego, podstarościego grodzkiego łukowskiego i podczaszego, dla odwiezienia po Świętach do Warszawy do JMość XX. Scholarum Piarum, ma tam być z jejmości synowcami.

Następuje wreszcie wzmianka o tym ptaku, o którym wyżéj wspomniałem.

5 Xbris. Powróciwszy z drogi od JMości dobrodziejki matki mojéj, którą zdrową zastałem i zostawiłem, przywiozłem zegarek złoty kameryzowany z emalią, sprzączki do trzewików kameryzowane i obraz w srébro oprawny Matki Boskiéj Częstochowskiéj, w prezencie dla kochanéj mojéj Fruzi od jejmości dobrodziejki matki mojéj, a z Warszawy kopersztychów trzy. Z tych jeden darowałem JMość dobrodziejstwu rodzicom na-

szym, a drugi JM. pani starościnie Niżyńskiéj ciotce mojéj żony. Wyrażono na tym kopersztychu ślicznie jak żywy udanego ptaka, ten cały w trupich główkach, a na środku na skrzydłach ma dwie trupie głowy z koronami; pod spodem explikacya, że ten ptak wleciał na pokoje królewskie w Paryżu w dzień zaduszny, usiadł na tronie, a potém zniknął.

Różni różnie o tém mówią, że ten cud zesłany jest od Boga z wróżbą kary na kraj francuzki za odstąpienie od wiary świętéj katolickiéj, że się namnożyło wiele ksiąg bluźnierczych, że nie szanują kapłanów, nie wierzą w tajemnice wiary, i pozostawali farmazonami. Drudzy powiadają, że to bajka, ale jako żywo, bajka być nie może, bo jakżeby rzecz zmyśloną śmiano drukować, sztychować i sprzedawać. Za te trzy kopersztychy dałem trzy talary......



XIV.

Henryk Niemirycz.

Wiemy, jak wielki wpływ bezbożna literatura francuzka XVIII wieku miała i na nasz kraj, który zawsze naśladować lubił, co gdzie najgorszego wymyślono. Wielka część naszych młodych ludzi, którzy odprawiali wojaże za granicę, do Paryża, powracali z zapasem téj trucizny na rodzinną ziemię; i na nieszczęście wszczepili chorobę swoją w skłonnych do przyjęcia jéj obójga płci młodzież. Zaczęto pogardzać duchownymi i z nich się naśmiewać, wyszydzać obrządki religijne, dopuszczać się nawet bluźnierstw przeciwko wierze i samemu Bogu, nie szanując już nic

z tego co przeszłe wieki miały za najświętsze i najdroższe dla siebie.

Takiego to apostoła nieprawości i niewiary rolę przybrał Henryk Niemirycz, potomek zacnego i bardzo możnego domu, po powrócie z zagranicy; tém zaś stał się niebezpieczniejszy i szkodliwszy, że przy zupełném zepsuciu miał cały urok młodości, dowcipu, oczytanie niepospolite, talenta i wszystko co czyni pożądanym i miłym w towarzystwie.

Starzy ludzie, ugruntowani w wierze swych przodków, jedni się zasłaniali i uciekali od tych szkodliwych nowostek, drudzy, okrzyknąwszy Niemirycza za ateusza, za deistę, za materyalistę, powstawali nań głośno jako na indywiduum społeczeństwu najszkodliwsze. Tymczasem Niemirycz nieoglądając się na hałasy, a może i rad temu co mu jakąś niezwyczajną robiło renomę, daléj swoją drogą postępował bezkarnie.

Trafiło się, że w czasie wielkiego odpustu w miasteczku Krupie, około Radziwiłłowa, gdzie kościół pobożnemi był napchany, znajdował się i Niemirycz. Miał prawda książkę w ręku, ale nie pobożną, owszem umyślnie dobraną, bluźnierczą ja-

kąś, i z niéj po cichu, przysuwając się do ławek, czytał kawałki młodym damom znajomym, które napróżno się od niego usuwały. Nie wiém jaki szał go opętał, że na dopełnienie świętokradztwa, gdy rozdawano komunią świętą, ukląkł przy kratkach i bez spowiedzi przyjął hostyą, a upuściwszy ją natychmiast w książkę, którą w ręku trzymał, począł z przechwałką okazywać damom siedzącym w ławkach, z rozmaitemi najniepoczciwszemi żartami i szyderstwy. Kobiéty się obruszyły i przelękły, gruchnęła wieść po kościele, wszczął się szmer, oburzenie, zgroza powszechna i Henryk Niemirycz byłby pewnie w miejscu rozsiekany przez szlachtę, gdyby się, tumult widząc, co najprędzéj nie ukrył.

Do żywego tém świętokradztwem przejęty Jerzy Falkowski skarbnik łucki, stanął jako delator i instygator i wywołał sprawę do sądu; naprzód sam, potém z synem Erazmem, a na ostatnim terminie urodzony Felix Dziufuza, przybył także jako delator.

Sprawa rozpoczęła się naprzód w konsystorzu Łuckim: tu uczyniono wywód faktów, i konsystorz rzucił klątwę, uznając Niemirycza aposta-

tą, bluźniercą, świętokradzcą, godnym największéj kary; zacytowano prawa duchowne i świeckie, dekreta koncyliów i t. d., a po wymiar sprawiedliwości odesłano do sądów cywilnych. Sąd grodzki Łucki po otrzymanych trzech infamiach na niestawającym Niemiryczu, który i sam nie odważył się odpowiadać i przez plenipotenta komparacyi nie pisał, wydał wreszcie dekret zaoczny bardzo srogi, zastosowując *poenam* przeciw świętokradzcom: wywlec język i uciąć, udrzéć trzy pasy, poćwiertować na kawałki i rozrzucić po polach. Niemirycz, za późno postrzegłszy się, że z prawem żartować nie można, unikając obelżywéj i męczeńskiéj śmierci, ratował się ucieczką za granicę. Z Niemiec dostał się do Hollandyi, gdzie służył na flocie i doszedł do rangi piérwszego porucznika; długi czas włócząc się, nareszcie około 1805 roku zjawił się nazad do kraju, ale tu obszérny majątek swój, który odzyskać się spodziéwał, już zastał rozszarpanym za małe dłużki przez kredytorów. Miał on Czerniechów i wsi kilkanaście, co kilkomilionową stanowiło fortunę. Po powrócie jego nikt już Niemirycza nie prześladował więcéj, jakiś czas kręcił się jeszcze po

domach, i jam go widywał, w ostatku znikł z oczów, mówią, że zmarł w Korostowéj w domu rodzonego siostrzeńca swego podkomorzego Łukasza Saryusza Łaznińskiego, pochowany w Tajkurach, gdzie tenże wzniósł mu nagrobek, jako pamiątkę spełnionéj nad nim kary Bożéj. Podobno nie poprawił się już do ostatka, a nędzny żywot jego był widomym przykładem losu jaki czeka zepsutych i szérzących zepsucie; pijaństwo stało się dlań jedynym ratunkiem, zwalał się pód ławą gdzieś w karczmie.

Wyraziłem wyżéj, że każdy szlachcic, ani u sąsiada, ani w mieście, ani w kościele nie mógł się bez szabli pokazać, niektórzy mieszczanie mieli także tę prerogatywę. Jeszcze w młodości mojéj pamiętam zwyczaj gdzieniegdzie zachowywany, że w czasie śpiéwania lub czytania Ewangelii przy mszy świętéj, głowy nakrywano kołpakami, a pałasze do pół dobywano z pochew, dla okazania gotowości bronienia wiary katolickiéj.

Powoli zwyczaj ten stary ustawać począł; w roku 1786 piérwszy raz będąc w Warszawie, widziałem jeszcze starców obrządku tego dopełniających, ale to już były wyjątki tylko.

Falkowski, skarbnik łucki, do śmierci go nie zaniechał; mam pod ręką cały ten proces drukowany, którego on był instygatorem.

Naprzód w roku 1785 d. 17 grudnia w grodzie Łuckim manifestacya W. Jerzego Falkowskiego przeciwko wszystkim *generaliter* religii katolickiéj odstępcom czytającym Woltera, opuszczającym obowiązki, wzgardzającym staremi zwyczajami, jako dobywaniem pałasza w czasie Ewangelii i t. p. zapowiadająca konsystorzowi Łuckiemu o złożenie regestru tych, którzyby spowiedzi wielkanocnéj nie odbywali, także rozwinięcie procesu przeciwko farmazonom: kończy się manifest temi słowy:

»Zatém W. Falkowski S. Ł. wyssaną z mlekiem a głęboko w sercu wpojoną i niewzruszenie trwającą wiarę Ś. Katolicką ocalać, i jéj do wylania krwi, choćby z utratą zdrowia i życia bronić się ofiarując oświadcza: Naprzód konsystorz Łucki zapozwać o pokaranie tych, którzy się odłączyli od Kościoła Chrystusowego, spowiedzi paschalnéj w swoich parafiach zaniedbywają i w nieprawościach zakorzenieni, zgorszeniem kompanów i czeladkę trują;— ustanowić powództwo

swe przeciwko tym, co napojeni błędami Woltera, posągi onego nad wyobrażenie Zbawiciela swego przekładają, oraz im podobnych libertynów i deistów śladami chodzących, farmazonią wprowadzających i rozszérzających, nakoniec jadowitych bezbożników świętości pańskie na pogardę podających, Świąt Zmartwychwstania Pańskiego nie obchodzących, na wzór zgrai piekielnéj, Baranka wielkonocnego lękających się— i na ten koniec publiczną swoją protestacyą do ksiąg grodzkich Łuckich podał Jerzy Falkowski S. Ł.

W roku 1786 d. 1 stycznia, od W. Falkowskiego skarbnika łuckiego, do J. O. księcia Czartoryskiego starosty łuckiego list, w którym mu wyrzuca, że sąd grodzki jest nieczynny, z osób mało powagi mających złożony, że sam książe w sądach nie zasiada, przybyszów na swojém miejscu stanowiąc; obszérnie pomieszczone w téj korespondencyi nakształt manifestu, obżałowanie.

1786 d. 7 stycznia, list drugi od tegoż Falkowskiego, do księcia starosty, żeby zjechał koniecznie, złożył sądy extra-ordynaryjne, i straszny kryminał sam sądził.

1786 d. 13 stycznia, manifest Falkowskiego, ofiarujący życie i fortunę dla ścigania Henryka Niemirycza za popełnioną zbrodnię, z dodatkiem, że jako delator mając prawo do pewnéj części w fortunie obżałowanego, od takowéj pretensyi odstępuje i zrzeka się jéj zupełnie.

1786 d. 6 lutego, wprowadzenie obszérne sprawy przeciwko Niemiryczowi w czasie sądów konsystorskich i równie obszérny dekret konsystorza Łuckiego, z całym wywodem w języku łacińskim. Tegoż roku dnia 10 lutego dekret zaoczny na instygacyą Falkowskiego, jako wyżéj (*).

(*) Trzeba przyznać, że ta postać skarbnika łuckiego jest jedną z najpiękniejszych jakie nam w. XVIII dostarcza, żyje w niéj duch nie tylko wiary ale obywatelstwa, cóś katolicko-rycerskiego, powiedziałbym bohaterskiego. Sam jeden występuje naprzód skarbnik łucki, życie i majętność ofiarując w sprawie wiary, niepopierany przez nikogo, staje jako instygator i delator wśród zobojętnienia powszechnego, zmusza konsystorz do działania, napędza księcia starostę, i wymaga głośno wołając sprawiedliwości, dekret który jest manifestem katolicyzmu przeciwko niewiarze. Falkowski jak Niemirycz, w swoim rodzaju są to dwa potężne typy, jakichby nikt stworzyć się nie ośmielił, a które daje nam rzeczywistość, skupiając w nich całą walkę dwóch pokoleń

i stronnictw. Falkowski pojmuje doskonale, że i ci co pałasza nie dobywają w czasie Ewangelii, i ci co święconego nie stawią i ci co jakikolwiek stary zaniedbują obyczaj, są na drodze odstępstwa i wynaturzenia; jego zapał tchnie rozpaczą niemal... porywa się, zwycięża, ale obojętność czasów owych pleśnią okrywa wyrok i winowajcę. Kredytorowie żywią się majątkiem. Niemirycz, nie ścigany, unosi życie, bo i Falkowski nie chciał krwi, ale przykładu i wywołania uczucia; a niewiara po cichu się mnoży i utrwala. Co za typ zarazem w tym Niemiryczu niepoprawionym do końca, rozbestwionym i umierającym pod ławą w szynkowni!..

Słyszałem od krewnych podkomorzego Łaznińskiego, że po powrócie Niemiryczowi cóś się było okroiło z ogromnéj fortuny, przehulał i te reszty; kapnęło cóś znowu i podkomorzy nakłonił wuja, żeby choć cząstkę jakąś zachował na stare lata niemocy. Tysiąc czerwonych złotych w ten sposób ulokował Niemirycz u siostrzeńca, ale ten pieniądz nieużyty niepokoił go i zasnąć nie dawał, potrzebował go stracić koniecznie. Raz w śród nocy stuka Niemirycz do okna podkomorzego, dobija się gwałtownie, kazał go wpuścić pan Łaznińki zadziwiony tak nagłą potrzebą.— Co to jest?

— Potrzeba mi moich tysiąca dukatów...

— Na co?

— Muszę je stracić, nie dają mi pokoju, proszę oddać...

— Jakto? zaraz?

— Natychmiast?

Nie było sposobu przekonania człowieka, którego woli nic nigdy nie hamowało: podkomorzy był zawsze przy

pieniądzach, znudzony wstał i wyliczył natychmiast wujowi ostatni grosz jego. Niemirycz z niemi zniknął.. W kilka tygodni późniéj zmarł w gospodzie na gościńcu, ale już grosza przy duszy nie miał. Taki był koniec nieszczęśliwego, obłąkanego człowieka, którego charakter i lepiéj skierowane siły, byłyby mogły użytecznego społeczeństwu wydać członka. *(P. R. W.)*



XV.

Zajazdy.

Nim konstytucya grodzieńska 1784 roku urządziła proces sądowy, wielkie było niedołęztwo i trudności niemałe, gdy przyszło własność swoją windykować. Możniejszy oparł się zawsze, a ponieważ dla objęcia wsi urzędownie na satysfakcyą wierzyciela, chociaż zajeżdżał na grunt oficyalista exekucyjny, musiał jednak mieć z sobą zawsze *brachium militare*, to użycie siły, wyradzało i nadużycia. Ubożsi ziemianie, żołnierza dostawali najwięcéj od panów, którzy nadworną milicyą trzymali; debitor także nie zasypiał wiedząc o zbliżaniu się chwili stanowczéj, od drugiego magna-

ta wymodlił sobie *corpus defensivum* i trafiały się ze starcia krwawe bójki niekiedy— kilka potém par trupów wieziono do grodu dla prezenty, a woźni zeznawali wizyą pokaleczonych. Często dostawało się oficyaliście sądowemu, *munus executivum* sprawującemu, jakiemi byli, wicesgerenci i burgrabiowie, od wojewodów albo starostów grodowych instrumentowani, że od strony, która przemogła siłą, dostał porządne harapy, kije lub nahaje, albo uchodząc od razów przesiedział jakie parę dni w konopiach o ścisłym poście, lub przedniował w błocie po same uszy, nocą dopiéro ośmiélając się na *fugas chrustas*.

Zajazdy takie i formalne bitwy trafiały się szczególniéj na granicach, o które się sąsiedzi z sobą procesowali, często *ducta* i *reducta* okupowane były głębokiemi bliznami, jeżeli nie życiem. Od roku 1784 powoli to już ustawać zaczęło z racyi prawa grodzieńskiego wskazującego porządek exekucyi dekretów. Prawo to, po przewiedzionym procesie, to jest po liczbie kondemnat stosownie do rodzaju sprawy otrzymanych, lub po publikacyi na terminie dość czynnym, *non intrando in principale negotium*, rozkazywało jurysdykcyom

wydawać dekreta *executionis*, z któremi oficyalista tradował skonwinkowane procesem dobra. Zastrzeżono, że gdyby kto nie dopuścił tradycyi, za samo oparcie się exekucyi płacił stronie tysiąc grzywien i siedział cztéry tygodnie górnéj wieży. W razie niedopuszczenia, oficyalista zrobił akt supersessyi, i posyłał do komissyi wojskowéj o pomoc militarną; ta wydawała ordynans do najbliższéj komendy, a jeden żołnierz przydany oficyaliście jako *brachium militare*, dostateczny był do wprowadzenia kredytora w posiadanie wioski.

Gdym wyszedł ze szkół właśnie, były sławne dwa wiadome mi zajazdy, między latami 1785—1787, jeden w powiecie Owróckim, drugi na Wołyniu. Rzecz się tak miała: pan Józef Trypolski, syn majętnych rodziców, w dzieciństwie osierocony, dostał się był w opiekę do Tadeusza Niemirycza podkomorzego owróckiego, męża rodzonéj siostry zmarłego Trypolskiego, z nim też w zawiadywanie opiekuna poszły i kilka wiosek dziedzicznych, po ojcu nań przypadających.

Skończyła się małoletność, wyszedł Trypolski z opieki, ale opiekunowie dóbr nie emancypowali. Pan Józef Trypolski mocen prawem swym,

z pomocą poddanych wjechał do dóbr i objął je na siebie; Niemirycze krzyknęli na samowolność; na nadużycie! Ciotka rodzona Józefa, pani Niemiryczowa, nie mogąc przenieść lekceważenia dostojności opiekuńczéj męża, i małego poszanowania dla siebie, postanowiła z mężem i starszym synem Adamem, wypędzić Józefa z własnéj jego majętności, jak intruza.

Niemiryczom to nie przychodziło trudno: ogromny klucz Olewski, do siedmiu tysięcy dusz liczący, dostarczył kozaków i strzelców uzbrojonych; ale i Józef Trypolski przestrzeżony wcześnie, przysposobił się w sto z okładem dzielnych obrońców, postanawiając siłę odeprzeć siłą.

Nadciągnęła armia Niemiryczów pod komendą obójga podkomorstwa i dowództwem syna ich Adama, wydano formalną bitwę we wsi Bohdanówce. Kilkadziesiąt ludzi z obu stron trupem padło, ranionych było stu przeszło; na hasło wystrzałów wysypały się gromady ze wsiów Trypolskiego, kiedy hajduk Niemiryczowski ugodził kulą w piersi samego Józefa, który padł na ziemię i na miejscu skonał.

Niemiryczowscy opuścili plac bitwy, a Trypol-

skiego ludzie ciało jego unieśli; oprócz kuli, ugodzony był dwa razy od *szybniów*. Był to oręż na Polesiu tylko używany, krótka pika, zakończona z obu stron grotami żelaznemi lub samo drzewce z osmalonemi obu końcami. Z dziwną zręcznością i trafnością narzędzia tego używali poleszucy, na dziki, łosie i niedźwiedzie, a jak tu widzimy i ludzi; rodzaj ten oszczepu, zwał się *Szybnie*.

Natychmiast trupy zawieziono dla prezentowado grodu i zajęła się sprawa. Pan Olszewski, ojczym zabitego Trypolskiego, z ognistą energią promowował ją przeciwko Niemiryczom; długie były wywody i ciągania się, nareszcie stanął dekret wskazujący Niemiryczów, ojca i syna, na półroczną wieżę górną, koniuszego ich na wieczne więzienie, a hajduka na ucięcie głowy i ćwiertowanie. Kilku innych jeszcze sądzono na szubienicę, ale Niemirycze wszystkich ich w porę za granicę wyprawili, a sami tylko zasiedli wieżę w skutek owego stronniczego dekretu. Tu mógłbym powtórzyć co Anacharsys Scyta mówił o prawach Ateńskich:

—Prawa jak pajęczyna, mucha w nich uwięźnie,

a bąk się przebije.— Olszewski sprawę wywołał do trybunału; przyszła ona już za mojéj bytności w Lublinie w roku 1788 z wielką forsą, wywołana z regestru *incarceratorum*. Niemirycze z całą familją zjechali do Lublina, mieszkali przez czas kadencyi całéj, i wszystkich mecenasów zebrali na konferencyą, tak, że dwóch ledwie pozostało na stronie delatora. Młodzież starano się ujmować, usiłując ku sobie nawrócić opinię publiczną; dawano nieustannie bale, obiady i assamble, ale pomimo to interes szedł bardzo twardo. Józef Piniński, późniéj za zmianą okoliczności prezes izby cywilnéj, był wówczas deputatem; człowiek niezmiernie obrótny i popularny, dokazał w ostatku, że zatwierdzono dekret Owrucki, dodano tylko dwanaście tysięcy grzywien na rzecz delatora, a półowę zwyczajną sądowi. Piniński ożenił się późniéj z córką Niemiryczów i wziął po niéj trzykroć sto tysięcy w gotówce, a sto tysięcy do rąk, titulo melioracyi wyprawy. Lecz że w każdéj sprawie wolno było apellować do następującego trybunału, Olszewski promowował ją z równą żarliwością na drugi; tu wszakże, czy się zląkł, że mu zagrożono zadać *imparitatem*, lub z innych

jakich niewiadomych mi okoliczności, nie bardzo już forsował. Przybyły zięć łatwo uzyskał aprobatę przeszłorocznego dekretu w słowach: *Standum in omni decreto ante acti Judicii;* taki wyrok obejmował *vim legis*, że przeciwko dwóm dekretóm żadna kancellarya ani manifestu, ani pozwu przyjąć nie mogła *sub omissione officii*. Jednak prawnicy wynaleźli jeszcze drogę przeciwko dwóm *conformium*, poszły strony *vi noviter repertorum*, ale potrzeba było zaprzysiądz przy podaniu illacyi, żądając pozwolenia processu na nowo, że te dokumenta ewinkują sprawę i że o nich strona nie wiedziała przy poprzedzających dekretach, dopiéro trybunał dawał pozwolenia rozpoczęcia *de noviter repertis*. Ci, co bliżéj znali ten proces, twierdzili, że on do cztérech kroć sto tysięcy kosztował. W roku 1794 wreszcie stracili Niemirycze wszystkie dobra swoje, a Tadeusz i wolność, którą dopiéro odzyskał za wstąpieniem na tron Pawła I.

Drugi zajazd wynikł z następującéj przyczyny. Libory Kordysz bardzo majętny obywatel, ożeniony był z Pruszyńską, siostrą rodzoną drugiéj żony księcia wojewody wołyńskiego, Hieronima

Sanguszki. Zmarł on wkrótce po ożenieniu; żona miała jakieś prawa do fortuny mężowskiéj, ale brat rodzony Liborego, dziedzic klucza Czartoryskiego, Ignacy Kordysz, zaprzeczał im, i dobra na siebie *via facti* odebrał.— Książe Hieronim Sanguszko, jako szwagier, uczuł powinność dać protekcyą siostrze żony swéj, wysłał więc stu nadwornych ułanów na zajęcie tych dóbr i ewakuacyą z nich Ignacego Kordysza. Komenda posłana spełniła ordynans, a oficer który dowodził tym odwodem przed mieszkaniem pana Ignacego kazał dać ognia. Sto strzałów razem tak przestraszyły nieszczęśliwego, że niebezpiecznie i szkaradnie się rozchorowawszy na żołądek, z téj choroby umarł i doktorowie na nią nic poradzić nie potrafili. Na nim familja Kordyszów wygasła i podług odwiecznego zwyczaju chowano go, krusząc w katafalku tarczę herbowną. Sprawy o to w sądach nie było, siostry sukcessorki *per bona officia* skończyły. Znałem obu tych panów Kordyszów, jeden do drugiego był podobny jak niebo do ziemi. Libory niesłychanie oszczędny, aż do obrzydłego skępstwa, jadł szkaradnie i nic prócz wody nie pijał; Ignacy żył bardzo okazale, dom miał w Czartoryi

gustownie umeblowany, usługę liczną, muzykę nadworną, stół wyborny i wino doskonałe, którego pan Kordysz pisarz ziemski bracławski O. S. S. K., lubił dosyć używać. Dom jego był bardzo przyjemny, zdobiła go zacna i piękna druga już żona, z domu Rakowska, późniéj Bystrzyna. Pan Ignacy miał z Łabuniem przyjazne stosunki, bywaliśmy też często u niego. Mawiano pospolicie, że Libory umarł z głodu, a Ignacy z przejedzenia.



XVI.

Szlachta, nobilitacye, indigenaty, scartabellatus.

Szlachcic polski miał prawo do najwyższych w kraju godności. Jan III Sobieski, Stanisław Leszczyński, Stanisław Poniatowski, nie byli ani książętami ani hrabiami, ani baronami, zostali jednak z prostéj szlachty królami polskiemi. Dodajmy, że wyjąwszy Leszczyńskich co się do możnych domów liczyli zdawna, Sobiescy nie wodzili prymu między szlachtą, a Poniatowscy bardzo byli małemi, tak, że w XVI wieku ani o nich słychać. Pierwszy winien tron swéj szabli, drudzy dwaj talentom, rozumowi, trochę szczęściu.

Stanisława Augusta ojciec, pierwszy z téj ro-

dziny był senatorem, a braci jego przez wzgląd dla króla, Rzeczpospolita uczciła dostojnością książęcą, warując wszakże by to nie ubliżało równości szlacheckiéj. Równie przez wzgląd na Jana III, synów jego i córki wyniesiono na książąt; ale też to już do szlacheckiego, a nawet do polskiego świata nigdy należeć nie miało.

Wprawdzie przez czas długi, działo się ze zwyczaju nie z prawa, tak, że syn wojewody, kasztelana, urzędnika koronnego, starosty grodowego, po śmierci ojca obejmując dziedziczne obszerne dzierżawy, zasiadał też jego krzesło lub przyjjmował przez ojca piastowaną laskę czyli pieczęć, albo wakujący gród; ale to było nadużycie, skutki faworytyzmu i wpływów familii.

Po świetnych panowaniach Zygmunta III i Władysława IV, kraj począł codzień widoczniéj chylić się do upadku, nauki gasły, ciemnota ogarniała Polskę; długie panowanie niemieckie dwóch Sasów do reszty nas oślepiło, rozpoiło i zdemoralizowało. Możni i panowie wychowywali swe dzieci na zagraniczną manjerę za granicą, szlachta mniéj majętna musiała przestawać na jezuickich szkołach, które się stały propagandami ciemnoty. Tam

przez lat dwanaście lub piętnaście nic nie uczono prócz języka łacińskiego i kontrowersyi scholastycznych; wychodził z Filozofii wąsaty młodzieniec bez żadnych do obywatelskich obowiązków przygotowań i zapasu, tém bardziéj do wyższych godności, nie miał z czém. Całą szkołą dla niego był dom rodzicielski.

Ołtarz miał także dostatkiem sług swoich: prelatury obsiadali czekając biskupstw, synowie magnatów przeznaczeni do infuł, szlachcie nawet kusić się o te miejsca nie było podobna. Wojsko na taką kraju rozległość było za szczupłe, osobliwie kawalerya narodowa, w któréj wojewodowie, kasztelanowie, książęta, nawet prymas i arcybiskupi byli rotmistrzami, a synowie wojewodów i kasztelanów, porucznikami i chorążemi; szlachcie pozostawało wiekuiście służyć jako towarzysze. W piechocie, to co nazywano cudzoziemskim autoramentem, niedostępném było z innéj przyczyny, szlachta bowiem uważała za uchybienie swemu honorowi piechotą służbę odbywać. Jedne więc dwory panów pozostawały dla biednéj szlachty; magnaci mieli liczną assystencyę i garnęli do siebie; tu więc nabierano poloru, wyszedłszy ze szkół,

i zakładano fundamenta przyszłéj krescytywy. Szlachtę polską ówczesną można było podzielić na trzy oddziały: stan duchowny, senatorski i rycerski (*). Do wyższych stopni duchownych, nikt prócz szlachty dójść nie mógł; aby zostać arcy-biskupem, biskupem, opatem, lub inną jaką wysoką posiąść prelaturę, potrzeba było z sześciu herbów ojczystych i sześciu macierzystych dowieść rodowitości. Dla tego to prawa polskie determinowały spadki dla sukcesorów; po śmierci arcy-biskupów, biskupów i opatów nawet klaustralnych, choć wszystkie po nich zbiory, remanenta i ruchomości urastały z intrat kościelnych, sukcesorowie brali trzy części, a kościół lub klasztór czwartą.

Stan senatorski składał się naprzód z biskupów, realną juryzdykcyą w Polsce mających, na czele których stał prymas arcy-biskup gnieznieński, zwany *Interrex*. Jego obowiązkiem było po śmierci króla obwieścić narodowi o osieroceniu i naznaczyć sądy kapturowe, gdyż wszystkie juryzdykcye

---

(*) Nie wiem dla czego autor mieści tu stan duchowny, w którym większość była szlachty, ale przystęp do niego i innym klassom był wolny. (*P. R. W.*).

po śmierci monarchy ustawały; zwołać naród do obioru nowego króla, elekcyą ogłosić i nowego pana koronować. Iluż to fakcyj mogła być powodem i była, jak dzieje świadczą, nadana prymasom władza. Swiecki senat składali wojewodowie i kasztelanowie; kasztelan krakowski był pierwszym senatorem z tytułem książęcym, do krzesła przywiązanym: zwano go — *Princeps Senatus*, pospolicie zaś — *Pan Krakowski*, jak innych wojewodów Pan Sandomirski, Pan Wileński i t. p.

Do rycerskiego stanu należała rodowita szlachta, z dziada, pradziada i niepamiętnych pokoleń zaszczycona klejnotem herbowym. Gdyby się w jakiémkolwiek zgromadzeniu szlacheckiém pokazał kto, bodaj obojętnéj tylko i podejrzanéj rodowitości, byłby, roszcząc sobie prawa do równości, niechybnie rozsiekany, a na majątek jego ziemski, jak równie na źle nabyty lub źle legowany, wolno sobie było każdemu uprosić kaduka.

Był to przywiléj dawany w takich przypadkach przez królów, z nim potrzeba było iść do trybunału, a sąd ów na rzecz uprzywilejowanego przysądzał podpadającą kadukowi majętność.

Za mojéj bytności w Lublinie, kilka takich spraw

było, jak również *de imparitate.* Szlachta w początkach pomnażała się przez wojenne zasługi, obowiązaną będąc za wydaniem wici przez króla lub hetmana, siadać na koń z tylu ludźmi uzbrojonymi ile ich wioska postawić mogła, a bardziéj podług obszaru ziemi jaki zajmowała, to jest z łanów. Były wojska komputowe, pancerni, hussarze z rodowitéj szlachty, co potém do ostatnich czasów kawaleryą narodową nazywano. W tym oddziale wojska towarzysze byli w randze chorążego, namiestnik w randze porucznika, chorąży w randze kapitana, porucznik w randze pułkownika, rotmistrz w randze generała. Trwało to do sejmu 1788 r., do aukcyi wojska regularnego i jego reformy. Piechota z różnego stanu ludzi, a najwięcéj za granicą zaciągana, wraz z oficerami na żołdzie Rzeczypospolitéj, zwała się wojskiem cudzoziemskiego autoramentu; w nim szlachta polska służyć, jak się wyżéj rzekło, miała sobie za uchybienie. Były lekkie pułki z Tatarów i Kozaków złożone, także na żołdzie; te potém mianowano przednią strażą, albo pułkami lekkiemi; po ułańsku ubrane, nazwisko swe do nowéj reformy zatrzymały.

Szlachta w pospolitém ruszeniu o swoim koszcie służyła. Nie było wówczas orderów ani krzyżów wojennych dla nagrodzenia zasługi; krew wylana w obronie kraju lub kalectwo dawały prawo domagania się o dyplomat na szlachectwo; szlachtę zaś rodowitą pasowali monarchowie na rycerzy, podług ustanowionych form i obrządków, ozdabiając piersi ich łańcuchami z wizerunkiem monarchy, albo nadawali jéj królewszczyzny. Także i nowéj szlachcie dostawały się dobra, albo częściéj obszary ziemi nieosiadłéj, którą ona zabranym na wojnie niewolnikiem obsadzała, nazywając od swojego imienia. W powiecie Owruckim jest takich wiele nadań: Wyhów, Wyhowskich, Melenie, Meleniewskich, Stoszków, Baranowskich, Bechy, Bechów, Paszyny, Paszyńskich, Kaleńskie, Kaleńskich, Staszki, Staszkiewiczów i t. d. W tych nadaniach właściciele są z różnych narodów, z kozaków ukraińskich, siczowych, Dońców i tych co składali hetmańszczyznę pod dowództwem hetmana lub koszowego, wybieranego przez się aż do Mazepy;— są Tatarowie Perekopscy, Kipczaccy co byli w służbie Rzeczypospolitéj, z których pozostali w Owruckiem, przyjęli religją chrześcijańską,

a wielu w Litwie utrzymali się przy dawnéj wierze, gdzie mają meczety swe i mułłów. Z takiéj to rodziny był ów sławny generał Bielak i wielu wyższych oficerów: Achmatowicze, Azulewicze, i t. d. którzy do ostatka w sprawie kraju wiernie służyli. I nic w tém dziwnego, od kilku wieków w kraju się już zasiedzieli i naturalizowali; mimo zmięszania plemion przez kobiéty, nie utracili cech rodzinnych dawnych przodków swoich, co na każdéj fizyognomii dotąd wyczytać można. Potrzeba oddać sprawiedliwość wszystkim tym rodzinom bez wyjątku, że ta naturalizowana w kraju szlachta nowa, przywiązała się statecznie do swojéj ojczyzny, z zapałem ją pokochała i z nieposzlakowaną wiernością jéj służyła. Dziś rodziny te zamieszkałe w Owruckiem, po większéj części są zubożałe, żyją z pracy własnéj, a ziemia nieżyżna z trudnością ich wyżywić może; mała liczba zachowała jaki taki mierny mająteczek, lub się go dorobić potrafiła.

Choć są wsie, po dwieście i trzysta szlachty saméj zawierające, nie daje to jednak środków do wygodniejszego utrzymania życia. Za uszczupleniem i rozdrobieniem fortunek, poszła niemożność

dawania dzieciom przyzwoitego wychowania; ztąd gruba niewiadomość, a za nią i obyczaje gminne, zbliżające prawie do wieśniaczego ludu. Takiego rodzaju szlachta na kawałkach ziemi, zagonowa, i w Polesiu wołyńskiém, i na Podolu, w Lubelskiém województwie, w ziemi Łukowskiéj, na Podlasiu rozsypana, ale choć uboga i odarta, prawdziwa i dobrze zasłużona szlachta. Mają oni przywileje Jagiellonów jeszcze, Stefana Batorego, Zygmunta III, Władysława IV, Jana Kazimierza i Jana III.

Dwojaki był sposób nadawania szlachectwa: *praeciso scartabellatu*, i *cum scartabellatu*, W czasie wojny przy królu, a pod niebytność jego przy hetmanie, była *Carta belli;* po bitwie czytano z niéj popis rycerzy, i zaraz tamże dobrze zasłużonych, podnoszono do godności szlacheckiéj, co stany na sejmach potwierdzały; a od tych słów *ex carta belli*, uczyniono wyrażenie *Scartabellatus*. Tym co się lepiéj odznaczyli i mieli większe zasługi, nadawano *nobilitatem praeciso scartabellatu*; taki już wszelkie mógł posiadać dostojności, bodaj krzesła senatorskie, urzęda koronne, dygnitarstwa, poselstwa sprawować i t. p. Ci zaś co nie tak ważne w zawodzie rycerskim dali dowody męztwa i po-

święcenia, otrzymywali tylko dyplomata *cum scartabellatu*; byli oni z niemi prawdziwą szlachtą, mieli prawo a nawet powinni byli kupować dobra, ale żadnego urzędu posiadać nie mogli, ani głosu mieć na sejmikach. Dopiéro ich wnuki przychodzili do prerogatyw zupełnych. Ten sposób nobilitowania dotrwał do końca dawnego porządku rzeczy, i chociaż wojny nie było, uszlachcano *praeciso* albo *cum scartabellatu;* lub zupełnie od niego uwalniano.

Mówi się tu o województwie Kijowskiém tak obszerném przed podziałem, że dorównywało nie jednemu królestwu erygowanemu przez Napoleona. Zajmowało ono trzy powiaty: Żytomirski, Owrucki i Kijowski, z których dwa pierwsze zamieszkane były przez szlachtę właścicieli dóbr ziemskich. Powiat kijowski niemal cały składał się z dóbr pańskich, a kilka tylko majątków między niemi szlacheckich było, jak to wyżéj namieniłem.

Szlachta jak ją zapamiętam w dzieciństwie, trojakoby się podzielić dała. Pierwszemi byli ziemianie mający dziedzictwa odwieczne z pradziadów, którzy posiadali urzęda wojewódzkie, powia-

towe i sądowe w rodach swoich, a ojcowie, dziadowie i praojcowie ich rośli tylko na dworach możnych panów i wychowywali się służąc dworzanami. Wiadomo, że magnaci nasi miewali po stu synów obywatelskich, a żony ich po kilkadziesiąt panien córek szlachty nawet zamożnéj, pod imieniem dam honorowych i rezydentek; samo z siebie rozumie się, że wszystkie te rodziny klientów ściśle były zjednoczone z mecenasem swoim i otaczały go na każde zawołanie, służyły mu w każdéj potrzebie, ztąd urosła w panach ta wielka ich przewaga, ztąd czerpali siłę z którą nieraz stawali w oppozycyi nawet przeciw panującemu. Za to znowu panowie wprowadzali dworzan swoich na urzęda ziemskie, sądowe, na funkcye poselskie, deputackie, dopomagali im do sprawiania niepodległego tych funkcyj i obdarzali w ostatku zasłużonych dożywociami i majątkami. Żony ich, wydawały za mąż panny, dawały posagi i kosztowne wyprawy, a potém ciż sami panowie albo ich synowie, zabierali dzieci klientów na też same posady do swoich dworów. Można rzec, że dwory te były to wielkie ogniska, z których szlachta czerpała światło i ciepło; ta też część ziemian co

się o nie ocierała, była prawdziwie polorowaną i na swój wiek ukształconą, pełną obyczajności i grzeczności. Dwory magnatów w tym względzie zbliżały się do monarchicznych; na takiéj stopie żyli Czartoryscy, Sanguszkowie, Radziwiłłowie, Lubomirscy, Potoccy, hetman Branicki, pan Krakowski, hetman Rzewuski, hetman Sosnowski i inni; tam młodzież trzymano w karności i usposabiano do obowiązków obywatelskich. Ztąd powstał był zwyczaj, gdy się o kim z zaletą odezwać chciano, nazywania dworakiem, późniéj ledwie nie z przekąsem, imieniem tém poczęto zwać kortezanów. Ojcowie i matki wychowani w ten sposób po dworach, byli już w stanie dać też stosowne wychowanie dzieciom swoim, a przynajmniéj rdzawieć im nie dozwalali; z téj to klassy wychodzili ziemianie, prawdziwi obywatele. W r. 1778 Stanisław książe Lubomirski, wojewoda kijowski był na sejmikach w Żytomierzu, jechał karetą do kościoła katedralnego zagajać sessyą, kawalkata znaczna zewsząd powóz otaczała, naliczyłem osiemdziesięciu pięciu dworzan, a z tyłu drugie tyle pacholików, a jak to wszystko było poubierane, jakie rzędy na koniach! Już gasły owe wspaniałe

dwory, ale jeszcze w r. 1786 pierwszy raz będąc w Warszawie, widziałem panów jeżdzących w dnie uroczyste na zamek do króla z kawalkatami podobnemi. Trwało to do 1788 r.; moda i czas resztę odmienił.

Drugi oddział szlachty, byli to przybylce z górnych województw, z księstwa Mazowieckiego, z Podlasia, siedzący tu oddawna za przywilejami królów nadanemi za zasługi wojenne, na nieobszernych ziemiach. Gdy rozradzając się na ciasnym zagonie pomieścić się nie mogli, szukali przestrzeni i lżejszego a obfitszego chleba w dobroczynnéj, urodzajnéj Ukrainie. Panowie, którzy ich sprowadzali, puszczali im wioski niesłychanie tanio, naprzykład sześć groszy dzień pańszczyzny pieszéj, a osiém ciągłéj, reszta danin i powinności *pro commodo* possesora, przytém bonifikacye na przypadek nieurodzaju, gradobicia i ognia. Pomimo to, dzierżawcy wiele zarabiać nie mogli, żyto bywało po dwadzieścia cztéry grosze, owies po groszy dwanaście korzec, ale gdy przyszło sprzedać sto korcy razem, już kontrahenta brakło. Wioski w Ukrainie zdawna i ludno były poosadzane, niektóre po tysiąc i tysiąc pięćset chat miewały,

a przestrzeń stepów żyżnych taka do nich przywiązana była, na któréj dziś wygodnie po trzy wsie się mieści; wnieść proszę z tego ile to tam zboża było na sprzedaż, i ile kop siana zbytkujących od potrzeby. Dzierżawcy rzucali się do handlu, zaprowadzali obory wielkie, ogromne stada koni, owiec, świń, latem je wypasali na obszernych stepach, a w zimie tuczyli zbożem. Te konie, woły, wieprze i łój z owiec prowadzono potém do Warszawy, Wiednia, Wrocławia, i handel podwójne dawał korzyści.

Dzierżawców tego rodzaju zwano pospolicie *Wolarzami*. Pamiętne owe powstanie chłopskie zwane Rzezią Humańską, lub Koliszczyzną, wielu z nich wygubiło, majętności ich przepadły, kilku tylko co się z wieśniakami pokumali lub przez synów z dziewkami ich pożenionych poswatali i spokrewnili, oszczędzili rzeźnicy. Po Koliszczyźnie, gdy rząd krajowy obmyślił i wprowadził środki bezpieczeństwa, niektórzy zbiegli popowracali, inni znowu z Polski napłynęli. Tym panowie dobra puszczali jak przedtém, a szlachta znów poprzedzierzgała się w wolarzy, skotopasców i wieprzarzy; ale taka to była i szlachta, bez wychowa-

nia i poloru, niemyśląca też dzieci swe z tego stanu wyprowadzać. Dość jéj było siedzieć na tucznych worach rubli. Nie raz mi się w mojéj młodości trafiało po kilka zgonów i kilka stad wieprzów, lub po kilkadziesiąt koni jednego właściciela widzieć pędzonych razem, pod jego osobistém przewodnictwem; jegomość na kilku mażach wiózł suchary i pszono dla hajdajów, i kulisz z jednego z niemi kociołka zajadał. Taka szlachta po kilkanaście i więcéj lat trzymała dobra pańskie, nie tylko więc przywiązywali się do ziemi jak do swéj rodzinnéj, ale i do panów od których ją dzierżawili; mieli oni obowiązek stawać na sejmikach dla utrzymywania partyi magnata i służyć im gardłem i dłonią.

W Żytomierzu można ich było widywać po cztéry i pięć tysięcy, chociaż nie wiedzieli, kto został posłem, kto deputatem i jakie dano na sejm instrukcye, ale popierali kogo i co im wskazano. Z tego oddziału szlachty, mała część która przyszła do znacznych majątków pojęła tę prawdę, że potrzeba dzieciom dać lepsze wychowanie; synowie ich najwięcéj potém drogą prawną weszli w obywatelstwo, plenipotentowali, pokupowali do-

bra od panów u których ojcowie ich dzierżawą je trzymali. Więcéj niż dwie części wszakże pozostały w dawnéj ciemnocie, żeniąc synów z chłopkami, córki oddając za przyjmaków, chłopów zbiegłych z Podola, Żytomierskiego, Owruckiego i Krzemienieckiego, którzy na Ukrainie jak w morzu tonęli. Ojcowie dziewek dawali im swoje nazwiska, szeroko porozradzały się familje, dawniéj pędzono ich na sejmiki, dziś to są odnodworcy po większéj części.

Panowie zawsze trzymali szlachtę na dworach dla dogodzenia swéj pysze i zadość uczynienia rozmaitym widokom, pod pozorem dobra publicznego; na dowód mego twierdzenia, mógłbym liczne przywieść przykłady, lecz ich aż nadto dostarcza historya. Tak Jerzy Lubomirski, marszałek i hetman polny koronny, zniechęcony do króla, pod pozorem że Jan Kazimierz proponował za następcę na tron za życia swego księcia d'Enghien ożenionego z siostrzenicą królewską córką Pfalz-Grafa, lub ojca jego księcia Kondeusza—stanął przeciwko Janowi Kazimierzowi, mocen związkami ze szlachtą. Leopold cesarz użył Lubomirskiego za narzędzie do zniszczenia projektów dworu Wersalskiego, u-

biegającego się o tron polski; pozwano hetmana o *crimen lesae majestatis*, odebrano laskę i buławę, rozdając je Sobieskiemu i Czarnieckiemu, a Lubomirski z infamiją ukrył się we Wrocławiu. Ale cóż? wpadł potém do Polski w osiémset koni, i szlachta go otoczyła, a dawni klijenci w takiéj postawili mocy, że zbił Połubińskiego, prowadzącego Litwę w pomoc królowi; Ustrzyckiego, marszałka konfederacyi przy królu stojącéj, wziął w niewolę, a wreście nad wojskiem królewskiém, pod Montwami u Noteci, zupełne odniósł zwycięztwo. Wieleż to było przykładów podobnych, niewyłączając po części i konfederacyi Barskiéj, do któréj tyle się przyczyniła pycha magnatów niemogących znieść nad sobą króla, nie z ich kasty pochodzącego.

Do trzeciego oddziału liczę gubernatorów, jak to ich naówczas zwano, ekonomów, dyspozytorów, pisarzów prowentowych i wszystkich oficyalistów ekonomicznych wielkich panów. Oni to najlepiéj podobno wyszli, porobili i niemałe majątki, choć się za to pańskich uszczupliło, a synowie ich i wnuki upiększyli pałacami wsie i miasteczka, których *paternitatem*, pochodzenia, *originem*, któżby

dziś śmiał dochodzić, spójrzawszy na jaśnie wielmożnych, tak świeżych a tak jasnych! Złamanie siódmego przykazania dawno zapomnieniem pokryte zostało, a może gdzie i absolucyą sobie wyrobili... Ja w tak zawiłe badanie wchodzić nie myślę, zresztą w przyszłych pokoleniach okaże się zły nabytek, bo po staremu—do czarta, *male parta.*

Szlachectwo polskie było wielkim klejnotem, kiedy o indygenaty u nas starały się pierwsze rodziny w Europie: dowodem tego konstytucye polskie a mianowicie z lat 1764, 1766, 1768, 1775, jak wiele familij i wielkich imion rossyjskich, niemieckich, francuzkich, włoskich, angielskich, hiszpańskich, stany obdarzały indygenatami, oprócz tych, które król rozdawał. Wspomnę tu tylko jednego rossyjskiego magnata, księcia Grzegorza Potemkina, owego możnego i znaczącego w swoim kraju męża, który w r. 1775 dostał indygenat polski, a w r. 1787 kupił u księcia Xawerego Lubomirskiego za dwadzieścia miljonów złotych, dobra Smilańskie; w roku zaś 1788 naturalizował się przez uroczyste homagium.

Czy książe Potemkin miał czy nie, jakie

projekta polityczne czyniąc to, różnie sądzić można, to pewna, że musiał szlachectwo polskie cenić, kiedy przy tylu dystynkcyach i godnościach, starał się o jego posiadanie. Stany Rzeczypospolitéj na sejmach nadawały indygenaty cudzoziemcom, ale zwykle potrzebowano od nich dowodów, że prerogatyw szlacheckich używały w swoim kraju. Za długiego panowania Augustów II i III, rzeczpospolita na sejmach nie rozdawała indygenatów; nobilitacye i przywileje na indygenów wychodziły z kancelaryi królewskiéj, gdyż sejmy zrywano, jeden po drugim, przez nieszczęśliwe *liberum veto*.

Szlachta polska do ostatka dawnego porządku nazywana była stanem rycerskim *per excellentiam*. W czasie sejmów ordynaryjnych, izba senatorska zbierała się i zasiadała osobno pod prezydencyą króla; izba poselska czyli stan rycerski, osobno pod przewodnictwem marszałków obojga narodów. Jeśli sejm był w Warszawie, zagajał go marszałek koronny, jeśli w Grodnie, litewski; dwa z kolei odbywały się w Warszawie, trzeci w Grodnie. Sejm ordynaryjny decydował materyę *unanimitate* i opozycya jednego zrywała naradę wszystkich;

w czasie sejmu konfederacyjnego, łączyły się obie izby, senatorska i rycerska, marszałek zagajał, i sejm taki pod konfederacyą, decydował większością głosów.



XVII.

Kryzys.

Z roku 1783 na osiemdziesiąty czwarty, przywieziono nas ze szkół do domu na święta; ja zachorowałem na zgniłą gorączkę; matka, która bardzo do mnie przywiązaną była, na krok mnie nie odstępowała i znać się musiała odemnie tą nieszczęsną chorobą zarazić. Ja począłem do zdrowia przychodzić, a ona 16 lutego 1784 roku umarła. Pomimo żem bardzo kochał matkę moją, i nad wszelki wyraz drogą mi była, tak wówczas osłabiony byłem i wycieńczony chorobą, żem nawet straty mojéj uczuć nie umiał; ojciec w prawdziwéj był rozpaczy.

Stryj nasz zabrał do siebie braci moich i ulokował ich w Owruczu, w konwikcie, gdzie do końca wychowania pozostali. Ja rok ten jeszcze miałem być w szkołach w Żytomierzu. Ale jakaż teraz różnica od przeszłości! Za życia matki byliśmy utrzymywani jak dzieci możnych obywateli; teraz zdawano się całkiem zapominać o mnie, zbywało mi nieraz nawet na najkonieczniejszych życia potrzebach, nie miałem co jeść, nie było się w co odziać. W lipcu 1784 roku ukończywszy szkoły, powróciłem do domu.

Ojciec mój bardzo żałował matki naszéj, ale samotność, sam żal może, nuda sprawiły, że szukał sobie rozrywki jakiejś; została po matce mojéj dziewczyna służąca, niejaka Solecka, niegodziwego charekteru kobiéta, która z tego położenia umiała korzystać. Wszyscy ludzie cierpieli przez nią w domu, ja najbardziéj, bo mnie instynktem nienawidziła; ojciec słaby dla niéj, srogim był dla mnie i stan mój w rodzicielskim domu stał się nie do zniesienia.

Miesiąc ledwie wybywszy i widząc, że nie wytrzymam, bo i robić tu co nie było, oddaliłem się; oddano mnie do palestry, ani się pytając nawet,

czy stan ten do smaku mi przypada, i czybym go sam sobie wybrał. Ojciec, którego wola była dyktatorską i sprzeciwić się jéj nie było podobna, ani dał sobie mówić o wyborze stanu.

Stan mój był wówczas najnieszczęśliwszy, nie miałem funduszów na utrzymanie, brakło mi nawet opieki; ojciec strapiony śmiercią matki, uwikłany w domową intrygę, przyciśnięty interesami, nie mógł czy nie chciał o mnie pamiętać, na wszystkiém mi zbywało. Zaledwie wypuszczony ze szkół, bez znajomości ludzi, bez stosunków i związków, niedoświadczony, obcy wśród świata, niepojmujący życia, szedłem na oślep, nie widząc celu ni środków. W siedémnastym roku życia puszczony na to szérokie morze, byłem jak rozbitek z okrętu, falą rzucony na brzeg wyspy zamieszkałéj przez dzikich ludzi; otoczony niemi nie znałem ani ich języka, ani obyczajów, wśród towarzystwa ich i gwaru, byłem sam jeden jak palec.

Takie było położenie moje: dodać do niego należy niechęć i wstręt do stanu, do którego mnie

przeznaczano, niewprawę do pracy i pióra, może i lenistwa trochę, słowem wszystko co tylko mogło zrażać i zniechęcać do przyszłego powołania mojego.

Mecenas mój, pan Gromnicki, mieszkał na jednym końcu miasta, ja na drugim, musiałem dwa lub trzy razy na dzień chodzić do niego. Żytomierz niebrukowany wtedy jeszcze, tak był błotnisty, gdym mój zawód poczynał, że z kału trudno było nóg wyrwać; wszystko gniło na mnie i opadało, a odnowić sukni i obuwia nie było za co. Ojciec trzymał wówczas klucz Wilski o półtoréj mili od Żytomierza; napisałem do niego gorącą, ognistą, malującą nieszczęśliwy stan mój suplikę, prosząc go by mi inny sposób życia wybrać pozwolił, albo cokolwiek więcéj na mnie miał względu; odpisał mi surowo i ostro, objawiając niecofnioną wolę żebym pozostał w Żytomierzu i daléj pracował. Wystawił mi przytém kilka przykładów ludzi, którzy z największego ubóstwa przyszli w tym stanie do znacznych majątków; do listu dołączył dwa dukaty, niedostateczne na potrzeb tyle.

W kilka dni potém stryj mój (*) przejeżdżał przez Żytomierz i kazał mnie do siebie zawołać; ze łzami opowiedziałem mu położenie moje, ale i on w dosyć ciężkich będąc interesach, nie mógł mi na nic poradzić, (był w procesie z metropolitą, jak to się niżéj powie), dał mi jednak dziesięć talarów. Te dwa małe zasiłki, pomogły mi cokolwiek do poprawienia zszarzanéj garderoby.

Stół miałem u mojego mecenasa, był obiad i kolacya; jeśli on sam był na obiedzie, choć źle, było przecie tyle, że się z głodu nie marło, lecz że często go zapraszano, ja z towarzyszami cierpieliśmy głod, bo nas wówczas karmiono Bóg tylko jeden wié jak. Wyrostkowi mojego wieku, którego miałem do usługi, płacić musiałem za jego stół pięćdziesiąt groszy na tydzień, ale sam ani śniadania, ani podwieczorku kupić sobie nie miałem za co.

O pięć mil od Żytomierza mieszkał bogaty krewny matki mojéj, człowiek w wieku, mający lat

(*) Ksiądz Józefat Ochocki, Zakon. S. Bazyl. Wielk. Doktor S. Th. Członek Kongreg. de propaganda fide, późniéj Opat Owrucki O. S. S. K.

około sześćdziesięciu, niedawno żonaty z młodą i przystojną kobiétą, którą kochając zapamiętale, wszystko jéj testamentem zapisał. Od niego miewałem małe pomoce i śniadania z jego łaski, przysyłał mi to kawy palonéj trochę, to kawał cukru, to bułki lub wędliny i t. p. Na nieszczęście czy na szczęście nie wiém, krewny ten mój przed Bożém Narodzeniem życie skończył niespodzianie. Wdowa przysłała zaraz po mnie, abym jéj pomógł w ostatniéj usłudze, pośpieszyłem do... Zdawała się niepocieszoną po stracie męża, żal jéj dochodził rozpaczy, cieszyliśmy ją jak mogli, ja szczególniéj, com także żałował szczérze mego śniadaniowego i podwieczorkowego dobrodzieja; wspólnie wylewaliśmy łzy rzewne. We trzy dni nieboszczyk był pogrzebiony, a wdowa nieutulona prosiła mnie żebym jeszcze dłużéj nieco pozostał, dla rozerwania ją w samotności i pomocy w rozporządzeniach domowych. Dodała z westchnieniem, aby mnie więcéj przyciągnąć, że nieboszczyk zawsze dla mnie wiele okazywał afektu i chociaż cały majątek jéj zapisał, oświadczał przecie, że mi cóś chce dopomódz, i w ostatniéj słabości jéj to do spełnienia polecił.

—Ja się z tego chcę święcie i sumiennie uiścić, dodała; ucałowałem jéj kolana, a ona mnie w twarz, co uwagi mojéj naówczas nie zwróciło, bo to bywało i za życia męża. Nie dając się długo prosić zostałem, traktując ją jak osobę daleko starszą i wyższą odemnie położeniem, z uszanowaniem i uległością, ona mnie jak blizkiego krewnego, z poufałością.



XVIII.

Wdowa.

Tak upłynął czas do Bożego Narodzenia: nadeszła wilia, w całym domu nas tylko dwoje, ksiądz proboszcz, ekonom i panna służąca. Wedle zwyczaju stół zastawiono obficie, jakby na dwadzieścia osób, rybami, pączkami i mnóstwem potraw postnych, kolacya była łzami oblana, aleśmy jedli dobrze; ja z kieliszkiem byłem ostróżnie, ale musiałem wypić pół szklanki starego miodu, który jako nieprzyzwyczajony, dobrze poczułem w głowie.

Nie wiém z pełna co się ze mną działo po wieczerzy; przypominam sobie tylko, żeśmy wstali

od stołu, i po krótkim przeciągu czasu wszyscy się rozeszli, ja sypiałem w bawialnym pokoju, a pościałkę moją skromną bardzo, składały jedna skórzana poduszczyna i płaszcz, którym się nakrywałem. Mróz tego dnia był niesłychany, zimno w pokoju obszernym okrutne, zasnąć jakoś nie mogłem, począłem się przechadzać.... nie wiém co się tam daléj stało, ale nazajutrz położenie moje w tym domu zmieniło się zupełnie.

We dnie płakała wdowa jeszcze, ale z za łez spoglądała na mnie czule— co do mnie, nie wiém czym ją kochał, czy tylko pragnienie młodosci malowało mi uczucia moje w najżywszych barwach; dość żem się szalenie do niéj przywiązał.

Drugiego czy trzeciego dnia, wdowa objawiła mi, że chce jechać do Berdyczowa i mnie z sobą bierze, dała mi pięćdziesiąt dukatów na oporządzenie, resztę pościeli i bielizny sama się obiecując postarać. Była to wówczas summa dla mnie ogromna, nigdy dotąd nie byłem jeszcze tak bogaty.... szczęście moje opisać się nie daje, kochany namiętnie od młodéj i przystojnéj kobiéty, nagle z niedostatku i głodu prawie, przeniesiony na szczyt szczęścia, czułem zawrót głowy, i ja-

kąś zabobonną bojaźń utraty tych niespodzianych skarbów.

Wdowa moja pokazała się w Berdyczowie, w nowo sporządzonéj żałobie, a jak jéj w tych czarnych sukniach było do twarzy! Z każdym dniem stawała mi się piękniejszą i ponętniejszą, przywiązywałem się do niéj szalenie, namiętnie....

Wzięliśmy się oboje do mego oporządzenia: ja sprawiłem suknie, których mi tak bardzo było potrzeba, ona kupiła płótna, materyi i czego tylko potrzebować jeszcze mogłem. Na Nowy Rok wyglądałem jak panicz, sługa mój także ubrany był wykwintnie, humor inny, ruch nowy przybył, podniosłem głowę, zdało mi się, żem się dopiéro wczoraj na świat narodził.

Na Trzy Króle ojciec przysłał po mnie; żegnałem kochankę ze łzami i obojeśmy jakby przeczuciem jakiém rozstać się długo nie mogli.

Musiałem jechać z ojcem moim na kontrakty dubieńskie; wdowa przy pożegnaniu dała mi na drogę pięćdziesiąt dukatów, bardzo piękne nowe baranki i mnóstwo innych rzeczy. Poprzysięgliśmy sobie miłość wieczną, a za powrótem moim,

obiecała mi objawić swoje nowe na przyszłość projekta.

Gdym do Wilska przyjechał, ojciec nie pomału się zadziwił zobaczywszy nową moją garderobę, a bardziéj jeszcze futro, pościel, bieliznę; nie mogłem tak naprędce zmyśléć zkąd to mam wszystko, lecz przyciśniony, przyznałem się, że od wdowy. Ojciec spójrzał i zamilkł.

Pojechaliśmy razem do Dubna, ale mi wszędzie tęskno było: dwa te tygodnie oddalenia stały się wiekiem dla mnie, czas wlókł się żółwim krokiem. W Dubnie, szczęściem dla mnie, szpiegowano mnie trochę; gdzie tylko ojciec mnie posyłał, albo sam za swoim szedłem interesem, wszędzie nieodstępnie włóczył się za mną jak cień, kawalerski jeszcze sługa ojcowski, pajuk Wasyl, ogromne chłopisko, który, gdym był mały, kiedy mi rózgi administrowano, na rękach mnie trzymał jak piórko do téj egzekucyi. Raz z zebrania kontraktowego wykradłem się jakoś od tego niewygodnego towarzysza i z dwóma młodemi rówieśnikami, ruszyliśmy na miasto, pohulać. W rynku grano publicznie w kupki, rzemyczki i lewka, była to gra rozbojnicza, o któréj dziś tru-

dno dać wyobrażenie, pokusa mnie do niéj wzięła. Postawiłem dukata, przegrałem, dwa, i przegrałem jeszcze, chcąc wetować dobyłem już trzy, gdy Wasyl, który się tam niewiedziéć jak znalazł, cap mnie za rękę— zielono mi się w oczach zrobiło.

Pajuk groźno zawołał mnie, żebym do ojca powracał, i żal pieniędzy i wstyd i rozpacz stanąć przed nieubłaganym sędzią; ledwie się dał uprosić i zapłacić Wasyl żeby milczał.

Od ojca pośpieszyłem do Żytomiérza, zkąd natychmiast poleciałem do mojéj wdowy, z którą naówczas dziewięć spędziłem tygodni, ani się opatrzywszy jak mignęły. Nadszedł rozkaz od ojca, żebym do niego przyjeżdżał; na drogę dała mi znowu pięćdziesiąt dukatów, cztéry śliczne konie z karyolką i trzy bardzo piękne i kosztowne pasy. Wreszcie oświadczyła mi otwarcie, obsypując pieszczotami i podarkami, że po ukończeniu żałoby chce wyjść za mnie i pozwoliła powiedziéć ojcu, że przed ślubem cały swój majątek mi zapisze. Do nóg jéj upadłem w upojeniu, słów nie znajdując na dzięki, tak byłem szczęśliwy.... mógł-

żem przewidzieć wówczas, że się ostatni raz widzimy, i że ją stracę na zawsze! Trudno mi się było oderwać od niéj, ale rozkaz ojca był nieodwołany. Miałem nie więcéj nad lat siedémnaście, ona około trzydziestu, ale ją naówczas kochałem nad życie: było to piérwsze przywiązanie moje.



XIX.

Tulczyn.

Ojciec mój powołał mnie chcąc posłać z panem Protosowieckim, Vicesgerentem grodzkim żytomierskim do Tulczyna, do pana Szczęsnego Potockiego wojewody ruskiego, dla odebrania siedmiu tysięcy złotych, które miał w kassie jego. Pojechaliśmy więc z nim razem, moją karyolką i cztérma końmi mojemi, wziąwszy z sobą dwóch ludzi, a choć nas tylu było, z największym luxem podróżując, niepodobna było dwóch złotych stracić na noclegu. Korzec owsa był wówczas po piętnaście groszy, siana za trzy grosze konie zjeść nie mogły, kura kosztowała trzy grosze, pół ba-

rana osiémnaście groszy, wódka w szynku sześć groszy kwarta, drwa i postojne się nie rachowały.

Pamiętam, że stanąwszy w Kamionce pod Białocerkwią, chciało się nam jeść zrana, zgodziliśmy się kazać zrobić jajecznicy, pytamy żyda wiele jaj da za grosz? Odpowiada, cztérnaście.— Drogo!

—No! to szesnaście!— Zgoda, dawaj! Wtém stojąca kobiéta odezwie się po cichu:— Czemuście się to mnie nie spytali, dałabym za grosz dwadzieścia i cztéry. Wyrażam tu te drobnostki, abym okazał ówczesny stan kraju, czém były pieniądze i produkta i jaka stosunkowa ich wartość.

Stanęliśmy w Tulczynie: nie mogłem miéć pojęcia o takiéj okazałości, jaka otaczała tego magnata, był to dwór królewski, nie partykularnego człowieka. Pałac jak go dziś widzimy, był skończony, napis na architrawie— Oby cnotliwych i wolnych był zawsze mieszkaniem. Roku 1782,— już exystował, oficyn tylko jeszcze ogromnych, trzypiętrowych, które otaczają gmach główny, i po sto apartamentów zawierają, nie było jeszcze,

ani ogrodu, ani drzew, które dziś jak odwieczne wyglądają. Pan Potocki piérwszy sprowadził topole na Ukrainę; widziałem tam ogromną jednę, nazwaną matką, od któréj rozmnożyły się wszystkie owe lasy topolowe w dobrach pana Potockiego i otaczającym kraju. Naówczas, świéżo jeszcze po podziale, piérwszy Potocki przeniósł był z Krystynopola rezydencyą swą do Tulczyna: połowy budowli dziś z pałacem połączonych postawić nie uśpiano.

Stanęliśmy w miasteczku, i przebrawszy się poszliśmy do pałacu, przed którym wielki był odwach. Tu po cztérdziestu ludzi z nadwornych żołnierzy z muzyką zaciągali wartę, i ztąd rozchodziły się poczty na wszystkie rogatki. Oprócz piechoty byli i ułani nadworni, pięknie poubierani.

Wprowadzono nas do pałacu, ale pan Potocki od kilku dni się nie pokazywał na pokojach, ani przyjmował gości, bo był chory. Musieliśmy czekać na niego dni jedénaście, po których się dopiéro pokazał. Oddałem mu list mojego ojca, który schował do kieszeni nieczytając i musiał o nim zapewne zapomnieć.

Nazajutrz znowu byliśmy na pokojach z panem Protosowieckim, przystąpiłem z bojaźnią do straszliwego magnata, i ośmieliłem mu się przypomnieć, żem oddał list ojca, na który o rezolucyą proszę...

—Kiedy WPan ten list oddałeś? zapytał.

—Wczora.

Kazał zawołać sekretarza, który zaraz nadszedł.

—Gdzie jest list pana Ochockiego?

—W kancelaryi.

—Kiedy koléj odpowiedzi?

—Za dwa dni.

—Za dwa dni więc przyjdziesz WPan i będziesz miał rezolucyę. A o czém, dodał, pisze pan Ochocki?

—Prosi o wypłatę siedmiu tysięcy złotych.

—Masz WPan mój dokument?

Pokazałem go natychmiast, kazał zaraz podać kałamarz, i napisał *Solvat*, a oddając mi go rzekł:

—Gdy przyjdzie koléj expedyowania, udasz się z nim WPan do kassy.

Żegnając kazał mi być na obiedzie, ale u stołu ani sam, ani nikt z familii nie był. Do sta

jednak osób siedziało z nami, wszyscy co zwykle otaczali pana Potockiego, dwór cały. Między niemi znalazłem znajomego pana Dyzmę Tomaszewskiego, późniéj jak wiadomo, sekretarza konfederacyi Targowickiéj i pana Wigurskiego. Ci mnie oba protegowali w Tulczynie, oprowadzali i pokazywali wszystko. Za dwa dni przyszliśmy do kassy, tu nas ani minuty nie zatrzymano na próżno, pieniądze już były odliczone, procent do nich dołączony i list do mojego ojca gotów.

W momencie wyjechaliśmy z Tulczyna, gdyż oddalenie od wdowy niepokoiło mnie, nad wszelki wyraz. Czwartego dnia stanąłem w Wilsku i oddałem pieniądze, ojciec dał mi sto złotych, mówiąc:

— Widzę, że się już wasan bezemnie obejść potrafisz, ja tam sam będę u wdowy.

Zatrzymał mnie jeszcze przez dwa dni, trzeciego leciałem do Żytomierza układając sobie zaraz śpieszyć do narzeczonéj mojéj, któréj od cztérech przeszło tygodni nie widziałem; a serce gwałtownie mnie już do niéj ciągnęło. Jak piorunem rażony zostałem odbierając zarazem jéj list wzywający mnie pilno i drugi od ekonoma, że

już żyć przestała. Zgniła gorączka, która całą wioskę wyludniła, doszła wreszcie do dworu, dwoje ludzi i sama pani z niéj umarła.

Zdawało mi się że dusza mnie opuści, gdy tak nagle ze szczytu nadziei, znowu do dawnego położenia zepchnięty zostałem ręką losu. Potrzeba było pozostać w Żytomierzu, męczyć się i dawną znosić biedę, niedostatek i nędzę, przeciw którym zapasik mały i zamożność dzisiejsza nie na długo wystarczyć mogły.

Z goryczą w duszy zaprzągłem się do dawnéj pracy, bez ochoty, jak za pańszczyznę, bez energii, bez upodobania w moim stanie, a w dodatku bolésnemi utrapiony wspomnieniami, po tak jeszcze świéżéj stracie kobiéty, przez którą szczęście poznałem. Do jakiegoś czasu, miałem się jeszcze przynajmniéj w czém pokazać, wyglądałem jak syn możnego obywatela, przejeżdżając się karyolką którą potém panu Kajetanowi Proskurze, za sto dwadzieścia czérwonych złotych sprzedałem.

Przeszło pół wieku od téj doby; pamięć jak przez sen przywodzi mi miłe owe wspomnienia mojéj młodości, i wypadek ten zdaje mi się nie

do wiary, by wdowa co tak rzewne łzy lała po mężu, i rozpaczała po jego stracie, w dni szesnaście po śmierci wzięła za kochanka dzieciaka prawie, a we dwa miesiące oświadczyła się być jego żoną, oddając mu wszystko co z łaski przeszłego męża posiadała. Ale wiele tu ją okoliczności uniewinnia w oczach moich: nieboszczyk był starcem, ona ofiarą, ja młodym i przystojnym chłopcem, okoliczności nas zbliżyły, obowiązków żadnych względem nikogo nie miała, wolną była zupełnie, serce jéj przemówiło po długiéj niewoli. Mogła połączyć i żal po stracie dobroczyńcy i pragnienie nowego losu, który sobie tworzyła w przyszłości, szukając odwetu za długą cierpliwość i wytrwanie.

Co do mnie, jestli dziwném żem się do niéj szalenie, wdzięcznością i namiętnością przywiązał? Była to piérwsza miłość moja, i większego naówczas nie pojmowałem szczęścia na ziemi. Wdowa nie była szpetną wcale, wzrostu miernego, nie zbyt szczupła, blondynka i biała, z niebieskiémi oczyma przysłonionemi długiemi ciemnemi rzęsami, i wejrzeniem omdlewającém, zęby miała rzadkiéj piękności i białości, a w całéj

postawie wiele wdzięku wrodzonego. Szpecił ją nieco chód ociężały i trochę otyłości, ale w moich oczach nie było to wadą, i tak jak była, doskonałą się moim siedemnastoletnim oczóm wydawała pięknością. Nie wiém zaprawdę, coby daléj było ze mną, gdyby stan ten dłużéj był potrwał, czybym ją potrafił równie kochać jak w początku; dziś mi ta uwaga na myśl przychodzi, ale naówczas nic mnie powstrzymać nie mogło, choć różnica wieku była między nami taka, że matką by moją być mogła.

Żałowałem ją szczérze i opłakiwałem długo, może dla tego, że się i interes mieszał do téj przedwczesnéj miłości; a przedemną nie jaśniała przyszłość, bom w jéj głębie zajrzéć nie mógł.

Opatrzność litościwa gotowała mi nowe dary, których naówczas przewidywać nie byłem w stanie.



XX.

Palestra w Żytomierzu.

Odtąd zakwitła mi pomyślnością młodość moja: był to splot kwiatów najpiękniejszéj krasy i najmilszéj woni, były i kolce przy różach, ale tych albom uniknąć potrafił, lub zlekka mnie ledwie drasnęły. Po śmierci téj, którą już narzeczoną nazywałem— choć przeciw woli i usposobieniu, bo mi się do wojska wstąpić chciało,— dogadzając ojcu, z rezygnacyą pozostałem w gronie Żytomierskiéj palestry. Pokaźna garderoba, rzecz nie wielkiéj wagi, ale uprzedzająca o człowieku, ekwipaż i jaki taki grosz, który miałem z łaski nieodżałowanéj wdowy, pomogły mi do pozyskania

między mecenasami znajomości i względów, ku czemu jeszcze się i następująca przyczyniła okoliczność.

Sędzią ziemskim żytomierskim był naówczas Adam Bukar, z którego siostrą, po śmierci matki mojéj Eufrazyi z Suszczewiczów, ojciec się świéżo ożenił. Mąż ten zacny, wraz z żoną swą wielkiéj dystynkcyi damą, wychowaną na dworze księżnéj Lubomirskiéj wojewodzinéj kijowskiéj, protegował mnie z początku jako spokrewnionego, potém się do mnie szczérze przywiązał. Oboje ci najpoczciwsi ludzie, zajęli się wykorzenieniem we mnie téj surowizny szkolnéj i braku znajomości świata, które mi jeszcze pozostały, szczérze mysląc o dalszym losie moim. Dom ich na wielkiéj utrzymywany stopie, był, rzec można, szkołą młodzieży, a dla mnie najmilszym i najkorzystniejszym przytułkiem; zgoła, zastępował mi miejsce rodzicielskiego.

Będąc nieustannie przy boku człowieka takiego znaczenia, jakiego wówczas używali sędziowie ziemscy, przypatrywałem się pilnie biegowi interesów, i tak szczęśliwie skorzystałem z czasu, że w rok mogłem już podjąć się spraw choćby naj-

większéj wagi. Na kadencyi piérwszéj zaraz, przydany zostałem z mocy prawa jednemu kryminaliście za patrona, wypracowałem obronę jego, która się sądowi i mecenasom podobała; pryncypał mój uszedł szubienicy i stryczka, a mecenasi podali illacyę, prosząc sądu o przypuszczenie mnie do przysięgi *super patrocinium*. Wykonałem ją i to mi późniéj w Lublinie służyło.

Muszę tu nawiasem wspomnieć o dawnym zwyczaju. Kiedy miano czytać dekret skazujący na śmierć, sędziowie nakrywali głowy, prezydujący wołał głośniéj:— Otwórz drzwi! dekret śmierci! Woźny, również z głową nakrytą, po trzykroć otwiérał drzwi i z trzaskiem je zamykał, wołając:

—Uciszcie się panowie, do słuchania dekretu śmierci!

Delinkwent stał przed sądem, w czasie czytania dekretu. Po nim dawano mu dni trzy dla przygotowania się na śmierć, a ksiądz już go nie odstępował. Jeśli skazany był innowierca, pracowano, aby go skłonić do przyjęcia katolickiéj wiary. Kat także był ciągle przy delinkwencie, nocował z nim, i oswajał go z sobą. W zawodzie misyonarskim celował wówczas ksiądz Bu-

kowski, ex-jezuita. Po każdéj kadencyi grodzkiéj kilku więźniów exekwowano, albo na ćwiertowanie, lub na ucięcie łba i szubienicę. Jeżeli prowadzonego na plac delinkwenta, spotkała dziewczyna i rzuciła na niego ręcznik, a nie był żonaty, tedy zamiast na plac exekucyi, wiedziono ich do kościoła lub cerkwi oboje, ksiądz dawał zaraz ślub i więzień od kary był wolny.

Wracam do rzeczy; sędzia Bukar w ścisłych był stosunkach ze Stempkowskim, który świéżą dostał promocyą na województwo Kijowskie, i wielkie miał znaczenie tak u dworu jako i między magnatami. Jego to myślą szczęśliwą było umieścić mnie u wojewody, jakoż, polecił mnie, szczególnie rekomendując do usług jego. Nie miałem w rzeczy żadnego obowiązku ani pensyi u pana Stempkowskiego, byłem przy nim jak młody człowiek szukający protekcyi i poparcia u pana, który, jak się to niżéj objaśni, przed cztérma laty największą niesprawiedliwość familii naszéj wyrządził. Z nietajonym więc wstrętem wstępowałem na dwór pana wojewody: wiedzieli o tém pan Bukar, ojciec mój i stryj, ale musiałem go przezwyciężyć.

Ojciec przy pożegnaniu rzekł do mnie:

—Bądź wierny i przychylny panu Stempkowskiemu, może Bóg cię przeznaczył na narzędzie, abyś interesa familii podźwignął. Ziściło się jak przepowiedział. Ojciec i stryj naznaczyli mi po pięćdziesiąt dukatów pensyi na utrzymanie; piérwszy, raz mi tylko dał dwadzieścia pięć dukatów, drugi raz dwadzieścia, stryj aż do przemiany na wyższą regularnie ją wypłacał.



XXI.

Łabuń.

W roku 1786 na Trzy Króle, sędzia Bukar przywiózł mnie sam do Łabunia i oddał panu wojewodzie. Zastałem tam ośmiu młodych ludzi, synów obywatelskich, pod imieniem assystentów bawiących: był pan Stempkowski rodzony synowiec pana wojewody, podkomorzyc J. K. Mości, drugi staroście Gnidawski, pan Gawroński podkomorzyc także, pan Drohojewski kasztelanic, pan staroście Zakrzewski, a na ostatku czesnikowicz, to jest ja. Tak pan wojewoda mianował nas każdego po urzędzie ojców, a za nim i dwór cały w ten sposób nas nazywał. Ale tamci byli to

młodzi ludzie, synowie rodziców majętnych, mieli pyszne garderoby, konie własne i powozy, ja zaś choć z łaski mojéj wdowy miałem odzież porządną i dostatnią, wyrównać im nie mogłem co do ekwipażu i wierzchowców, bo mi na tém całkiem zbywało; konie miałem na zawołanie ze stajni pana wojewody.

Jakem tu tylko przybył, przy mnie zaraz, sam polecił to koniuszemu, a gdyśmy w dalszą jaką podróż lub z wizytą gdzie jechali, ja z nim w karecie zawsze, a tamci w swoich ekwipażach. Obowiązki do spełnienia nie były ciężkie. Po dwóch z nas codzień bywało na dyżurze, a wszyscy mieliśmy za powinność roznosić damom dzień dobry, wprowadzać je na pokoje, wyprowadzać do mieszkań, bawić je, tańcować z niemi i robić honory domu. Od rana do pory w któréj następowały tańce, co rzadko którego dnia chybiało, wszyscyśmy być musieli przy pałaszach, w mundurach wojewodzkich, na bal w sukniach galowych. W takiém położeniu jak moje, rzadkoby który młody człowiek o przyszłości pomyślał, mnie jednak przychodziło nieustannie na pamięć—jak stracę moje dwieście dziesięć czerwonych złotych, su-

knie się wytrą i opłowieją, pasy wyszarzają, co wówczas pocznę? W istocie było się czego lękać, ale Opatrzność czuwała nademną.

Zwróciłem usiłowania wszelkie i gorliwie starać się począłem o pozyskanie życzliwości i względów pana wojewody. Koledzy moi grywali w karty i często się zgrywali, ja kart nigdy w rękę nie wziąłem, wiedząc, że pan wojewoda tego nie lubił i sam w żadną grę nie grał, chociaż na pokojach były stoliki i goście grywali w karty. W dyżurze nie pilnowałem kolei, co dzień od rana do wieczora służyłem, jakbym był do tego obowiązany. Co się tycze kart, musiałem panować nad sobą, bom nadzwyczajną miał do nich skłonność; to wszystko musiało zwrócić uwagę pana wojewody, gdyż wkrótce zaczął mi okazywać widocznie szczególne i wyłączne względy.

Zastałem Łabuń na wielkiéj stopie, tak co do okazałości jak i etykiety, kuchnię wytworną, muzykę złożoną z wirtuozów, ekwipaże paradne, usługę liczną i zbytkownie ubraną, zgoła dwór magnacki, którego życie zastosowane było do rangi i posady wysokiego senatora, równając się w okazałości i formach Tulczynowi. Łabuń był

niezmiernie ożywiony ciągle, codziennie przybywali nowi goście, lokując się to w pałacu, to w oficynach, a nawet w dworkach i domach żydowskich naówczas bardzo porządnych, które czasem jak napchane były przyjeżdżającemi.

Pojechaliśmy do Pulin, do pana Hańskiego, który świeżo wyrobił sobie order przez pana wojewodę; wracając, pan Stempkowski był w jak najlepszym humorze, i mówiąc do mnie o czémś, zawołał:— Mój Duklanku!

Na to ja, jakeśmy siedzieli w karecie, padłem mu do nóg, prosząc aby mnie tak zawsze, a nie urzędem ojca, cześnikowiczem nazywał.

— Moi koledzy, dodałem—kasztelanic, starościc, podkomorzyc, jakąś przez to wyższość mają przedemną, ja tylko jeden jestem biednym cześnikowiczem.

Pokręcił wąsa wojewoda i rzeknie:

Widzę twoją przychylność dla mnie, będę się starał promowować cię.

Przyjechawszy do Łabunia wyprawił zaraz kuryera do generała Lubowidzkiego; w parę dni powrócił posłany, a pan wojewoda oddał mi fortrag jako dającemu dwóch sowitych pocztów, na noszenie munduru z oficerskiemi znakami, to jest, gwiazd-

ką na szlifie, kordonem, feldcechem i pendentem srébrnym.

Było to w salonie; wojewoda, nazwał mnie zaraz panem chorążym Ochockim...; trudno wyrazić radość i wdzięczność moją, zdawało mi się jakbym jenerałem został.

Po obiedzie zaraz prosiłem o urlop na dni sześć do Berdyczowa dla sprawienia sobie mundurów.

— A masz-że pieniądze? zapytał wojewoda.

Wyjąłem worek, który zawsze nosiłem przy sobie i pokazałem, że mam dwieście dziesięć dukatów.

— Ale ja za trzy tygodnie jadę do Warszawy, odezwał się wojewoda,— a ty ze mną, tamby ci się one przydały.

— Napiszę do ojca i do stryja, oni mi cokolwiek przyszlą.

Pojechałem do Berdyczowa i duchem sprawiłem sobie dwa mundury, cały uniform, który mnie kosztował siedemdziesiąt czerwonych złotych; w nim prezentowałem się zaraz na pokojach i widziałem, że mi moi koledzy zazdrościli, ale czy nie chcieli czy nie umieli o to prosić pana wojewody. Oni się przesadzali w cywilnych ubiorach,

w czém mnie mundur był bardzo na rękę, zastępował bowiem i drogie suknie i drogie pasy, w których codzień potrzeba było występować na bal; zaszczędziłem pasów, które mi się bardzo potém przydały.

W maju ruszył pan wojewoda do Warszawy, a w sierpniu powróciliśmy; jezdziło z nami pięciu moich towarzyszów, reszta za urlopem do domów się wybrali. Nic wyrównać nie może porządkowi i wygodzie w podróży, wszystko jechało z nami, kuchnia, bufet, piwnica, wszelkie wygódki jak w Łabuniu; sześćdziesiąt kilka koni, rachując z assystenckiemi, wiozło dwór i zapasy.

Robiliśmy najwięcéj pięć mil drogi na dzień, a co dwa dni rasztag, dwóch pokojowców poprzedzali nas dobą naprzód dla zajęcia kwater, koniecznie w jakiem miasteczku, i przysposobienia furażów. Wyjechawszy z Łabunia, staliśmy w Zasławiu u książąt Sanguszków dni dwa; u Podhorodeckiego w Hulczy znowu dwa dni; w Dubnie u ks. Michała dwa dni; w Młynowie u pani Chodkiewiczowéj dwa dni; w Łokaczach u wojewody Wilgi dwa dni; w Puławach pięć. Pan wojewoda i my staliśmy w pałacach zwykle, dwór i konie

w mieście. Nareście przybyliśmy do stolicy, na któréj widok zachwycony zostałem, bo mi wyobraźnia rozgorączkowana nic nawet podobnego do niéj we śnie nie przedstawiała.

Pan wojewoda zastał już w Warszawie pałac dla siebie przygotowany; na drugi dzień oddał wizyty marszałkowi W. koronnemu, z którym pojechał do zamku i kilku innych. Całe dwa dni następne zajęły także rozmaite odwiedziny, trzeciego dnia był u króla na obiedzie w Łazienkach, gdzie Poniatowski letnią porą rezydował, w niedziele tylko i święta przyjeżdzając na uroczystsze przyjęcia i obiady do zamku. Assystencya pana wojewody nigdy go nie odstępowała; kiedy u króla na obiadach bywał, my do marszałkowskiego stołu byliśmy wzywani, u którego najmniéj dwieście osób zasiadało.

Pan wojewoda raz w tydzień dawał obiad wielki na osiemdziesiąt lub sto osób, i w czasie bytności swéj w Warszawie dał dwa bale. Na jednym był król, pani krakowska i cała familia królewska. U siebie na obiedzie rzadko kiedy bywał, każdego dnia był proszony, a my z nim nieodstę-

pnie. Powinności nasze też same były co w Łabuniu.

Na wyjezdném, sekretarz królewski, Deszert, przywiózł wielką pakę przywilejów na urzęda i ordery dla obywateli kijowskich, ja to później wszystko rozwoziłem.

W wigilją wyjazdu oddał mi malutki massą zapieczętowany bilecik z podpisem: *A Monsieur Tepper* i kazał mi z nim jechać do niego; przywiozłem mu sześć tysięcy dukatów, do dziś dnia nie wiem z jakiego wyszły źródła, ale mi się zdaje, że to być musiała assygnacya królewska.

Pan wojewoda porobił sprawunki wielkie; cztéry najęte po sześć koni bryki, ledwie je zabrały, były to meble, sukna, wina, i t. p. Transport ten poszedł z pokojowcem jednym, Zakrzewskim, wprost do Łabunia, myśmy pana Stempkowskiego nie odstępowali. Zwyczajem było owych czasów, że magnaci i wielcy urzędnicy nigdy się bez assystencyi nie ukazywali. Przed wyjazdem naszym przybył do Warszawy na ferye książe Karol Radziwiłł, byłem wówczas z panem Stempkowskim na zamku, kiedy na uroczystą audyencyą przyjechał. Więcéj niż sześćdziesiąt powozów mu to-

warzyszyło, a assystencya jego całą salę marmurową zajęła, tyle się nacisnęło za nim Litwinów, w różnych wojewódzkich mundurach. Każdy miał pałasz z furdymentem i rękawice łosie za pasem, wąsato i buchasto jak sam książe.

W powrócie do Łabunia też same mieliśmy stacye, takie same wygody i tryb życia jednaki, konie i ludzie assystentów byli na koszcie pana wojewody, równie jak w Łabuniu.

Stanąwszy w domu, wyprawił mnie pan Stempkowski z przywilejami i orderami po różnych domach, co więcéj dwóch tygodni czasu zabrało, nimem się ułatwił. Wróciwszy zastałem ludno, pałac pełen dam i mężczyzn, towarzystwo świetne i bardzo liczne.

XXII.

Stanisław August w Łabuniu.

W r. 1787 w styczniu, pan wojewoda wyprawił mnie z Warszawy do Łabunia, kilką dniami wprzódy wyjechał Werner z ośmią brykami napełnionemi różnemi meblami, adamaszkami i atłasami w desenie, z tapicerami, stolarzami i mnóstwem rozmaitych rzemieślników. Wybieraliśmy się na przyjęcie królewskie w Łabuniu, gdzie Stanisław August jadący dla widzenia się w Kaniowie z Katarzyną IIgą, miał spocząć dni kilka.

Przed odjazdem moim, zaprowadził mnie pan wojewoda do gabinetu królewskiego na zamku, a że meble zupełnie podobne do tych jakie tu były,

kupione już poszły do Łabunia, rozkazał mi się przypatrzéć dobrze, abym je poustawiał tak jak one tu były rozporządzone.

Do gospodarowania dla reprezentacyi wezwany był przez wojewodę generał-adjutant Swiejkowski, który mieszkał blizko w Mikulinie i pan sędzia Bukar. Oba byli bardzo kredytowani u pana wojewody, który ich nad wszystkich lubił.

Zjechali oba do Łabunia ośmią tygodniami przed przybyciem królewskiém, gdzie dzień i noc bezustanku rzemieślnicy robili, a my koło nich krzątać się i pilnować ich musieliśmy. Wywrócono pałac do góry nogami urządzając go na nowo, stolarze, tapicery, malarze, pełno tam było wszystkiego. Była sala paradna balowa, druga ogromna jadalna, pokoje bawialne i cała lewa strona pałacu z gustem niesłychanym i przepychem monarchicznym wyświéżona; prawa część choć już nie tak wspaniale, wszakże przystojnie bardzo, a nawet wytwornie wykończona została dla świty królewskiéj.

Tam i na dole stać mieli ksiądz biskup Naruszewicz, generał-adjutanci Komarzewski i Byszew-

ski, szambelanowie, pazie, kapelani, kaznodzieje i t. d.

Panowie Swiejkowski i Bukar siedzieli sobie w Łabuniu oczekując przyjazdu i wraz z nami wszystko przysposabiając na przyjęcie, a dla przepędzenia czasu grywali w maryasza, każdą pulę solenizując obchodzącym kielichem. Czasem do towarzystwa ich przyłączał się pan miecznik Jakubowski ze Szkarawki.

Na nas młodszych cały kłopot spadał, a wiele koniecznych rzeczy brakło, naprzykład, ludzi do usługi. Pan wojewoda miał z sobą połowę liberyi w Warszawie, a tymczasem ogromny przedpokój, gdzie trzydzieści sześć krzeseł dla liberyi potrzeba było zapełnić, stałby pustką; należało myśleć i o tém kogo tu posadzić, i o lokajach, których po dwu w każdych drzwiach stać musieli. Kraj nie obfitował wówczas wcale w zdatnych do usługi ludzi; niesłychana była trudność, nim się do naszych szesnastu dobrało jeszcze dwudziestu sześciu. Brałem ich w rekwizycyą z majętniejszych domów, które w sługi obfitowały, ale i w nich prędzéj hajduka i pajuka niż lokaja było znaleźć; dobrzem się za niemi nalatał.

Nadto potrzeba było jeszcze dwóch pajuków do przedostatnich drzwi królewskich; z tych jednegom dostał u pani Woroniczowéj kasztelanowéj bełzkiéj, drugiego u pana Bukara, ale to byli proste parobki, których cały miesiąc musztrować musiałem, żeby się obrócić umieli, takie to niezgrabne i nieokrzesane przyszło. Oni i cała służba, dostała liberyą paradną królewską. Moi dwaj pajucy mieli po trzy łokcie i pół wzrostu, i twarze bardzo przystojne, a jak się to otargało, prezentowali się pięknie.

Gdy my się tu krzątamy, gospodarze, pan Swiejkowski i Bukar, listami spraszają tymczasem całe niemal województwo, mężczyzn i damy; dla tych wszystkich gości potrzeba było przygotować mieszkania. Cały Łabuń został oczyszczony, oporządzony, przybrany i jakoś to się obmyśliło zawczasu.

Nadjechał późniéj pan Grzybowski, z dziesięcią brykami pełnemi porcelany stołowéj i różnych sprzętów: przywiózł czterdzieści pięć tuzinów prześlicznéj saskiéj porcelany, dwadzieścia tuzinów talerzy desertowych, serwis stołowy na sto osób, srébrny nowiuteńki, takież naczynia kawiane, her-

baciane, czekóladowe; cztéry ogromne srébrne tace, na których po dwadzieścia cztéry pary filiżanek stawiano, sześćdziesiąt par lichtarzy stolikowych srébrnych; tafle zwierciadlane na stół na sto osób, które sześćset dukatów kosztowały, z całym ornamentem do zastawy i t. d. Oprócz tego mebli mnóstwo, cukru, kawy, czekolady, szynek westfalskich, sérów szwajcarskich, korzeni ilość ogromną; araku trzy ankary, wódki francuskiéj pięć, gdańskiéj dziesięc puzder po flasz dwanaście, sto dwadzieścia kamieni świéc jarzęcych, których przy królu na jedno oświecenie pałacu tysiąc cztérysta od razu wychodziło, nieliczące tych co były na stole... Z nim przyjechali ośmiu kamerdynerów, kuchmistrz, niemiec Bejer z harbejtlem i lokami, pasztetnicy, cukierników dwóch i czego tylko usługa kuchni potrzebowała. Z Krakowa osobno sprowadziliśmy wina, szampańskie, reńskie, burgundzkie, dwa tysiące pięćset butelek, tysiąc butelek piwa angielskiego (porteru natenczas w Polsce nie pijano jeszcze), piętnaście beczek wina węgierskiego i trzysta butelek starego, które płacono po dwa dukaty.

Najgorsza rzecz, że kuchmistrz ów był ostatni

łajdak i złodziéj. Grzybowski mi się nieustannie skarżył, że niesłychaną moc wszystkiego nabiera; radziłem się Bukara i Swiejkowskiego co robić, kazali mi do czasu dyssymulować, a potém odebrać wszystko. Chciałem go opamiętać, ale na pierwsze słowo ofuknął się.

— To każe robić kluska wasza, do czego wy jesteście w waszym kraju przyzwyczajona.... i tego kwasza co jak świnie jecie!

Nie było co robić, zmilczałem mu na kilka dni przed przyjazdem króla, alem na wąs namatał: poczekaj niemcze, dam ja tobie kwaszę!

Codzień pokoje tymczasem, codzień assamble wielkie, stoły ogromne, gości mnóstwo, a kucharz formalnie rabuje.

Rozłożono i uporządkowano meble, poobwieszano wspaniałemi pająkami pokoje i salony, gdzieś spójrzał sam mahoń i brązy. Zadziwiało to wszystkich w tym kraju; gdzie kto miał szkatułkę mahoniową, już o niéj o mil dziesięć słychać było, a tu innego drzewaś niezobaczył. Po Kolbuszowskich stołach i krzesłach, które dębem fornirowano, a uchodziły za paradne, zbytek to był niesłychany.

Mieliśmy sobie zawczasu komunikowaną marszrutę królewską i wiedzieliśmy, że Najjaśniejszy Pan, stanie w Łabuniu d. 15 marca we czwartek, o godzinie czwartéj na obiad (*).

(*) Zdaje się, że tu jest jakaś omyłka w dyaryuszu księdza Naruszewicza, który krótko wspomniał o przyjęciu w Łabuniu, i datę inną oznaczył, i skrócił tu pobyt królewski; wypisujemy dla porównania, co o tém mówi:

D. 16 marca w piątek... Ledwośmy w godzinę do Hrycowskiéj karczmy dojechali, tam Najjaśniejszy Pan sfatygowany tém uprzykrzoném bezdrożem, wysiadł z landary i kazał dla siebie i swoich szukać sanek. Znaleziony w karczmie chłop jakiś, dał sanie ordynaryjne bez pokrycia, wygodne jednak, że były długie i niewywrótne; kazał N. Pan nakłaść słomy i wziąwszy z sobą księcia Józefa, wyjechał cztérma końmi: jednak dla bezpieczeństwa pańskiego, otaczali ten ekwipaż oficerowie, adjutanci, paziowie, a Jmp. generał Komarzewski tuż przy saniach królewskich konno jechał. Kiedy N. Pan raczył się zniżyć do ubogich sanek, my też postępowaliśmy za nim w podobnym ekwipażu; JW. hetman z księciem wdą Wołyńskim na chłopskiéj furze parokonnéj, biskup z chłopem pojedynczym, starosta Mielnicki także, inni w swoich się powozach zatrzymali, iż więcéj nie było sanek. Prawdziwie ta podróż choć nie była modna, ale bardzo wygodna, śpieszna i wesoła: przybyliśmy do Łabunia wpół do trzeciéj: wkrótce też kołowe ekwipaże nadciągnęły. Zastaliśmy tam dóm wspaniały i jak może być najlepiéj do przyjęcia N. Pana przygotowany: i pokoje wszędzie wypalone, i obiad

Tymczasem śniegi wypadły niesłychane, a wszystkie ekwipaże królewskie były na kołach; w karczmie zwanej Wygodą, na pół drogi od stacyi, stało dziesięć obywatelskich cugów na przeprzęgi, ale to mało pomogło.

---

z ryb wybornych już gotowy. Przyjmował J. K. Mość imieniem dziedzica, Jmpan Bukar, sędzia żytomiérski, którego król Jm. do stołu swego wezwać raczył. Po obiedzie, później nieco zakończonym, prowadził nas Miłościwy Pan, jako już powtórny gość, po wszystkich pałacu tego wybornym gustem zbudowanych i umeblowanych pokojach, potém rozeszliśmy się do naszych kwater; a murgrabia tameczny, mając zlecenie od pana swego, towarzyszom drogi królewskiéj, cokolwiek tylko było potrzeba do napoju i jedzenia hojnie ofiarował. Około godziny 6éj przybyli do pałacu JPan Kordysz, pisarz ziemski bracławski z bratem swoim, Rakowski szambelan J. K. M. z bratem stryjecznym i Rakowski podkomorzyc, szwagier Jmp. pisarza, którym N. Pan łaskawą dawszy audyencyę, już potém w swoich został pokojach dla spoczynku.
D. 17 marca w sobotę. Król Jm. czując wygodniejszą dla siebie podróż sankami, ile przy gęstych jeszcze jak zapewniano śniegach, rozkazał jeszcze dnia wczorajszego, aby sprowadzić jak najwięcéj saniów (sic), któremi tak J. K. Mość, jako towarzysze jego podróży, oraz potrzebniejsza liberya i pościele iść miały do Cudnowa, w przypadku gdyby cięższe kołowe powozy na czas nie stanęły. Stanęło zadosyć woli królewskiéj: dla króla Jm. były sanie porządnie pokryte JW. Wdy kijowskiego, a cug koni od

Godzina czwarta, piąta, szósta nareście, a króla nie ma jeszcze; damy postrojone poczęły się markocić, że świeżo wyglądać nie będą; czekamy, wartyśmy wszystkie pozaprowadzali aż do przedpokoju królewskiego, gdzie już sami towarzysze kawaleryi narodowéj straż trzymali, lud młody, piękny, w mundurach świeżych i paradnych.

Nagle drzwi się otwiérają wszystkie, król wchodzi, armaty grać zaczęły. Za nim tylko generał Komarzewski i dwóch paziów. Otoż jak się to stało: król zniecierpliwiony tém, że się w powozach i luzowały i zarzynały konie, dla czego powoli się bardzo wlekły, przesiadł się na sanie w których oberfurycerowie jechali, z nim tylko Komarzewski, dwóch paziów i cztérech ludzi z ofi-

---

Jmpana półkownika Ojrzyńskiego; do innych zaś, chłopskich koni i z poczty dosyć nabrano i t. d.

Tyle o Łabuniu i przyjęciu; poniżéj tylko daje ks. Naruszewicz spis osób, które się tu królowi przedstawiały: ks. Sanguszko Wda wołyński, generał-adjutant Swiejkowski, Kamiński rotmistrz kaw. nar., Bukar sędzia ziemski żytomiérski, Kordysz pisarz ziem. bracławski, Rakowski starosta stężycki, Rakowski stolnikiewicz, Kordysz chorążyc, półkownik Jankowski, półkownik Kraszewski, chorąży Swiejkowski, Bukar cześnik nowogródzki.

cerem od eskorty. Tak przyjechał do Łabunia i piérwszy wszedł na pokoje, nim się kto o jego przybyciu mógł dowiedziéć. W godzinę wszystko stało w gotowości. Król przebrał się w swoim gabinecie, bo szatni go znacznie poprzedzili.

Nastąpiła prezentacya przytomnych: naprzód pani Woroniczowa kasztelanowa bełzka przedstawiała damy, potém pan kasztelan Pruszyński mężczyzn.

Rano dnia tego, uprzedzając króla, przybył kuryer z listem pana wojewody i przywiózł chleby krakowskie, które do stołu dla Najjaśniejszego Pana podawano. Sławny ten chléb, w bułkach dużych jak przednie koło od karety, miał tę własność, że nie czerstwiał i nie pleśniał,— a smak rzeczywiście wyborny.

Obiad był w paradnéj sali, na sto osób nakryty: tu oprócz króla, tylko biskup Naruszewicz, Komarzewski, Byszewski i kasztelan Pruszyński, reszta same damy; w drugiéj na sto cztérdzieści osób siedzieli sami znowu mężczyzni. Przy stole odezwały się działa na odgłos wiwatu za zdrowie Najjaśniejszego gościa. Około godziny dziesiątéj zaczął się bal, ale dla wielkiego postu nie tań-

cowano. Król przed północą odszedł na spoczynek i zabawa ustała.

Nazajutrz śnieg sypał jak z worka, król słuchał mszy świętéj w swoim przedpokoju, około dwunastéj wyszedł na pokoje. Był to piątek, gości przybyło jeszcze; o czwartéj podano obiad; ryby mieliśmy przepyszne i jedzenie, nie można powiedziéć, było doskonałe.

Bal zaczął się o dziewiątéj, od koncertu Kamińskiego na skrzypcach i Pileckiego na oboju, ale znów dla postu tańcować nie było można. Król z szczególniejszemi był względami dla księżnéj Szujskiéj, osoby jeszcze bardzo pięknéj i miłéj, wszyscy to uważali, a po cichu szeptano; alem ja nic nie widział, a domyślać się nie chcę.

Nazajutrz król panom Swiejkowskiemu i Bukarowi, dał na pamiątkę bytności pierścienie ze swemi cyframi brylantowe, zapytując zarazem, ktoby tu był starszy w domu wojewody. Wymienili naturalnie mnie, bo się wszystkiém zajmowałem: król stawić mi się kazał. Z rąk jego odebrałem zegarek złoty z bardzo pięknym takimże łańcużkiem.

—Proszę to zachować na znak ukontentowania mego z przyjęcia w domu przyjaciela.

Padłem do nóg królewskich i nie wiém sam dla czego od łez wstrzymać się nie mogłem, tak byłem wzruszony łaską królewską.

Król zapytał mnie łaskawie:

—Czego waćpan płaczesz?

—Z wdzięczności, odrzekłem, Najjaśniejszy Panie.

—Oby tak tylko cały naród płakał, odezwał się z cicha, i nie znał łez innych.

Dla liberyi generał-adjutant królewski dał do rąk moich pakiecik stu-dukatowy.

Dar królewski tak mnie uszczęśliwił i dumnym uczynił, żebym go był rad na czole sobie przybić; jakoż pochwaliłem się nim zaraz i opatrywali go wszyscy, damy i mężczyźni.

Oficer Gawroński, który był na ordynansie, i ten który był przy eskorcie, dostali zegarki srébrne. O godzinie dziesiątéj, końmi pana Stempkowskiego, król wyjechał do Czartoryi, gdzie zaproszony przez pana Kordysza, jadł śniadanie. O szóstéj ztamtąd udał się do Cudnowa, gdzie go przyjmował pan Prot Potocki starosta guzowski. Pa-

nowie Swiejkowski i Bukar ruszyli za królem, ja także, ciekawy będąc jak go tam przyjmą. Ale to słaby cień był tylko recepcyi naszéj w Łabuniu, ani domów po temu, ani kuchni, ani liberyi; w porównanie z naszemi iść nie mogli. Mając znajomość z paziami, po cichu podśmiewaliśmy się po trochu ze wszystkiego.

Król rano w niedzielę słuchał mszy świętéj u księży Bernardynów, a na noc pojechał do księżnéj Radziwiłłowéj do Berdyczowa. W piątek u kasztelanowéj Bierzyńskiéj przyjął kawę, dłużéj nie bawiąc nad chwilę, którą trwał przeprząg koni. Ztąd Bukar, ja i Swiejkowski, wróciliśmy do Łabunia.

Sędzia Bukar ofiarował Najjaśniejszemu Panu dywan swojéj fabryki na klockach robiony, duży, dość ładny, z podpisem u dołu: *Opanas robil w Januszpolu*, a król dał dla Opanasa złoty medal z napisem: *Labori et diligentiae.* Pan Swiejkowski, generałowi Komarzewskiemu darował bardzo pięknego konia wierzchowego swojego chowu.

Jeżeli dosyć było roboty z przygotowaniem wszystkiego, to po odjeździe, stokroć więcéj, gdy przyszło robić ze wszystkiemi rachunki, płacić

rzemieślnikom, tapicerom, kucharzom i nowo przyjętéj liberyi.

Zabrało to dwa tygodnie czasu, jam się pocił, a panowie gospodarze z gośćmi przyjeżdżającemi w karty grali i popijali.

Pozostawało mi się rozprawić z panem kuchmistrzem, zuchwałym złodziejem, co to nam kwaszę i kluski nasze wspominał; zgodzono się na to żeby go obrachować, opłacić podług kontraktu, odesłać do Warszawy, ale co swego odebrać. Miał niemiec dwie stancye i dużą śpiżarnię przy kuchni; posłałem Grzybowskiego i Wernera z kilką ludźmi dla zrewidowania i odebrania, nie chciał tedy ani stancyi, ani śpiżarni otwierać, nie proszono go, odbito drzwi i powynoszono. A była tego niesłychana moc; dwa moje duże pokoje napełniono cukrem, szynkami, buljonami, kawą, czekoladą, winem, arakiem i t. p.

Gdy to wszystko poznoszono, wpadł do mojéj stancyi wściekły bestya i począł mi największe gadać impertynencye, kiwnąłem na Grzybowskiego, ten mu trochę loki popsuł, ale niemiec się do niego porwał i pochwycił za barki; tuż jak krzyknę na ludzi, których było pełno na zawoła-

nie, jak go nie wezmą; rozciągnęli i sześćdziesiąt nahajów mu wsypali, aż pludry manszestrowe popękały. Potém zaprowadzić go kazałem do kordegardy jak złodzieja na gorącym uczynku złapanego. Lizał się niemczysko przez tydzień, póki podniósł na nogi, kazałem go obrachować, trzydzieści dukatów należnych zapłaciłem, konim parę do Warszawy najął wedle kontraktu i wyprawiłem. Ale słyszę drapnął do Brodów; odtąd ani go ucho słyszało, ani oko widziało.

Moi panowie mecenasi aprobowali czynność, napisali do pana wojewody, a ja obszérny mu złożyłem raport.

Uspokoiwszy powoli wszystko, ruszyłem do Warszawy, i tam dopiéro szczegółową złożyłem relacyą wojewodzie, aż do przyjęcia w Cudnowie. Pan wojewoda akceptował także czynność moją z kuchmistrzem, a tego co był pokradł, gdyśmy powrócili do Łabunia wystarczyło nam na długo.

Pozostaliśmy jednak aż do królewskiego powrótu w stolicy, gdyż pan Stempkowski był w liczbie osób pięciu wybranych, które Stanisław August jakby jaką regencyą zostawił w Warszawie. Był to dla wojewody honor nadzwyczajny, któregoja-

ko zasiadający w Radzie nieustającéj odmówić nie mógł; z téj przyczyny i w Łabuniu na przyjęcie króla się nie stawił, chociaż mimo niebytności jego, monarcha przyjęty był z okazałością największą i pochwalić się możemy, że nic nie brakło, czego tylko najwymyślniejszy przepych mógł pożądać. Król sam zwiedził pałac, obchodził całe górne piętro, był we wszystkich apartamentach i bardzo urządzenie ich chwalił.

Mnie zegarek mój, dar Najjaśniejszego Pana długo spać nie dawał: kiedym jadł, kładłem go przed sobą, śpiąc nawet słuchałem czy idzie, co pięć minut miałem go ochotę nakręcać. We dwa lata późniéj tę drogą pamiątkę utraciłem w sposób tragiczny.

Pan wojewoda dowiedziawszy się o mojéj stracie dał mi inny złoty zégarek, daleko lepszy, repetier, ze złotym łańcuchem, trzema sporemi brylantami ozdobiony; udawałem, że to był królewski, a tamten w Smoleńsku został.

Przyjęcie to w Łabuniu Stanisława Augusta kosztowało do miljona, dla tegom ta nie pominął nawet drobnostek małych, żeby okazać z jakim przepychem i wspaniałością podejmowaliśmy Naj-

jaśniejszego Pana. Zdaje mi się nawet, że tak ogromny expens, pochylił ku upadkowi fortunę pana Stempkowskiego, jakkolwiek bardzo znaczną.

Powróciliśmy nareście z Warszawy, zastaliśmy pałac jeszcze w sposób monarchiczny umeblowany, było się gdzie pomieścić i pohulać, to też gości nie brakło; Łabuń został napełniony. Pan wojewoda wedle zwyczaju objeżdżał sąsiedztwo z wizytami, a ja z nim ciągle, i w jego karecie. Zaprzęgano cugi ślicznie utrzymane i przywykłe do powożenia z konia, było ich dostatkiem. Swojemi końmi jeździliśmy do Warszawy, tu już furman powoził z kozła, ale stangret ubrany był po polsku, w ferezyi i kołpaku.

Pan wojewoda przywiózł kilka przywilejów i orderów, które mi natychmiast porozwozić kazał, a mianowicie dla kasztelana żytomierskiego Pruszyńskiego Orła Białego, dla syna jego Józefa, S. Stanisława. Niepodobna wyrazić ukontentowania jakiego doznali na widok upragnionych dekoracyj. Przybyłem do Łowkowa w sam dzień exportacyi zwłok pani Pruszyńskiéj, matki pana Józefa, wszystkich zastałem w żałobie; przyjęto jak najświetniéj, zarzucono prezentami i zmuszono być na pogrze-

bie. Ojciec i syn na żałobę powkładali wstęgi po wierzchu. Jechałem z panem Józefem, karyolką cztérma prześlicznemi końmi gniademi, a gdym je pochwalił, odpowiedział mi grzecznie:

—Pan swoim jedziesz ekwipażem...

Jakoż wraz z furmanem i powozem, zmusił mnie do ich przyjęcia.

Woziłem jeszcze dla Potockiego, podkomorzego żytomierskiego order Ś. Stanisława, dla podkomorzego Rybińskiego, dla Bierzyńskiego Orła Białego, a nigdzie się bez prezentów nie obeszło. Konie z karyolką zaraz sprzedać musiałem, wojewoda dał mi za gniadosze sto dukatów od słowa, a pani pułkownikowa Jankowska za karyolkę sześćdziesiąt.

Tak będąc dwa lata przy panu wojewodzie, jeżdżąc z nim dwa razy do Warszawy, gdzie zasiadał w czasie kadencyi Komissyi wojskowéj i Radzie nieustającéj, cztéry razy będąc posyłany, przez niego z przywilejami na urzęda i ordery, któremi Stempkowski szafował, porobiłem dość ważne stosunki i znajomości na prowincyi i w Warszawie, a co więcéj tryb i sposób robienia interesów pojąłem. Wojewoda zaczął mnie powoli

używać do znaczniejszych spraw, do których zdawałem mu się dostatecznie ukwalifikowany. Stosunki moje w stolicy i w województwie przez nieustanny napływ obywateli płci obojéj do Łabunia, i relacye jakie wszyscy mieli z panem wojewodą, ugruntowane, czyniły mi nadzieję, że się z ich pomocą daléj na świecie posunąć potrafię. Epoka ta błoga życia mojego kończyła się z największym żalem moim, musiałem bowiem pana Stempkowskiego porzucić.



XXIII.

A parté.

Ponieważ to do tego czasu należy, muszę tu wspomnieć i opisać dwie miłośne awanturki, jakiem miał zostając przy panu wojewodzie: rzecz to pusta, ale na starość wspomniéć miło, choćby głupstwa młode.

Jużem mówił nieraz jaki to był natłok w Łabuniu mężczyzn i dam, które tu czasem po kilka miesięcy przesiadywały; była to, rzec można, ówczesna stolica województw Wołyńskiego i Kijowskiego. Między innemi bawiła tu bardzo często pewna dama, lat około cztérdziestu mająca, znacznego rodu, wdowa po znakomitym i bardzo

możnym obywatelu, niegdyś ściśle i zblizka do pana wojewody należąca, jeszcze wcale piękna; ale że ząbka jakoś jednego z rzędu ślicznych dawniéj perełek brakło, a czas płeć atłasową pociągnął nielitościwą dłonią, któréj śladów ani blansz ani róż zatrzéć nie mogły— była więc na emeryturze.

Pan wojewoda jednak oddawał względy należne pamięci na dawne czasy i tytułowi, jaki nosiła; zatém szło, że wszyscy pana otaczający, musieli być dla niéj z największą uległością i grzecznością, ja zaś szczególniéj się na to wysadzałem. Pani była też na mnie bardzo łaskawa, sam na sam często pogłaskała mnie pod brodę, oddawałem jéj wizyty codzienne w jéj apartamencie, którego nikt nigdy prócz niéj nie zajmował, stosunki między nami były jak najlepsze.

Jednego razu przyszedłem w niedzielę, właśnie w dzień imienin moich, zaanonsowałem się, a chociaż nie była ubrana, kazała mnie wpuścić, i rzekła:

—Chłopczyno (tak mnie zawsze nazywała, nie miałem bowiem nad rok dziewiętnasty poczęty) chłopczyno— pogłaskała mnie pod brodę— chcia-

łam właśnie po ciebie posyłać, dziś twoje imieniny mam dla ciebie wiązanie.

To mówiąc, wzięła ze stolika niewielką złotą tabakierkę i dając mi, pogłaskała mnie znowu, a nawet— pocałowała!

Z uszanowaniem pokilkakroć ucałowałem jéj ręce, ale uczułem, że tabakierka była ciężka. Byłem wesoły i śmiały, chodziło mi o pokazanie mojéj bezinteresowności, powiadam tedy:

—Wdzięczen jestem nieskończenie za dar, ale nadewszystko cenię pamięć pani; tabaka jakaś ciężka, pozwoli mi ją pani zobaczyć, bo ja takiéj nie zażywam.

Otworzyłem tabakierkę i wysypałem na tualetę dukaty, których może było ze dwadzieścia.

—Tabakierkę przyjmuję, rzekłem, ale pieniędzy nie mogę, maleńkie moje dochody wystarczają mi.

Nowe otrzymawszy pogłaskanie, już odchodzić miałem, ręce jéj i kolana ucałowawszy, gdy mnie zatrzymała słowem:

—Cóż to, waćpan już odchodzisz? tak ci to nudno ze mną?

— A! pani, odpowiedziałem, cały wiek bym z nią pozostał, gdyby mi było wolno....

Od tego poczęła się rozmowa, któréj wypisywać nie będę, dosyć, że coraz ściślejsze między nami zawiązały się stosunki, i poprzysiągłszy wiekuistą tajemnicę, zostałem wybranym za *cavaliere servente*. Byłem z tego zrazu niezmiernie ukontentowany, bo mi się dobrze działo; na karesach, prezentach, grzecznościach, nie zbywało, tak, że nawet najdrobniejsze potrzeby moje załatwione zostały,

Jedna tylko panna Tekla, garderobiana jejmości, przypuszczoną była do tajemnicy i pod jéj dyrekcyą szyła się tam pościel, bielizna, kupowało co potrzeba; musiałem ujmować pannę Teklę, a taka była piękna! Mimowoli przyszło się i tu do bardzo ścisłych stosunków, dosyć, że ich wreszcie i pani dostrzegła.

Zrazu kazano mi się nie pokazywać na oczy, czego niebardzo żałowałem, bom już był znudzony; nazajutrz po wypadku, który do tego był powodem, garderobianę do dóbr wywieziono, a na jéj miejsce przytransportowano koczkodana, któregom się przestraszył. Unikałem więc jejmości,

udając w smutku pogrążonego, gdy w pięć dni potém, zawołano mnie do niéj.

Wszedłem jak winowajca na śmierć skazany. Zaczęło się od wielkich wymówek, ja słowa nie rzekłem:

—Cóż milczysz? spytała.

—Bo nic nie mam na obronę moją, odpowiedziałem, byłem Adamem, mościa dobrodziejko. Ewa mnie skusiła, a Pan Bóg oboje wygnał z raju. Takeś pani postąpiła ze mną.

Udałem skruszonego, alem się chciał wywinąć, nie było sposobu, zatrzymała mnie.

—Przeproś! zawołała.

Uklękłem tedy z pokorą i początem przepraszać.

Wprędce jakoś pan wojewoda jechał do Warszawy, a ja z nim jak zwykle; wtém pani mi proponuje, żebym u niéj został w tytule plenipotenta, że mi dla oka ludzkiego naznaczy dwieście dukatów, a daleko więcéj świadczyć przyrzeka.

Prawdę rzekłszy, już mi tu było dojadło, powtóre przywiązany byłem szczérze do pana wojewody i moją przyszłą krescytywę na nim zakładałem, odpowiedziałem tedy:

—Jestem przez krewnych moich oddany panu

wojewodzie i bez jego woli oddalić się od niego nie mogę, a cała moja przyszłość na jego protekcyi i łasce.

Drugiego dnia wołają mnie do pana wojewody; a ten podniósłszy głowę, z miną żartobliwą i figlarną, pyta mnie:

— Pani.... żąda cię mieć przy sobie w jakimś obowiązku, proponowała mi, żebym cię uwolnił i pozwolił przejść do niéj? Będziesz tam miał dobre i wygodne miejsce, dodał uśmiéchając się nieco szydersko.

Rozczuliłem się niezmiernie, przykro mi się zrobiło, że się tak lekko mnie pozbywa.

— Widzę, rzekłem, że pan się mnie dyskretnie chcesz pozbyć, ja wszystkie siły moje wytężam abym zasłużył na łaskę jego i stał się mu coraz użyteczniejszym, przywiązałem się do pana jak do ojca, a pan chcesz mnie odpędzić od siebie.

Zacząłem szlochać i zaszedłem się z płaczu.

— Uspokoj-że się, rzekł mi wojewoda z największą dobrocią, probowałem cię tylko, kontent jestem z ciebie i biorę sobie za obowiązek postawić cię na dobrych nogach; ale— zagadnął śmie-

jąc się— przyznaj-no mi się, czy już stosunki twe z panią... tak daleko posunąłeś?

Począłem się śmiać.

—Przysiągłem wiekuistą tajemnicę, odpowiedziałem.

Wojewoda wpadł w bardzo dobry humor, zatrzymał mnie długo i wreszcie spytał:

—Jakże się jéj pozbędziesz?

—Nie wiém prawdziwie.

—Dam ci dobrą radę: zaproponuj jéj żeby cię wzięła za męża, ha! jeśli się na to zdecyduje, ja w to wejdę, że ci dobry zapis zrobić będzie musiała, ale to baba pyszna, nie zechce stracić ani tytułu, ani imienia które nosi.

Zgadł dobrze; przy piérwszém spotkaniu i nowéj propozycyi żebym u niéj pozostał, odpowiedziałem śmiało:

—Zostanę, ale pod warunkiem, że będę jako mąż pani, nie jako najemnik; wprawdzie ubogi jestem, nie mam pensyi od wojewody, ale widoki krescytywy na przyszłość. Tu, bawię się dobrze, jestem uważany przez wszystkich, u pani miałbym tylko uniżający tytuł służalca, lub gorszy jeszcze. Nie mogę tak dalece o sobie zapo-

mnieć, bym przywiązaniu godność osobistą poświęcał.

Jakbym ją żarem posypał, tak się porwała zapérzona, tysiące mi czyniąc wymówek i przyrzeczeń najsłodszych na przemiany. Nakoniec zaproponowała mi puścić wioskę blizko swéj rezydencyi, ażebym był niezależny i nie wyglądał na służalca; alem i to odrzucił dodając, że kocham ją nad życie, ale rozum musi przemodz miłość, gdy ta zatamowałaby mi dalszą drogę na świecie.

—Kłamiesz bezczelniku, boś mnie nigdy nie kochał! zawołała z gniewem zatrzaskując drzwi od gabinetu. Wyszedłem zaraz zdać sprawę panu wojewodzie, który ze stałości mojéj był kontent. We trzy dni potém wyjeżdżaliśmy do Warszawy, a pani... do domu. W wigilią wyjazdu zawołano mnie do niéj.

—Rozstajemy się więc, rzekła do mnie.

—Z największą moją boleścią, odpowiedziałem.

—Pamiętaj na przysięgę, tajemnica wieczna, dodała wciskając mi w rękę pakiecik. Przyzwyczajony byłem do tych darów i przyjąłem je nie opierając się. Tak się to jakoś skończyło.

Powróciliśmy z Warszawy. Łabuń znowu był

pełen gości: między niemi znajdowało się pewne małżeństwo wcale niedobrane, mąż podstarzały dobrze, jejmość dziewiętnastoletnia, francuzka, z matki i ojca cudzoziemców, w Polsce urodzona, wcale nieszpetna, bardzo fertyczna, wymówna i śmiała. Starzec szalenie się w niéj zakochawszy, z zapamiętałéj miłości ożenił się z nią świéżo w Warszawie. Kokietowała pana wojewodę, ale on wówczas czém innem był zajęty; podobała mi się zrazu i przysiadłem się do niéj, choć stary pilne miał oko na swoją połowicę. Ale dobrze to mówi text ów z opery, mojego czasu popularnéj.

Stawiaj Janku jak chcesz warty,
Staw na wszystkie domu strony,
Stawiaj tygrysy, lamparty,
Nie ustrzeżesz młodéj żony.

Jejmość była zręczna, gotowa do intrygi, i umiała sobie dać rady, znać od dzieciństwa w dobréj była szkole. Zdawało mi się żem się szalenie rozkochał, i trzy miesiące żyłem tym szałem bardzo szczęśliwy. Wtém wypadło z polecenia pana wojewody jechać do Warszawy; pożegnanie było czułe, na ostatek w wigilią odjaz-

du dała mi jejmość regestr bardzo długi sprawunków do Warszawy, a to do pani Łazarewiczowéj, a to do pana Herynga, do pana Hurtiga, do Juszewicza i innych, nawet sukna dla męża kazała wziąć cztéry łokcie na mundur i białéj materyi Lyońskiéj na żupan; na to wszystko mi jednak ani grosza nie dała. Choć mi się to wydało dziwném, ale przez delikatność nie odzywałem się wówczas; we dwa tygodnie byłem z powrótem, sprawiwszy wszystko, nawet gdzie miałem znajomość zrobiłem jéj w magazynach kredyt.

Kosztowało to razem jakoś dziewięćdziesiąt pięć dukatów, na co wziąłem kwity, a że powróciwszy do Łabunia państwa moich nie zastałem, odesłałem więc sprawunki do domu, przyłączywszy regestra i ausztuki, z listem jednym do obójga, a drugim osóbno do saméj pani. Powrócił posłaniec z podziękowaniem, pochwalono kupno moje, że piękne i tanie, ale *de quibus* ani słówka. W kilka dni nadjechali państwo oboje, nowe dzięki, ale o pieniądzach zawsze cicho. Trochę mnie to poburzyło, nie byłem w stanie robić stu dukatowych prezentów; pani była słodziuchną, ale mnie już od niéj interesowność ta odpychała.

Wkrótce znowu posyła mnie pan wojewoda na kontrakty do Dubna, a pani się z regestrzykiem do mnie podsuwa, złość mnie już wzięła.

—Ale ja nie mam pieniędzy, rzekłem...

—Razem się porachujemy, odpowiedziała.

—Przepraszam panią, dla mnie to trudno, zawołałem, tak wielkich darów robić nie mogę, anim już tak nieszczęśliwy, żebym serca sobie potrzebował kupować niemi. Na ten raz sprawunków się nie podejmuję...

I zerwałem z nią zupełnie, a na jegomości natarłem seryo i musieli mi oddać moje pieniądze; pokazało się, że jegomość *dawno* je był dał pani, ale ona je u siebie zatrzymała. Powróciwszy z Dubna, już ich w Łabuniu nie zastałem, wkrótce potém wyjechałem do Lublina i straciłem ich z oczu; dopiéro w lat sześć późniéj zobaczyliśmy się znowu, była już za drugim mężem.

XXIV.

Nowa droga życia.

Pan wojewoda miał interesa w Lublinie, szczególnie w roku 1788, wymagające pilnego dozoru i starania; ułożyli się z panem Bukarem posłać mnie dla nich na trybunał, żebym się uczył praktyki prawa i przypatrzył jak się około tego chodzi. Decyzya ta była dla mnie okropną, z największym żalem przychodziło mi opuszczać Łabuń. Dla młodego człowieka nie było na świecie milszego pobytu jak tutaj; i gdyby od mojéj to woli zawisło, byłbym na żadne nadzieje nie przemienił mojego stanu; ale ojciec i stryj mój bardzo aprobowali postanowienie pana Bukara.

Wojewoda dał mi na drogę sto czérwonych złotych, stryj drugie tyle, musiałem być posłuszny. Szczególniéj żal mi było munduru i raugi oficerskiéj, ale w zastępstwie ich obdarzył mnie znów wojewoda instrumentem na vicesgerenta grodzkiego kijowskiego.

Wysyłając w ten świat dla mnie nowy, pan Bukar adresował w Lublinie do pana Nowoszyckiego, niby mecenasa, ale jak się okazało, nieszczęśliwy zrobił wybór. Pan Nowoszycki żadnego nie miał znaczenia w Lublinie, z nikim nie żył, stosunków mu brakło samemu, poznajomić więc mnie nie mógł i wprowadzić między ludzi. Miał wszystkiego dwóch pryncypałów, stryja mojéj matki Suszczewicza, łowczego kijowskiego z Krasickiemi, i pana Podhorskiego z Antonowa, ale tego trybunału obu tych spraw nie było.

Wpadłem tedy jak w jamę, wśród natłoku ludzi chodziłem jak w lesie, znudzony i zafrasowany;— rano i wieczorem regularnie bywałem na sessyach, w nocy pisałem dyaryusz z całym wykładem spraw jak się odsądzały i ten dowód aplikacyi posyłałem panu Bukarowi.

Zrobiłem powoli maleńkie i krótkie znajomości

z młodzieżą bywającą na ratuszu, ale w wyższém towarzystwie nogą nie postałem, bo nie było mnie komu zaprezentować; a żem był już przywykł do lepszego towarzystwa w domu pana wojewody i u pana Bukara, ciężko mi było zamkniętemu jak na pokucie z moim mecenasem, którego ani życia, ani sposobu widzenia rzeczy poślubić nie mogłem. Porozumiéć się z nim było niepodobna, miał swe jakieś prowincyonalne, zastarzałe zdania i sądy o wszystkiém, a na najmniejsze sprzeciwienie się wpadał zaraz w niesłychaną furyę.

Całą naszą zabawą bywało wynijść po zachodzie słońca na przechadzkę, jak puszczyk lub nietoperz o mroku wyleciéć, przesunąć się przez parę ulic, i powrócić ziéwając do domu. Ale chociażem z powodu tego towarzystwa najnudniejszego w świecie wielką miał przykrość, z drugiéj strony odniosłem korzyść niemałą z nieustannego słuchania spraw, bo mi nic nie przeszkadzało do zastanowienia się nad niemi i pisania dyaryuszów; to wdrożyło mnie w znajomość prawa i dało się obeznać głębiéj z manipulacyą sądową. Po limicie trybunału, powróciłem z panem Nowoszyckim do domu, ale panie Jezu Chryste, jeśli

ciężki był w Lublinie, o jak stokroć cięższy i nudniejszy jeszcze w drodze!

Przyjechałem na same imieniny pana Bukara, w wigilią Bożego Narodzenia do Januszpola, gdziem i pana wojewody zastał; wszyscy, gospodarstwo i mój dawny protektor, przyjęli mnie z największą dobrocią.

Kontraktów nie mam co opisywać, odbyły się swoim trybem zwyczajnym.

Na zapusty byłem w Łabuniu znowu, i pan wojewoda tymczasowo kazał mi zostać przy sobie. Korzystając z czasu i okoliczności, opowiedziałem panu wojewodzie i sędziemu Bukarowi, jakeśmy z założonemi rękami czas pędzili w Lublinie z mecenasem, który w istocie żadnego nie miał zajęcia i wziętości; wyznałem im, że najmniejszéj nie mam ochoty powrócić pod to jarzmo, towarzystwo i naukę. Jakoś to im trafiło do przekonania i pan wojewoda powiedział mi:

—Poczekaj-no, pomyślę, żeby ci cóś lepszego opatrzéć, żebyś się miał z czego utrzymać.

Panu wojewodzie potrzeba było mieć koniecznie zaufanego człowieka w Lublinie; ale chcąc to zrobić skutecznem, musiał go też postawić na stopie

możności robienia interessów. Ja z mojéj strony, choć się może kwalifikowałem do tego, ale nie prędko mogłem przyjść *ad activitatem;* potrzeba było funduszów znaczniejszych, i z czémś pokazać i kimś podeprzéć.

Nastąpił Ś. Józef, imieniny, na które zjechało się mnóstwo gości, między témi był pan Iliński starosta cudynowski, cioteczny brat mojéj matki, który mnie zawsze siostrzeńcem nazywał. Z tego tytułu wyrobił zaraz u niego dla mnie plenipotencyą, ze stem dukatów pensyi; chociaż Iliński żadnéj nie miał sprawy w Lublinie, święcie jednak co roku zobowiązawszy się wypłacał mi dopóki tam mieszkałem.

Był i pan Hański, który świéżo został chorążym, podwojewodzim kijowskim i kawalerem orderu Ś. Stanisława z łaski i przez protekcyę pana Stempkowskiego; ten także za wdaniem się jego, powierzył mi interessa swoje w Lublinie, a szczególniéj sprawę, jaką miał z półkownikiem Charleńskim, który zabił nahajami dominikana, księdza Trawalińskiego. Ten także naznaczył mi rocznie sto dukatów i zaraz je z góry wypłacił.

Podziękowałem z serca panu wojewodzie.

—Nie o tém to ja jeszcze myślę dla ciebie, odpowiedział mi, napisz-no do stryja, żeby na ósmy maja był w Radomyślu, ja tam będę także i ty pojedziesz ze mną.

Rzecz się tak miała; w roku jeszcze 1782 stryj mój został nominowany na koadjutora opactwa Owróckiego przez księdza Janczyckiego; wyszły dla niego Sacra z Rzymu, dopełniła się benedykcya, ale stryj pozostał tylko koadjutorem. Umarł wkrótce potem ksiądz Janczycki, tymczasem stryj mój na opactwo nie miał przywileju od króla; ubiegł go ksiądz metropolita Smogorzewski; za sprawą wojewody Stempkowskiego wyrobił sobie przywiléj królewski, zabrano opactwo, a stryj został przy koadjutoryi.

Taka krzycząca niesprawiedliwość ze strony Stempkowskiego, łakomstwo Smogorzewskiego, i cały tok rzeczy nadspodziéwany, w wielki odmęt wprawiły interessa stryja mego i ojca, który do dwódziestu tysięcy wydał na proces, w nuncyaturze i w Rzymie się z księdzem Smogorzewskim prawując, co mu szło tępo i bardzo ciężko. I nie dziw: ksiądz Smogorzewski miał osiémkroćstoty-

sięcy intraty i protekcyą wojewody Stempkowskiego.

Potocki starosta tłumacki, u którego stryj mój był na opiece i kosztem jego wysyłany do Rzymu, wychowywał się tam i wyświęcił, wziął się za tę sprawę i ledwie nieledwie przez komplanacyą między Smogorzewskim a stryjem w Warszawie zawartą, doprowadził do tego, że stryjowi oddano dobra opackie, a Smogorzewskiemu obowiązał się corocznie płacić dwa tysiące dukatów, osóbno zaś po cztéry tysiące złotych księdzu Sobolewskiemu. Smogorzewski został przy tytule opata, stryj zaś jako koadjutor, objął dobra i rządził niemi.

Trwało to od roku 1782 do 1788, to jest do naszéj podróży do Radomyśla, o któréj wyżéj wspomniałem. Pojechaliśmy razem z panem wojewodą, zjechał i pan Bukar; Stempkowski poprawując się i usiłując nagrodzić wyrządzoną stryjowi mojemu krzywdę, wymógł na Smogorzewskim odstąpienie tytułu opata owrúckiego, wraz z pensyą dwóch tysięcy dukatów, dotychczas wypłacaną; za co księdzu metropolicie wskazał nadzieję umieszczenia go w senacie, do czego on dawno wzdy-

chał. Smogorzewski w dodatku oddać mi musiał interessa swoje w Lublinie, z pensyą trzechset dukatów. Nie spodziewaliśmy się wcale tak szczęśliwego obrótu rzeczy; radość nasza i wdzięczność dla pana Stempkowskiego opisać się nie daje. Stryj mój zaraz mi naznaczył dwieście dukatów pensyi, ale wojewoda przymówił się jeszcze o drugich dwieście, *titulo* podróży, i te naturalnie uzyskał. Mając w ten sposób zapewnionych dziewięćset dukatów, które do roku 1792 pobiérałem, i co rok prawie widząc dochód ten powiększający się jeszcze, już nic nie potrzebowałem od ojca, którego interessa były zawikłane, i stanąłem na nogach, a sędzia Bukar oprócz tego starał mi się także o sprawy różnych obywateli i przysyłał je do Lublina; w następnych latach wszedłszy *in activitatem*, już karyerę miałem przed sobą.

Dziwną się komu wydać może rzeczą, że pan wojewoda, tak usilnie pracował aby mi powiększyć intraty i tyle się mną zajmował, ale po troszę miał w tém własny interes, bo potrzebował kogoś mieć w Lublinie na dobréj stopie, i mnie to chciał użyć właśnie. Miał w Lublinie

różne sprawy, niektóre dosyć groźne dla niego, a wszystkich mecenasów z Rusi dla siebie niechętnych i czuł, że im zaufać nie może. Potrzeba było koniecznie kogoś ze swéj ręki postawić i opatrzyć dostatnim funduszem; oczy jego szczęściem padły na mnie, gdy w ciągu lat trzech doświadczył i wierności mojéj i przywiązania do siebie.

Tak tedy wyprawiony zostałem do Lublina z rekomendacyami od pana Stempkowskiego do marszałka trybunału Krzyżanowskiego, kasztelana santockiego, do prezydenta księdza Darpowskiego kanonika gnieźnieńskiego, i do znajomych mu deputatów. Z temi zapasami nie potrzebowałem już ani splinnika Nowoszyckiego, ani jego uciążliwego rozumu przed którym uginać się kazał, ani innéj protekcyi: stałem o swéj sile.

Tego trybunału przybyła pani Woroniczowa kasztelanowa bełzka, w sprawie z sukcessorami Woronicza starosty ostrzęzkiego; dobrze jéj znajomy z Łabunia, miałem szczęście nie mało jéj być użytecznym w Lublinie.

Przyjechał i zięć jéj pan Działyński, z którym

mnie zapoznała, co nadal bardzo mi posłużyło i niemały wpływ miało dla mnie.

Przypadły dwie sprawy pana wojewody Stempkowskiego i te poszły, chwała Bogu, dobrze; dwie także pana Bukara jak najlepszy obrót wzięły, a ja począłem tak powoli wchodzić *in activitatem.*



XXV.

K r a k ó w.

W tym roku, był deputatem na trybunał z krakowskiego, syn łowczego krakowskiego Felixa Skorupki, Antoni Skorupka, nie mający więcéj nad lat dwadzieścia pięć, najmłódszy z dzieci możnego obywatela, któremu ojciec na odbycie téj funkcyi dał cztérdzieści tysięcy złotych, ale on w dodatku jeszcze z pięćdziesiąt długu zrobił. Żył wystawnie, po pańsku, z gustem wielkim; zaznajomiłem się z nim i poprzyjaźniłem wszedłszy w ściślejsze stosunki przez panią Hańskę, Skorupkównę z domu. Był on stryjecznym jéj bratem, napisała za mną, polecając jego względóm, sta-

łem się więc prawie nieodstępnym towarzyszem, a mała różnica wieku (o lat parę), jedne upodobania i skłonności, jednaki myślenia sposób, połączyły nas wkrótce jak najserdeczniéj. Dom jego w Lublinie zawsze był pełen młodzieży, stół jak najwyśmienitszy, i wszystko co tylko życie uprzyjemnić mogło; słowem przywiązywał do siebie wszelkiemi sposoby.

Wypadło panu Antoniemu Skorupce jechać na imieniny ojca do Krakowa, gdzie mieli piękny pałacyk i po większéj części przemieszkiwali; zaprosił mnie żebym z nim jechał. Chęć poznania sławnego starego grodu naszego i towarzyszenia miłemu przyjacielowi, z którym się rozstać było przykro i na chwilę, spowodowały mnie, żem się do téj podróży nakłonił. Sześciu nas ruszyło we trzech powozach, i na drugi dzień tych mil trzydzieści ubiegłszy, ujrzeliśmy Kraków. Nikt z nas nie może bez wielkiego uczucia ujrzeć tego protoplasty nie tylko wszystkich grodów naszych, ale kraju całego; myśl mimowolnie przenosi do odległéj epoki i stawi przed oczy owego Kraka zakładającego piérwszą warowną siedzibę, rozmié-

rzającego posady stolicy, która trwa już blizko lat tysiąca.

Jechałem ulicami na których się wznosiły gmachy prastare, czci Boga poświęcone, wszystkie w stylu gotyckim, świadki i dowody czci i zapału dla wiary przodków, dźwignięte okazale i silnie, aby wnukom o ojcach powiedziały. Podziwiałem zarówno świątynie jak i odwieczne kamienice grubemi ścianami wznoszące się na pięć i sześć piątr do góry, okopcone wiekami, napiętnowane cechami ubiegłych czasów.

Co chwila schylać musiałem czoło z uszanowaniem przed poważną siwizną jedenastu wieków. Zajechaliśmy nareście do pałacu państwa Skorupków, i tu ja z towarzyszem moim, kochanym panem Antonim, rozlokowany zostałem. Oboje rodzice jego, ludzie w podeszłym już wieku, przyjęli mnie z uprzejmą grzecznością właściwą krajowi naszemi.

Sam pan łowczy, przy dworze Augusta trzeciego młodość spędził, i jemu winien był krescytywę; matka, z domu Wodzicka, lubo z najpiękniejszéj familii, wychowywała się według zwyczaju owego wieku w domu margrabiów pińczowskich,

gdzie była panną honorową, w trzydziestym roku życia wyszła za mąż za pana Felixa, mającego już lat czterdzieści i trzy; w owym czasie nie rychléj kleiły się małżeństwa. Najzacniejszy pan łowczy i żona jego, dosyć opowiadać lubili oboje o ubiegłych latach; on mi mówił o panowaniu Augustów, o ich dworze i polowaniach, dokładną dając informacyą rozmiaru kielichów jakich ci monarchowie używali, o nadzwyczajnéj sile, łamaniu podków i talarów Augusta silnego, o królewskich hulankach i wizytach po dworach, które piwnice wysuszały, o wyścigach puharowych, nagradzanych często starostwami, pensyami, a nawet orderem Orła Białego i t. d.

Sama pani łowczyna lubiła znowu rozpowiadać o dworze margrabiów pińczowskich, o ich zamożności, o etykiecie domu na stopie niemal monarchicznej utrzymywanego; o ostrości z jaką wychowywały się panny honorowe margrabinéj, o subordynacyi, w jakiéj je trzymano, sześćdziesięciu dworskich z najpierwszéj szlachty polskiéj w służbie magnata będących, tyluż pokojowcach, którzy za najmniejsze przewinienie po sto kańczuków bierali, ale zawsze na kobiercu. Z taką do-

bitnością mi to malowali oboje, że wyobraźnia przenosiła mnie do téj ominionéj już epoki; dziękowałem Bogu żem się nie urodził wcześniéj, licząc ileby to razy na tym fatalnym kobiercu leżéć przyszło.

Z okazyi imienin pana łowczego, na drugi dzień był obiad więcéj niż na sto osób i bal na którym, jak sądzę, ze trzysta być musiało; oboje państwo i syn prezentowali mnie wszystkim i poznawali ze znakomitszemi gośćmi. Z ciekawością patrzano na mnie, bom sam jeden w tém liczném zgromadzeniu był w kijowskim mundurze, przytém tańcowałem zręcznie, manierę miałem przyzwoitą, świeżość i wesołość młodego wieku, a to wszystko nie szkodziło mi wcale na tym pięknym świecie.

Kasztelana krakowskiego Antoniego Jabłonowskiego i wojewody Piotra Małachowskiego, nie było w Krakowie, oba znajdowali się wówczas z obowiązku na sejmie w Warszawie; ale oprócz nich dostojniejsi urzędnicy prawie wszyscy: podkomorzy Michałowski, Eljasz Wodzicki starosta sądowy, chorąży Dębiński, Stadniccy, Wielogłówscy, Walewscy, Chwalibogi, Bobrowniccy i t. d. Zabrałem znajomość z temi wszystkiemi domami.

U stołu podano kielich, pewnie butelek trzy obejmujący; pan podkomorzy Michałowski zaintonował zdrowie solenizanta, i w dwóch łykach kielich był suchy. Dwudziestu z nas może spełnili go do dna, a pan wojski Józef Chwalibóg duszkiem od razu, jak dziś pamiętam; młodzież absolwowano jako niezdatną do tych zapasów. Poczciwy gospodarz zapewne osiemdziesiątletni staruszek, na podziękowanie wypił cały, ale powoli łykając. Znajdowało się na tym obiedzie ze trzydziestu prałatów i kanoników sławnéj téj, najstarszéj i najbogatszéj katedry, wszystkim byłem prezentowany; między niemi ks. Kołłątaj natenczas jeszcze referendarz litewski i rektor akademii krakowskiéj. Pierwsze to było moje z nim spotkanie i znajomość. Nazajutrz z panem Antonim Skorupką oddawałem wizyty, a przez szesnaście dni mojéj w Krakowie bytności, ciągleśmy bywali na proszonych obiadach i wieczorach u świeckich i duchownych osób, coraz to w inném miejscu. Duchowni ci byli to wszystko wielcy panowie, od prałatów aż do kanoników, każdy miał najmniéj gwiazdę S. Stanisława, a połowa Orła Białego. Jakie mieszkania, co za stoły wytworne, jakie wina stare, przyję-

cie i przepychy, potrzeba było widzieć i doświadczyć żeby uwierzyć. Ludzie to byli pierwszych familij, sami z siebie bogaci, stalla ich robiły także wielkie intraty, oprócz tego ledwie nie każdy kanonik posiadał opactwo, lub bogatą prebendę.

Chciałem obejrzeć wszystko, wszędzie mnie też oprowadzano, i było na co patrzéć w starym Krakowie. Naprzód udaliśmy się na mogiłę Wandy, do któréj znana o niéj powieść jest przywiązana, z ust ludu powtórzona przez kronikarzy. Miała to być wnuczka Krakusa pierwszego założyciela miasta, która z obrzydzenia ku jakiemuś narzuconemu jéj niemieckiemu książęciu, w Wisłę się rzuciwszy utopiła. Godna uwagi jak w dziejach jednego narodu po dwakroć w coraz inny sposób powtarzają się wypadki objaśniające epokę symbolicznie; Wanda przeznaczona czy zmuszona zaślubić niemca, woli życie utracić, niż nienawistnemu oddać rękę; Jadwiga w podobném położeniu poświęca się dla kraju, i sercu milczéć każe, czyniąc z niego ofiarę. Tradycya zdaje się stworzoną aby porównaniem podnieść czyn historyczny, i wskazać różnicę epoki pogańskiéj od chrześcijańskiéj; bohaterki dzikiéj i heroiny chrztem obmytéj.

Chociaż postać Wandy bajeczna i za wymysł poetyczny ludu poczytaną być może, z tém wszystkiem nie można stanąć stopą na mogile jéj imieniem uświęconéj, bez szczególnego uczucia i złożenia hołdu ubiegłym wiekom.

Gdy to piszę, smutny wzrok rzucam na przyszłość: to zapomnienie, które otacza mogiłę Wandy ukraszoną tylko zmyśloném podaniem, kto wie, azali to za lat tysiąc nie spotka i drugiego kopca tamże usypanego rękami wszystkich pamięci bohatera... może plemię nasze i krew i imie zaginie do ostatniéj gałązki, a Europa ogniem wojen spalona, potokami krwi zlana, obcym jakim ludem zasiedloną zostanie; może pisma, świadki dziejów, zginą w téj konflagracyi powszechnéj, a przychodzień nie odgadnie czyje ręce, na czyją pamiątkę tę górę usypały. Zrodzą się wówczas tradycye bajeczne, domysły dzikie, i potomni co historyą z okruszyn i złomków odbudowywać zechcą, powieść prawdziwą między baśnie włożą, a suchą jaką hypotezę na jéj miejsce wsztukują...

Alboż się to tak nie działo i nie dzieje? człowiek wszelkiemu cudowi i dziełu entuzyazmu broni się, usiłując je sprowadzić do najpoziomszych

rozmiarów; świadkiem historya dziewicy Orleańskiéj, tak długo wykładana i wykoszlawiana na prozę, tłómaczona na rzeczywistość z poezyi. Czy i z naszą Wandą podobnie się może nie stało? Śmiejemy się z jéj historyi, a kto wie, czy *mutatis mutandis* nie jest prawdziwszy od wielu innych, za prawdziwe uznanych faktów.

Zaprowadzono mnie potém na Skałkę, gdzie do dziś dnia stoi i utrzymuje się kościołek, natenczas katedralny krakowski, kiedy stolicę biskupią zajmował biskup Stanisław Szczepanowski.

Historya przedstawia nam Bolesława drugiego, zwanego Śmiałym, jako wielkiego króla i rycerza, który granice państwa rozszerzył orężem, ukorzył nieprzyjaciół, ale słabym był jako człowiek. Kiedym to miejsce zwiedzał, duch wieku, w którego łonie wychowany zostałem, wskazywał mi świętego męczennika, bardziéj jako ofiarę własnego fanatyzmu, niżeli bohatéra; dziś czuję, że téj sprawy tak lekko odsądzić nie można i nie śmiem podnosić głosu. Zresztą, potomność wydała wyrok, ja milczę. Z uszanowaniem zwiedziłem to miejsce oblane krwią i uświęcone męczeństwem, wspominając zarazem drugi kościół na obcéj zie-

mi, w którym nieznane spoczęły kości króla-pokutnika.

Na rynku krakowskim szukałem miejsca i tronu na którym Kazimierz Wielki i poprzednicy jego codziennie zawiłe między poddanemi rozstrzygali spory, wedle odwiecznego obyczaju i podań z których późniéj statut spisano. Wyobraźnia rozpłomieniona wystawiła mi wszystkich panujących na rynku tym z kolei przebywających i zasiadających rzędem jakby dla wielkiego sądu; odbierających łupy i trofea, i chorągwie homagialne lenników, między którymi z goryczą ujrzałem późniejszych nieprzyjaciół.

Obejrzawszy co było ciekawszego w mieście, udaliśmy się do Łobzowa, i tu znowu pamięć liczny szereg wspomnień wywołała.

Miejsce to wydało mi się najpiękniejszém, natura sama wysiliła się na ozdobienie go, nie dziw, że i Kazimierz je obrał na gniazdko dla swych miłostek, ulubił zieloność i ciszę jego, wzniósł budowle i zasadził cieniste ogrody. Czas dotąd cząstkę szanownych zabytków przeszłości oszczędził... Wymawiają Kazimierzowi jego miłość dla żydówki Esterki, o któréj wie historya,

dla tego może iż się jéj rozmiłowany monarcha nie wstydził; ja w tém nic nad słabość naturalną człowiekowi nie widzę, a wolę tę szlachetną jawność błędu, niż jezuickie z nim ukrywanie się przed światem. Widziałem tu kilkowiekowe drzewa, altany z ogromnych grabów, jodły niebotyczne, ulice tak zagęszczone, że się przez nie promień słońca nie przeciśnie, i chodziłem po nich z cieniami wielkiego króla i pięknéj jego kochanki.

Późniéj, późniéj nieco widziałem tu piękną, ale czystéj i dziewiczéj piękności Jadwigę, przechadzającą się z Wilhelmem, żegnającą go w imieniu wielkiéj ofiary, którą dla dobra pokoleń spełnić miała, poświęcając siebie.

Było nas razem kilkunastu, jeden drugiemu wspomnienia poddawał, marzyliśmy, ledwie słowem przerywając dumy o przeszłości.

Nie będę opisywał okazałéj, starożytnéj katedry; bogactwa jéj i pomniki obszernie są i lepiéj niżbym je mógł, pobieżnie okiem rzuciwszy, zliczone i przez artystów uwiecznione—muszę tylko wyrazić uczucie jakiego doznaje każdy po raz pierwszy wchodząc do téj ogromnéj, a razem wspa-

niało ponuréj świątyni. Budowa jéj w stylu po większéj części gotyckim; co krok godła, napisy, pamiątki przenoszące w ubiegłe wieki, cień posępny jakby go lata przeszłe rzucały, wszystko razem sprawia, że na zimno oglądać, dziwić się, rozbierać niepodobna, ale ze czcią, z uszanowaniem, z niepojętém uczuciem stąpa się po ziemi uświęconéj tylą popiołami, pogląda na ściany, na których tyle bohaterskich oczów spoczywało. Chrzcielnice, ołtarze, miejsce samo, przywodziło mi na pamięć uroczysty chrzest narodu całego w osobie Władysława Jagiełły, zrzucajacego tu skórę barbarzyńcy u stóp krzyża i pięknéj Jadwigi. A! nie całkiem się jéj pozbył Litwin, kiedy śmiał tego anioła posądzić, uwierzyć potwarzy i nie zaufał sercu co się na tak olbrzymią zdobyło ofiarę. Wyobraźnia znowu rozrzewniona, bom był młody i miłość inaczéj pojmowałem dla takiéj istoty jaką była Jadwiga— przedstawiała mi w całéj okropności położenie królowéj, zmuszonéj ulegać nieokrzesanemu i wpół dzikiemu człowiekowi.

Z czcią nie mniejszą obszedłem groby królów; których ryciny dziś są powszechnie znajome — wskazano mi tu miejsce, które Stanisław August,

nieświadom swego losu, będąc w Krakowie sobie na wieczny spoczynek naznaczył; ale inaczéj chciała wola najwyższa, synowca tylko jego ks. Józefa zwłoki tu są złożone.

Byliśmy późniéj w akademii: tam zrobiłem znajomość ze Śniadeckimi, którzy już dobijali się wieńca sławy, jaki dziś ich grobowce uwieńcza; oddaliśmy wizytę księdzu rektorowi Kołłątajowi, przyjmował z powagą i pewną dumą jakby już przewidywał, że wkrótce ma zostać ministrem, a nie przeczuł, że umrze w opuszczeniu i zapomnieniu. Mieszkanie jego do zbytku wystawne i wspaniałe, może stosowném było dla posady, którą zajmował, może nawet ją przewyższało. Nie bardzo go tu kochano, z przyczyny zbytniego ubiegania się o zbiory i intratne posady, w czém wielką okazywał chciwość, ale téj natury swéj ani ukryć w żadném położeniu, ani zmienić nie potrafił.

Poznałem się ze wszystkimi burgrabiami zamku krakowskiego, których było dwónastu, szczególniéj z P. Jordanem, jako blizkim krewnym domu Skorupków, ściślejsze i przyjaźne zawarłem stosunki. On mi pokazywał sam cały zamek, komnaty dawnych i późniejszych królów, i paradne apartamenta.

Widziałem tę część zamku, którą zajmowała królowa Bona, niecna żona Zygmunta starego; i skarbiec z którego uwiozła w Polsce zebrane łupieżą i przekupstwem ogromne summy, odegrywając komedyą jakoby je pod strażą pilną opieczętowane zostawiała; i pokoje uświęcone pobytem królowéj Barbary, ukochanéj żony Zygmunta Augusta, tak zawcześnie zgasłéj, i miejsca w których ostatni z Jagiellonów chodził z nieutulonym po niéj smutkiem i tęsknotą.

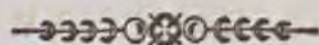
Z najdawniejszych czasów przywileje wszystkich monarchów uwalniały Kraków, z całém jego teritorium, od żydów, którym tu ani handlować, ani przebywać, ani nawet nogą stąpić nie było wolno. Nadane im późniéj swobody, skupiły ich na przedmieściu Kazimierzem zwaném, gdzie do zadziwienia mnogo i niechlujnie się rozsiedlili; nie wolno im było wszakże, ani gdzieindziéj handlować, ani się nawet pokazywać w mieście samém. Przejeżdżałem Kazimierz, który mi przypomniał żydowczyznę pod Lublinem z Grodzką ulicą, równie brudną i natkaną bachurami. Żydzi z taką jak w Brodach i Berdyczowie natarczywością, napadali po-

drożnych żeby skłonić do kupienia czego, a raczéj do oszukaństwa na prędce.

Po szesnastu dniach pobytu w staréj stolicy, które jak jeden mignęły, pożegnałem zacnych staruszków, a oni z synem ledwie się rozstać mogli. Kraków miał dla mnie cechę wyłączną, towarzystwo jego miłe, kobiety skromne i cnotliwe, gościnność staropolska, serdeczna, odróżniały go od Warszawy i znanych mi miast innych.

W téj saméj gromadce razem powróciliśmy do Lublina (*).

(*) Rozdział ten znacznie w redagowaniu skróconym został. Ochocki rozszérzył się w nim nad dawnemi wspomnieniami, i zamiast opisów, których byśmy po nim wymagać mogli, dał tu uwagi po większéj części nie nowe nad niektóremi wypadkami dziejowemi. Jego sposób zapatrywania się na historyą, sąd o ludziach, oryginalny często, dziś sformowaną już o tych wypadkach opinią tak dalece prześcigniony został, żeśmy go powtarzać nie chcieli, bo i więcéj i lepiéj wiedząc, sprawiedliwiéj sądzić możemy. Zresztą epizod ten w pamiętnikach zupełnie zbyteczny, dziś wydałby się powtórzeniem nadto oklepanych rzeczy, które za czasu gdy autor pisał, wcale jak teraz upowszechnionemi nie były.
Zostawiliśmy tylko główną sieć wspomnień o Krakowie. (*P. R. W.*)



XXVI.

Trybunał Lubelski.

Zdała mi się godną wspomnienia ta wielka magistratura, którąśmy nazywali Trybunałem; jakkolwiek w ustawach krajowych znaleźć łatwo ustanowienie jéj przez wielkiego króla Stefana, urządzenie, przenoszenie się z miejsca, na miejsce i formy czytają się w Voluminach Legum, wiele jednak zwyczajów i ordynacyj żadną księgą nie są objęte, i o tych jako widz naoczny, w pół stolecia, powiem choć słów kilka.

Sąd ten najwyższy składał się ze dwudziestu deputatów świeckich, na sejmikach d. 20 lipca

przypadających zawsze, obiéranych, i dziesięciu duchownych, których wyznaczały kapituły. Były te, tak nazwane dwa collegia, duchowne i świeckie, pod prezydencyą marszałka z collegium świeckiego i prezydenta z duchownego. Na te oba ważne urzęda król insynuował, pospolicie na marszałków, kogoś z senatorów, dygnitarzy albo urzędników koronnych, osoby możne same przez się; na prezydentów prałatów z Wielkiéj Polski osobliwie, gdzie duchowni mają donośne bardzo w intraty opactwa i stalla.

Oprócz tego, Stanisław August ustanowił dla marszałka czterdzieści tysięcy złotych, a dla prezydenta trzydzieści, w pomoc dla odbycia kosztownéj funkcyi, z prywatnéj swojéj szkatuły, a to musiało gruntować wpływ królewski na magistraturę, poniekąd już od niego zależną. Zaraz po sejmikach deputackich, wybrani deputaci, marszałek i prezydent, zjeżdżali się do Piotrkowa i tam zaczynali dnia 1 września *kadencyą* dla prowincyi Wielko-polskiéj, kończyli ją dziewiętnastego marca. Ztamtąd przenosił się Trybunał do Lublina, i w pierwszy poniedziałek po niedzieli przewodnéj rozpoczynał kadencyą, co się zwało *reassumpcyą*

Trybunału; kończyły się sądy dnia dwudziestego grudnia, i to się zwało *limitą.*

Moc najwyższa, jako sądu rozstrzygającego bez apellacyi, nieograniczona władza, którą tylko prawo rządziło, majestatyczna wspaniałość, tytuł Najjaśniejszego Trybunału, były udziałem i cechą téj wielkiéj magistratury.

Corocznie przychodził rejment pieszy na assystencyą trybunałowi, ten był pod wyłączną komendą marszałka. Oprócz odwachu głównego przed ratuszem w którym sądy się odbywały, rano od ósméj do piérwszéj, po obiedzie od trzeciéj do ósméj, zaciągały warty osobno do marszałkowskiego pałacu z oficerem i bębnami. Tu także formował się odwach przy bramie, dubelt szyldwach przy niéj, drugi takiż na dworze przed głównemi pałacowemi drzwiami. Podchorąży szedł na ordynans do marszałka przed którym jak przed królem marsz bito; na każdą sessyą z pałacu do ratusza niósł instygator laskę marszałkowską i skrzynię srébrną woźny, otoczony cztérma gemejnami z gefrejterem; przed niemi cała warta prezentowała broń, bito dwa werble, i z takąż ceremonją i uroczystością nazad je do pałacu po sessyi odnoszono.

Też same honory oddawano przy przenoszeniu krzyża prezydenta, który na każdą sesyą także do ratusza na salę wnoszono. U prezydenta stał dubelt szyldwach, ale ordynansa nie miał; przed deputatami duchownymi i świeckimi, gdziekolwiek się ukazali, odwachy stawały do broni, prezentowały ją i dwa werble bito.

Marszałek pospolicie co niedzieli dawał wielkie obiady lub bale, co czwartek obiady, podobnież w święta i galowe dni dworskie. Prezydent przyjmował u swego stołu z postem w piątki i soboty; dla deputatów i pacyentów, chcących wystąpić, pozostawały tylko poniedziałek, wtorek i środa. Od tego zwyczaju za moich czasów nie odstępowano nigdy, należał on do tradycyonalnéj etykiety trybunalskiéj, która z najściślejszą formalnością zachowywaną była.

Napływ wielki pacyentów, najczęściéj magnatów i ludzi możnych, przyczyniał się do nieustannego ruchu i zabawy. Przeszło pięćdziesiąt osób prawoznawców poważnych, pod tytułem mecenasów, otaczali trybunał, a do czterechset osób młodzieży szlacheckiéj, i z wielkich nawet rodzin, z całego niemal kraju zgromadzonéj, pod pozorem

uczenia się prawa, nabrania poloru, którego może na prowincyi zbywało, zasposobienie się w środki pomocnicze służenia późniéj skutecznego krajowi— napełniali miasto i niemało je ożywiali. Ci młodzi ludzie sami lub ojcowie ich, wybierali mecenasów, od których dependowali i w ich kancelaryi pracując, znajomości prawa nabierali praktycznie. Mecenasi zapraszani na konferencye, osobliwie w sprawach ważnych wielkich panów, brali zawsze z sobą młodych swych dependentów, aby się naradom przysłuchiwali. Ale największy ich zysk był w tém, że się młodzież poznawała z całym krajem, nabierała obyczajności, poloru i form odznaczających najlepsze towarzystwo.

Pospolicie wielcy panowie, w sprawach ważnych zjeżdżali na trybunał sami, z żonami, córkami, rezydentami i rezydentkami i całą swą assystencyą. Z téj to szkoły wychodzili ludzie na senatorów, urzędników koronnych, dygnitarzy, posłów, sędziów, urzędników wojewódzkich, usposobieni jak należy i doświadczenia nabrawszy, którego nic zastąpić nie może.

Trybunał Lubelski za moich czasów nie był takim jakim go znalazł Doświadczyński, kiedy w nim

miał sprawę, chociaż wnosić można, że biskup Krasicki, wprzód deputat, naocznie go się nie z opowiadania uczył. Wielka to prawda, że *ad regis exemplum totus componitur orbis*, Stanisław August starał się wprowadzić cywilizacyą do kraju, i jeśli grunt się nie zmieniał, wszystko przynajmniéj świetną przybierało szatę. Prawnicy lubelscy popisywali się z wymową i starali o czystość języka, unikając makaronizmów i przymieszania łaciny, która za przeszłych panowań na wpół z polszczyzną zmięszana, im niezrozumialszą i dzikszą, tém piękniejszą dla zepsutego ich smaku stanowiła całość. Wymowa sądowa była coraz prostsza, zarazem wzniosła i przekonywająca, niekiedy ostra i dowcipna; zgoła stała na najwyższym stopniu do jakiego się podnieść mogła. Wspomnę tu kilku co się szczególniéj odznaczali: jako Grzymała, Puchała, Jan i Franciszek Grabowscy, Tadeusz Skarżyński, późniejszy poseł w Grodnie, generał Raczyński, Grudziński, dwóch braci Dmóchowskich, Matusewicz, Kański, Buczyński, Orchowski, Podhorodeński, a lepiéj śmiało powiem, że wszyscy byli wymówni.

Wszyscy mówili pospolicie z pamięci, a dobór

wyrazów, styl, analyza przedmiotu, rozwinięcie jego, wnioskowanie, konkluzya, tak były mocne, jasne, a zarazem przekonywające, tak nawet dla obojętnych zajmujące, że po dwa dni wciąż mówiącego na replice, słuchać było miło i człowiek się nie męczył. Wszystko co składało miejscowe Lubelskie towarzystwo, mecenasi i młodzież, chodzili w stroju polskim; przybywszy do Lublina na początku roku 1788, zastałem tylko Jana Nepomucena Grocholskiego, syna miecznika koronnego, Stefana Zakrzewskiego syna kasztelana i Gołuchowskiego z Galicyi syna hrabiego... ustrojonych po francuzku, ale już w roku następującym fraka ani jednego nie było, wszyscy bez wyjątku przywdzieli strój dawny. Również i w Warszawie ubior ten wszedł w użycie powszechne; wszyscy codzień jak na dworze monarchy, zacząwszy od marszałka do dependenta, stawali od rana w mundurach swoich województw; w piątek zaś i sobotę w sukniach czarnych. Bez pałasza, kto był w kontuszu, nie tylko na ratuszu, w kościele, z wizytą, ale na ulicy pokazać się nie mógł; równie kto był przy pałaszu, kapelusza przy nim nie używał; w późny wieczór na spacery wychodziliśmy w ka-

potach, bez szabli, z laską w ręku, na głowie kapelusz okrągły. Nieznano dzisiejszych kaskietów i setnych form czapek najrozmaitszych, jedną tylko konfederatkę do największego stroju. Na obiady i bale występowano w ubiorze galowym i przepyszny to był strój, który się wspaniale wydawał; żupany lite lub z materyj lijońskich, pasy złociste, karabele sadzone, guzy i spinki od drogich kamieni i brylantów.

Główném było zadaniem przy tym natłoku różnych ludzi, utrzymać *decorum* w obyczajach, nad któremi czuwał trybunał przez instygatora *Securitatis*; szczególniéj pilnowali dla swéj młodzieży mecenasi, by nie było tych domów w których się zdrowie niszczy i czas pochłania; chociaż uniknąć czasem wybryku jakiego było trudno. Nieszczęśliwy młody, którego zanotowano ze złych obyczajów, wszystkie drzwi miał przed sobą zaparte, musiał wyjeżdżać, ale to się rzadko trafiało. Przez czas mojego bawienia w Lublinie, dwie tylko były takie praktyki, że kazano ichmościom z miasta ustąpić.

Trybunał tak wielką i majestatyczną okryty był powagą, taką nieograniczoną władzą wsparty,

że nietylko uszanowanie, uległość, ale bojaźń obudzał. Najmniejsze wykroczenie przeciw prerogatywom jego karano śmiercią. Przy mnie był wypadek taki, za laski Krzyżanowskiego kasztelana santockiego, że niejakiemu Kasperskiemu urzędnikowi wojewódzkiemu, za zrobioną brewerye na dole ratusza, drugiego dnia głowę ucięto. Dawniéj nieco przed bytnością jeszcze moją, za laski Karwickiego kasztelana zawichostkiego, koledze jego, deputatowi z województwa Rawskiego, Suleżyckiemu, za to, że przy kłótni na ustępie pałasza dobył, nazajutrz przed tym samym ratuszem głowa zleciała.

Młodzież miała wstęp do wszystkich domów: kto był prezentowany marszałkowi i prezydentowi, ten raz na zawsze zaproszony został na bale, asamble i obiady. Bilety woźni trybunałowi roznosili. Moda była wówczas w Lublinie, zamiast lokajów trzymać strzelców; zielony frak, spodnie, kamizelka, obramowane galonami złotemi, takież szlify złote lub srébrne, jegersak przez plecy ze złotą lub srébrną taśmą, u którego u dołu wisiały z prawéj strony emblemata myśliwskie; do tego kordelas, i kapelusz stosowany z galonem i kitą

zieloną. Ubiór to był piękny i dosyć kosztowny. W czasie balu lub wielkiego obiadu, widzieć było można i w dziedzińcu po dwiestu lub trzystu tak ubranych służalców, trzymających pałasze swoich panów. Ostatni raz takiego strzelca widziałem u księcia Eustachego Sanguszki, gdy był marszałkiem gubernjalnym. W Warszawie przed sejmem, młodzi ludzie wprowadzili w modę za karetami i krzesłem stawających bogato ustrojonych huzarów, ale w czasie sejmu czteroletniego, gdy co żyło powracać zaczęło do ubiorów narodowych i strój dawny inne wszelkie zastąpił, służba także, zwłaszcza huzary, przebrali się za kozaków. Ale jaki w tém był przepych! Jan Potocki, który celował smakownym strojem i nosił się podług rysunków kostiumów z XV wieku, miał kozaka, rodem francuza *Perceaux*, którego przezwał *Pokotyło*, i łeb mu wygolił; ani go było poznać, że się nad Sekwaną urodził.

Trybunał prócz regestrów spraw ordynaryjnych każdego województwa, do których odsądzania wyznaczone były miesiące, tak był zawalony sprawami, że czasem lat kilka na wpisy czekać było potrzeba. Tu mieściły się sprawy wszelkiego ro-

dzaju, a były prócz tego oddzielne regestra: regestr *mixti fori*, regestr *pokomissyjny*, *remissowy*, *taktowy*, *incarceratorum*, *executionum*, *poenalium* i t. d. Do ordynaryjnego, jak się wyżéj rzekło, należały wszystkie prawne sprawy, processa; w regestrze *mixti fori*, mieściły się sprawy między duchownemi a świeckiemi; regestr *pokomissyjny* obejmował rzeczy z komissyj, przez sejm 1775 roku ustanowionych pozostałe; w *remissowym* sądzono processa z kontraktów zastawnych, dzierżawnych i innych wynikłe; *taktowy*, właściwy był sprawom kryminalnym, uczynkowym; *incarceratorum* przeznaczony dla kryminalistów podległych karze śmierci, lub gdy po ich zgonie zostawało co do odzyskania, nakoniec *executionum* i *poenalium*, regularnie co soboty przychodzące na stół. Do *ordynaryjnego* regestru, województwa wybierały co roku na sejmikach wraz z deputatami, pisarzów i komorników. Pierwsi mieli obowiązek pisania dekretów, drudzy ingrossowania ich do akt właściwych i odwożenia kopij do swoich województw.

Trybunał zajmował cały ten wielki i piękny ratusz w Lublinie, który do dziś dnia stoi. Była w nim kaplica z obrazem Najświętszéj Panny Nie-

pokalanego Poczęcia sodalisowskim, który zawsze przy każdéj reassumpcyi z kościoła Trynitarskiego (?) z wielką paradą przenoszono i w kaplicy na ołtarzu stawiono. Tu codziennie kapelan trybunału mszę świętą rano odprawiał.

Trzy ogromne sale na piętrze zajmował głównie trybunał: jedną z dwóma wyjściami izba sądowa, przy drzwiach jéj straż podwójna; dwie inne sale służyły na ustępne. W sądowéj izbie, na główném miejscu przed stołem sądowym, było podniesienie o trzech gradusach, na którém dwa krzesła wyzłacane, axamitem karmazynowym z galonami złotemi wybite dla marszałka i prezydenta; nad niemi wisiał portret królewski naturalnéj wielkości, natenczas Stanisława Augusta doskonale przez Lampiego malowany, w przepysznych, szérokich ramach złoconych, ozdobiony insygniami wszystkiemi państwa, koroną, herbami, mieczem i szalą sprawiedliwości.

Przed tym niejako tronem, stał długi stół ostawiony trzydziestą krzesłami dla panów deputatów, obitemi axamitem szkarłatnym z galonami, frędzlami i kutasami złotemi; które co roku odmieniano, aby zawsze swiéżo wyglądały.

Na stole od strony marszałka leżała laska jego, godło władzy i powagi; w pośrodku krzyż duży srébrny i szkatuła z tegoż kruszcu prześlicznéj, jak wówczas nazywano, filigranowéj roboty; daléj księgi praw nie tylko krajowych, ale zagranicznych, (których radzono się jeśliby prawo polskie okazało w czém niewystarczającém i wypadku jakiego nie przewidziało). Przed stołem był wielki dziesięcio-łokciowy pulpit wzniesiony na pięciu stopniach dla mówców, zwał się on *kratkami;* na nim krzyż wielki z wyobrażeniem Zbawiciela świata, zwrócony do tego areopagu, z nadpisem:

Judicia vestra judicabo.

Tu wstępowali mecenasi dla indukowania spraw. Cała sala okrążona była ławami adamaszkiem obitemi, a stół ów wielki i krzesła deputackie obwiedzione balasami na dwa łokcie od nich oddalonemi, żeby do deputatów przystąpić i szeptać z nimi nie było można. Po prawéj stronie sędziów wisiał w całéj figurze portret księcia prymasa Poniatowskiego, a z lewéj obraz duży tejże wielkości wystawujący Świętego Iwona patrona

rzeczników; nad drzwiami zaś wchodowemi, wizerunek Ś. Tomasza z podpisem:

Ego ille, qui privatum ex consule facio Civem.

Dla kompletu koniecznie było potrzeba sześciu deputatów najmniéj, marszałka i prezesa; gdyby jednego tylko członka brakowało, sessya odroczona została i sądy nie miały miejsca, ale przy mnie się to ani razu nie trafiło. Indukta spraw odbywały się w następujący sposób: wprowadzano naprzód sprawę od aktora, odpowiadano od pozwanego, i to się zwało *maeritum*. Potém następowało czytanie i pracowite tłómaczenie dokumentów, które powodowa i pozwana strona przedstawiały na poparcie, do czego kilku z kolei mecenasów przygotowanych było. W sprawach zadawnionych, osobliwie sukcessyjnych, przynoszono czasem na ratusz jeden, dwa, niekiedy trzy całe kufry papiérów, a summaryusze tych dokumentów zawsze drukowane, do kilkudziesiąt arkuszy wynosiły; te kładziono przed marszałkiem, prezydentem i deputatami, rozdawano i arbitrom ktoby sobie życzył.

Następowała potém replika ze strony powodu i pozwanego, z całą siłą i wprawą wymierzone na

obalenie wniosków strony przeciwnéj i pociągnienie za sobą opinii. Czasem bywały jeszcze oprócz tego przymówienia się *ad omissa;* dla tego to tak wielu interesowanych, osobliwie z możniejszych, używali do konferencyi nie jednego, ale ilu mogli dostać i namówić mecenasów.

W jednėm oknie był jak ambona wysoki wzniesiony rodzaj amfiteatru, w którym siedzieli woźni, obwołujący rozpoczęcie sessyi, przywołujący wpisy, i nieustannie krzyczący:

— Mości panowie, uciszcie się! Mości panowie, nie szemrzcie! Mości panowie na ustęp! Mości panowie ustąpcie się wchodzącym jaśnie wielmożnemu marszałkowi, prezydentowi, jaśnie wielmożnemu wołyńskiemu, jaśnie wielmożnemu kijowskiemu i t. p. Deputatów i posłów nie mianowano inaczéj tylko w ten sposób od województw; pan Kijowski, pan Wołyński.

Na ustępie zaraz decydowano sprawę i bez ostatecznéj decyzyi nie wychodzono z ratusza; nie było téj praktyki, żeby na sessyi sprawa nie rozstrzygniętą została. Jeśli nie było jednomyślnéj zgody po uformowaniu propozycyi, przystępowano do krések sekretnych. Obok była sala, w któ-

réj stały dwa wazony opieczętowane pięczęciami marszałka i prezydenta, na nich napisy: *afirmative* i *negative;* afirmative rzucał gałkę kto był za propozycyą, negative kto przeciwnego zdania.

Ustępy i decyzye trwały czasem po sześć i osiém godzin, a z izby niewychodzono. W przypadku *paritatis votorum* (równości zdań), lubo marszałek miał prawo rozwiązywać przydaniem drugiego *votum*, ale marszałkowie zwykle prerogatywy téj nie używali; ogłaszano tylko rezolucyą: *obstante paritate votorum, judicium suum remittit causam ad futurum tribunal.*

Nie będę ani wychwalał ani bronił téj magistratury; bywały i tu praktyki różne, szczególniéj ze strony możnych i panów, którzy sposobów wszelkich używali do utrzymania się przy swojém. Zazwyczaj magnaci na sejmikach wcześnie starali się utrzymać przyjaciół pewnych i kreatury swoje, a tym, jeśli nie mieli dostatecznych funduszów do utrzymania się na kosztownéj funkcyi (co się często trafiało), panowie ze swéj szkatuły obmyślali posiłki. Takowy deputat naturalnie był już ślepo posłusznym swemu protektoro-

wi; na nich insynuacye panów działały, i list instancyonalny od magnata zdaniem ich powodował. Zawsze jednak większa była liczba deputatów niezawisłych od nikogo prócz własnego sumienia; byli to ludzie, których kreski kupić nikt nie mógł, o których względy chyba starać się było potrzeba innemi sposoby.

Za mojéj bytności w Lublinie, z Kijowskiego deputatami byli: w roku 1788, Jan Hański, chorąży kijowski, który synowi zostawił do pięciu milionów majątku; w roku 1789, Jan Ignacy Trypolski stolnik owrócki mający do siedémdziesięciu tysięcy intraty; w roku 1790 pan Jerlicz półkownik, po którego śmierci wkrótce zaszłéj, córka wzięła około półtora miliona; nakoniec w roku 1791 Filip Nereusz Olizar, podczaszy litewski, który zarazem był marszałkiem trybunału. Takich to mieliśmy deputatów z Kijowskiego; możnaż było pomyśléć nawet o przekupieniu takich ludzi, choćby największą ceną? szli oni za sprawiedliwością, czasem za popędem przyjaźni, ale nigdy za interesem własnym. Inne województwa wybiérały po większéj części możnych także obywateli, których położenie towarzyskie było rękojmią cha-

rakteru; bywali i ubożsi co szli za wolą swoich protektorów, ale to były wyjątki.

Opinia, straszniejsza jeszcze od samego trybunału, zmuszała iść drogą prawą; młodzież była straszną policyą na deputatów, razem sądem i narzędziem kary. Był jeden taki przypadek za mojéj bytności w Lublinie, że deputat od strony wziął pięćset dukatów, a już w czasie ustępu wszyscy o tém wiedzieli: wychodzącego z ratusza winowajcę młodzież otoczyła zaraz, obstąpiła, okryła szyderstwem i wstydem, wszystkie miejsca, na których przylepiano afisze, pełne były paskwilów; nie było sposobu, biédak w nocy z miasta uciekł, i więcéj do Lublina nie powrócił. Dziś to rzecz tak pospolita, że nikt i głowy nie podniesie, kiedy mu wskażą kogoś co wziął pieniądze; obyliśmy się z tém i nie czujemy sromoty, honor zawisł nie żeby nie brać, ale żeby wziąwszy sumiennie spełnić co się przyrzekło. Przywykli wszyscy targować się, sprzedawać i kupczyć i jak w handlu byle się towar oddał, śmiało w oczy patrzą.

W trybunale lubelskim, choćby największa i najzawilsza była sprawa, dekret lub przynajmniéj

sentencya musiała być *in triduo*, to jest najdaléj trzeciego dnia ogłoszoną; nie było czasu na fakcye, intrygi, chodzenia, starania, protekcye i przekupstwa.

Trybunał limitował się z wielką okazałością: dwudziestego piérwszego grudnia, na święty Tomasz, odnoszono z processyą i assystencyą wojskową całego regimentu trzymającego straż przy trybunale, obraz Najświętszéj Panny Niepokalanego Poczęcia z kaplicy trybunalskiéj do kościoła Trynitarskiego, i tam składano w kongregacyi sodaliskiéj wraz z krzyżem; marszałek składał laskę i oddawał ją do przeznaczonego na to skarbcu pod dozór sądu ziemskiego lubelskiego, jak się wyżéj rzekło trybunałowi assystującego, wraz z ową srébrną szkatułą.

W czasie mojéj bytności, sędzią był Koźmian, kawaler orła białego i Ś. Stanisława, podsędkiem Trzciński, pisarzem Janiszewski, oba kawalerowie Ś. Stanisława. Za laski Olizara trybunał był bardzo świetny, ale ostatni wedle tego porządku. Sejm konstytucyjny zrobił był doskonałą reformę trybunału: miasto jednego, miano po dwóch deputatów obierać z województwa, Wielkopolanie

do Piotrkowa osóbno, a Mało-polskie województwa do Lublina. Deputaci mieli zasiadać przez rok cały. Każdy z tych trybunałów dzielił się na dwa departamenta, które co miesiąc obierały z między zasiadających prezydującego i osoby do każdego departamentu, większością głosów. Na sejmikach w lutym 1792 roku, wybrane już były na skutek tego prawa osoby i reassumowały trybunał; ale burza Targowicka wszystko to wywróciła, i dawny porządek, czy nieład, znowu zaprowadzić usiłowała. Dziś po pięćdziesięciu leciech, wspomnienie tylko zostało tej wielkiéj magistratury, i form z jakiemi się wymierzała sprawiedliwość.

Powróciwszy z Krakowa, i uspokoiwszy interessa w Lublinie, przez samą ciekawość widzenia tego sejmu, o którym wszystkie dzienniki, listy i ludzie tyle głosili, w listopadzie ruszyłem do Warszawy.



XXVII.

Sejm 1788 roku.

W początku jeszcze 1788 roku, cały prawie naród jak iskrą elektryczną wzruszony, poczuł gwałtowną potrzebę reformy rządu, aukcyi i uregulowania wojska, restaurowania praw dawnych zabytych lub przeistoczonych praktyką, poprawy tych, które potrzebie czasu nie odpowiadały, zrównania się porządkiem i cywilizacyą z państwami ościennemi.

Pisma poważne i ulotne, peryodyczne i okolicznościowe, myśl tę i uczucie rozprzestrzeniły i zaszczepiły w całym kraju. Był to rok właśnie, w którym z kolei sejm przypadał; nadeszły sej-

miki poselskie, na których posłów obiérać miano. Nie wiém co się działo w innych prowincyach Wielko i Małopolskich, w naszych zaś województwach natłok wybiérających i mnogość kandydatów przedstawujących się do wyboru, były nadzwyczajne. Przed sejmikami jeszcze, Szczęsny Potocki złożył dostojność senatora (był wojewodą ruskim), ażeby mógł być posłem wybrany; prawo bowiem ani senatorowi, ani ministrowi niedozwalało być posłem i marszałkiem sejmowym; godność ta była wyłącznym udziałem stanu rycerskiego. Zdaje się, że pan Szczęsny aspirował do urzędu marszałka sejmowego, bo gdyby wprost tylko udział czynny chciał mieć w sejmie, jako senator lepiéj i skuteczniéj mógł tego dokazać.

Dobra jego, a raczéj stolica i rezydencya, Tulczyn, leżały naówczas w województwie Bracławskiém, z niego więc zapragnął być wybrany posłem i naturalnie nim został. Prawo i zwyczaj odwieczny nadały szlachcie moc opatrywania posłów instrukcyami z sejmików; województwo Bracławskie odznaczyło się niemi. Zawierały one żądanie o aukcyą wojsk Rzeczypospolitéj, o ścisłe przymierze z silnemi mocarstwy europejskiemi,

reformę rządu co do praw kardynalnych i przewodów sądowych, najszczególniéj o podniesienie miast przez emancypowanie, i nadanie im większych prerogatyw wolności handlu. Usilnie w nich także nalegano, ażeby prawo zawarowało osobiste i majątkowe bezpieczeństwo wieśniaków, wyłączając ich z pod zbytecznéj władzy dziedziców. Ostatni punkt instrukcyi nie mógł się podobać naówczas szlachcie troskliwéj o swe odwieczne prerogatywy; ale Potocki usilném staraniem, a może i forsą pieniężną, wymógł go na obywatelach województwa Bracławskiego. Mówią, że to był pomysł piérwszy i natchnienie owego poety, filozofa i liberalisty Trembeckiego, którego rozum i serce szanował Potocki i głosu ich przywykł był słuchać. Pan Szczęsny na tych sejmikach obficie karmiąc, suto pojąc i najrozrzutniéj, jak mówiono, sypiąc złotem, dopiął czego pożądał, i opatrzony elekcyą i instrukcyą, dworno, ludno, z assystencyą ogromną, wziąwszy na swe utrzymanie kilku posłów ruskich, wyruszył do Warszawy, pośpieszając, aby mieć czas dobijania się o marszałkowstwo sejmowe. Miał on swe zasługi w kraju; jeszcze w roku 1784 w Grodnie

na sejmie darował był Rzeczypospolitéj rejment pieszy, i obowiązał się na zawsze lenung wypłacać i obmundurowywać go, dał także dwadzieścia cztéry armaty dwunasto-funtowe z końmi, z ludźmi i lenungiem na rok z góry opłaconym. Dary takie, które monarcha tylko robić był w stanie, sejm był przyjął z wdzięcznością, regimentowi nadał imie regimentu imienia Potockich, zawarował, że szefostwo pułku zawsze pozostanie w familii, a to zyskało mu imie patryoty i przychylność wielkiéj części narodu. Regiment miał kontusze granatowe z seledynowemi kołnierzami i łapkami, guziki żółte, zupany białe, tych samych kolorów był i mundur przyjacielski Potockich, który wielka część szlachty ruskiéj wdziała, przez wdzięczność za te dary pana Szczęsnego.

Potocki przybywszy do Warszawy, trafił już na uformowany związek Małachowskich, Radziwiłłów, do których przystąpiły i inne świetne i możne familie, a na czele ich Ignacy i Stanisław Potoccy, Kołłątaj, Tadeusz Czacki starosta nowogródzki i Michał poseł czernichowski, wszyscy ludzie wielkiego światła, głębokiego rozumu i dyplomatycznych zdolności niepospolitych. Szczęsny Po-

tocki miał fortunę ogromną, dary od natury wielkie; ale ci co mu stawili czoło, pojedyńczo każdy, wyżsi byli od niego talentami, łatwo więc było przewidzieć ich przewagę, która się wkrótce okazała jawnie. Otworzył się sejm, przystąpiono do wyboru marszałków. Z Korony, Szczęsny Potocki ze Stanisławem Małachowskim refe-rendarzem koronnym, niby dla zwyczaju za kandydata na przypadek w assystencyi mu poddanym, w skutku przekréskował go o wielką większość głosów, czego się Potocki nigdy spodziewać nawet nie mógł, ani przypuścić. Nie zraził się tém jeszcze pan Szczęsny, czy dyssymulując czy szczérze pragnąc tylko dobra kraju, nie zważając na to, po sessyi zaraz pojechał do Małachowskiego i powinszował mu pamiętnemi słowy greka: że szczęśliwy jest, widząc więcéj mężów godnych i na zaufanie współ-obywateli zasługujących.

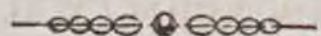
Z Litwy wybrany został Kazimierz Nestor Sapieha, jenerał artylleryi litewskiéj, na marszałka sejmowego; syn księżnéj wojewodzinéj mścisławskiéj, blizko z Branickim hetmanem spokrewniony.

Zastałem już w Warszawie sejm ten sławny w dziejach naszych, konfederacyjnym nazwany dla tego, że zwyczajne, ordynaryjne tylko jednogłośnie *(unanimitate)* stanowiły, a nieszczęśliwe *Liberum Veto* dozwalało je jednemu źle natchnionemu zerwać i oprzéć się ogółowi, co nieraz za Sasów miało miejsce, gdy sejm pod konfederacyą większością głosów *(pluralitate)* decydował. Oprócz senatorów, posłów, ministrów, urzędników, napływ arbitrów do stolicy był niesłychany, przynajmniéj dwódziesta część szlachty przybyła; sejm rozpoczął się pod błogiemi godłami jedności i pragnienia dobra powszechnego, ale zarazem trochę burzliwie i nieoględnie względem przeważnego ościennego mocarstwa. Zrzucono gwarancyą, zniszczono Radę nieustającą, zapotrzebowano ewakuacyi obcych wojsk z kraju i postanowiono powiększenie siły zbrojnéj do stu tysięcy. Potocki jeden radził więcéj umiarkowania względem Rossyi, chciał modyfikacyi w postanowieniach, aby nierozjątrzano niepotrzebnie, ale go w tém nieusłuchano wcale. Pomimo to, nie tylko że wówczas kredytu nie tracił, ale zdawał się go jeszcze umacniać; przy każdéj materyi, która

ofiar dla dobra powszechnego wymagała, był zawsze z gorącą afirmatywą, i w deklaracyach i w kréskowaniu, gdy wtém zaczęły się formować dwa stronnictwa przeciwne. Piérwsze z nich, które późniéj nazwę patryotów otrzymało, przeważne miało wpływy; do niego wchodzili Małachowski, Stanisław i Ignacy Potoccy; drugie Szczęsnego Potockiego, do którego przyłączył się hetman Branicki w téj chwili pragnący wszelkiemi sposoby pozyskać popularność i wziętość, przywdziewając strój dawny, i po staremu bankietując ze szlachtą, pociągnęło ku sobie wkrótce Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, Kossakowskich, Czetwertyńskich, a na czele ich Antoniego kasztelana przemyslskiego, człowieka z wymową i nauką, Ankwicza kasztelana sandeckiego, niepospolicie udarowanego, ale jak poprzedzający niemającego popularności i nielubionego od ogółu. Stronnictwo to konserwacyjne, w początku stojące tylko przy dawnych formach i mające niejakie nadzieje pozyskania sympatyi u tych, którzy głębiéj nie wchodząc w rozpoznanie następstw, starego trzymać się bezpieczniejszém sądzili— przez partyą patryotyczną poniżaném być zaczęło;

związkowych okryto paskwilami, a chociaż osobiście nie dotykano jeszcze Szczęsnego, te race kongrewskie już i u nóg jego padały. Daléj a daléj, coraz większa przepaść poczęła stronnictwa oddzielać; przyszło do tego, że wielką ilość kołnierzów i łapek odprutych od przyjacielskich mundurów, powieszano na bramie pałacu, w którym stał Szczęsny Potocki. To dotkliwie go ubodło: człowiek wyniosły, ufny w swój ród i wielkie dostatki, przywykły do panowania i przewagi, nie mógł znieść obelgi, która go do ostateczności i wyboru drogi nowéj skłoniła.

Zabawiwszy parę tylko tygodni w Warszawie, i zaledwie mając czas rzucić okiem na gotujące się zmiany, które już poniekąd przeczuwali wszyscy— wyjechać musiałem na kontrakty do Dubna.



XXVIII.

Książe Karol Radziwiłł, wojewoda wileński.

W roku 1789 w Warszawie, na świętą Katarzynę, w dzień koronacyi Stanisława Augusta, a na pamiątkę unii Litwy z Koroną, książe Karol Radziwiłł, w imieniu braci Litwinów dawał wielką fetę dla Korony.

Ta uczta, przez którą dawno zjednoczone plemiona podawały sobie ręce do ściślejszego związku, zasługuje na monarchicznéj i zarazem narodowéj nazwisko. Skupiło się na nią co żyło w Warszawie, cztéry tysiące biletów do wnijścia rozdanych było, posłowie wszyscy mieli ich po cztéry, z łatwością i ja dostałem.

Pałac Radziwiłłowski był jednym z największych i najwspanialszych gmachów w Warszawie; wjeżdżając w dziedziniec zdawał się płonąć cały od ogniów, tak go bogato, symetrycznie i gustownie oświecono wszędzie; galerye i wschody wszystkie były pąsowym suknem wybite. W pałacu tym dawniéj bywały reduty i teatr; oprócz sal, które one zajmowały, otwarto ogromną liczbę pokojów dla gości, przy każdych drzwiach zacząwszy od galeryi, stali po dwóch pajucy Radziwiłłowscy w barwie księcia.

Trzy ogromne sale redutowe złączono w jedną amfiladę, w nich był stół tak długi, że z jednego końca jego na drugi fizyognomii nie podobna było rozpoznać; cztéry obok obszérne sale zastawione były także stołami, w piątym przy ogromnym krągłym stole, może cztérdzieści łokci obwodu mającym, siedział król, księżna Kurlandzka panująca (Biron) i dwadzieścia dwie damy z piérwszych domów lub do familii królewskiéj należące. W środku tego stołu było wysokie ubranie porcelanowe, wystawujące zdobycie Gibraltaru, jedno z najpiękniejszych dzieł fabryki Saskiéj w Meissen; sztucce, talerze, półmiski, na których poda-

wano wszystko złote. W trzech połączonych salach, na tym stole niemającym końca, zastawione były najpiękniejsze srébra augsburskiéj roboty, zwanéj filgranową; tuż obok pod dwóma ścianami, równie długie kredensowe stoły także zawalone były srébrami; wannami ogromnemi na butelki, puharami, naczyniami odwiecznemi, których kształty wskazywały odległą starożytność i przypominały Olgierdowskie czasy, tacami, talerzami, sztuccami, których być musiało kilkaset tuzinów, kandelabrami i świecznikami różnego rodzaju i t. p. Żyrandole, i lichtarze porozstawiane i porozwieszane wszędzie, mieściły pewnie jakie dwa tysiące świéc w sobie. Oprócz salonu królewskiego, trzy jeszcze jak on stosami srébr były zajęte i rzęsisto illuminowane; wspaniałości téj i przepychu opisać trudno.

Cały gmach na tę uroczystość ociągniony był obiciami nowemi z materyj adamaszkowych, z galonami i frędzlami złotemi; wszędzie krzesła i siedzenia garniturowe i do ścian zastosowane. Tańcowano w gmachu, w którym bywał teatr: król z księżną Kurlandzką, naówczas bawiącą w Warszawie z wielkim przepychem, otwiérał bal.

W dziesięciu może bocznych pokojach, w których przygotowano stoliki do kart, grano w gry różne.

Gdy dano do stołu, ruszyły się massy ludzi z sal, w których tańcowano i przyległych pokoi do jadalnych; wchodziliśmy jak do zaczarowanego miejsca jakiego, kto dopadł szczęśliwie krzesła, ten usiadł, ale więcéj niż trzecia część gości posilała się przy bocznych stolikach stojąc. Ja byłem w tym zgiełku, wygodniéj mogłem widzieć wszystko; krokiem się nie można było ruszyć, żeby nie spotkać półmiska i poczciwego litwina zapraszającego doń gorąco. Byłem i w salonie, w którym król wieczerzał: kolacya zaczęła się od ostryg, które umyślnie z Hamburga pocztą na kilku brykach sprowadzono; kilkaset półmisków wyjść ich pewnie musiało. Z kilku znajomemi z młodzieży przysiedliśmy się nareście, obfitość była niezmierna, ledwie jeden znikł drugi półmisek się rodził, nienaliczyć ileset butelek szampańskiego wina wypito, oprócz tego roznoszono tacami stare w różnych rodzajach. Na bokowych stołach stały głowy dzicze, udźce całkowite sarnie, zwierzyny, szynki, ryby na zimno...

Nakoniec podano desert i w mgnieniu oka znikły wszystkie srébra ze stołów, za któremi wniesiono naczynia desertowe, rozstawiając ich wszędzie niezliczone mnóstwo.

Książe Radziwiłł chodził po wszystkich salonach, po wszystkich grupach, gdzie jedli i pili, jedną tylko piosnkę powtarzając:

—Panie kochanku, nie jecie, nie pijecie! nie łaskawi!

Odpowiadano jednogłośnie:

—Zdrowie księcia pana!—i wychylano kielichy.

Wieczerza pewnie trzy godziny trwać musiała; usługa przy niéj nadzwyczaj liczna i bardzo dobra, wszystka była w barwie książęcéj, pokojowce w żółtych atłasowych żupanach, kontusze niebieskie ze złotemi grubemi sznurami, pasy lite Słuckie jednakowe, pałasze przy boku z furdymentami, czapki i rękawice łosiowe za pasem. Drugi oddział hajduki, pajuki i lokaje, w tychże kolorach, ze strzyżonemi jedwabnemi burtami. Wszystkie srébra i naczynia z herbami Radziwiłłowskiemi.

Mówiono powszechnie, że ta uczta przeszło dwa miliony złotych kosztowała, i bardzo temu wie-

rzyć łatwo, kto ją widział; ostatni to raz podobno zabawiał się w ten sposób magnat ów litewski, bo wkrótce potém życie zakończył.

Był to w Litwie i Polsce najmożniejszy pan, pochodzący wedle ich genealogii od panujących dawnych na Litwie rodzin, spokrewniony przez Jagiellonów ze wszystkiemi rodami królewskiemi, w całéj niemal Europie, a w kraju z najznakomitszemi familiami starożytnemi. Książe Karol był wzrostu mniéj niż miernego, dosyć otyły, nosił się po polsku, najczęściéj w mundurze województwa Wileńskiego, któremu przewodniczył na senatorskiém krześle; kuntusz granatowy, żupan i wyłogi karmazynowe, guziki złote, pałasz z furdymentem u boku, czasem karabela w złoto oprawna osypana wielkiemi brylantami, rękawice łosiowe za pasem, na głowie czapka karmazynowa i wąsy zawiesiste, czupryna podgolona, na ciemieniu gulkę widać było jak orzech laskowy. Tak się nosił książe wojewoda, i on i wszyscy jego Litwini mieli suknie porobione do zbytku obszernie, buchasto i zamaszysto, tak, że odzież się na nich zwijała; widać to był stary ich zwyczaj. Do teatru, na spacer, do ogrodów prawie

zawsze piechotą chadzał, ale za nim taki tłum assystentów z obywateli litewskich i koronnych, że na ulicy przecisnąć się było trudno. Gdy jechał na audyencyą do zamku, do Łazienek lub na sessyą sejmową, jeden już był przed Izbą, gdy drugi koniec szeregu powozów jeszcze stał na dziedzińcu pałacowym. Na teatrze nigdy w loży nie bywał, a że naówczas krzeseł jak dziś oddzielnych nie znano, zawsze więc mieścił się na parterze, który wówczas cały zakupował dla siebie. Wtenczas idąc na teatr, kogokolwiek ze znajomą mniéj więcéj fizycgnomią napotkał, choć nawet nie wiedział jak się zowie, ciągnął z sobą.

— Panie kochanku, proszę na teatr, pójdź waść ze mną.

Mało już dziś ludzi, którzyby go znali i widzieli, zdało mi się więc stosownèm i te szczegóły pomieścić, które są rysami do obrazu jednéj z najoryginalniejszych postaci tamtéj epoki.

Książe Karol Radziwiłł z zapałem przywiązany był do kraju i gotów mu był wszystko poświęcić, czego dał dowody w konfederacyi Barskiéj, w czasie któréj przekonany, że dla dobra powszechnego pracował, i osobę swoją stawił i kilkadzie-

siąt milionów uronił. Lubił wszystko co nasze, zwyczaje stare, aż do stroju, który do śmierci nosił wedle mody litewskiéj; zachowywał co tylko długim wieków nałogiem uświęconém zostało, wstręt mając do nowości i odmian. Na przykład tylko tu jednę okoliczność przytoczę.

Miał on zwyczaj synów obywateli lub swoich klientów, a kto w Litwie nie był klientem Radziwiłłowskim?— szlacheckie dzieci, a nawet ludzi innych stanów, gdy się w nich tylko talent odkrył, wysyłać za granicę dla ukształcenia i usposobienia. Było takich nie mało, którzy kosztem jego wysyłani, zostali późniéj użytecznymi dla kraju obywatelami; ile razy się trafiło, że taki wojażer powracał do Nieświéża i zameldowano o nim księciu, zaraz obróciwszy się do swoich dworzan, wołał:

—Panie kochanku, pójdź-no zobacz czy z kosą? (haarbeutel), czy w pludrach? (to jest przebrany z francuzka po niemiecku), bo pod suknią szwabską serce litewskie bić nie może, a jak świat światem, polak niemcowi nie będzie bratem...

Wiedział i rozumiał to dobrze książe, że byłoby może śmiésznością za granicą artyście, podró-

żnemu uczniowi ukazywać się w kontuszu, boby go palcami wytykano, ale powróciwszy do domu i mając się księciu wojewodzie przedstawić, potrzeba było koniecznie wziąć żupan i kontusz buchasty, głowę wygolić, szablę z furdymentem przypasać, i łosie rękawice za pas zatknąć; bez tego nic, wyprawionoby z kwitkiem z Nieświéża.

Obwiniano księcia, że często miał zwyczaj rozpoczynać rozmowy dziwaczne, kłamiąc bez miłosierdzia o swoich jakichś niebywałych przygodach po świecie, aleć to była krotochwila i zabawka, którą się sobie rozrywał. Opowiadał naprzykład, jak służył za kuchtę u pana Gałeckiego, za którym codzień piechotą na polowanie chodzić musiał; to znowu jak walczył przy zdobyciu Gibraltaru, gdzie na wał skoczył na półowie konia tylko, gdyż tył rumaka kula armatnia urwała.— Wszak prawda? odzywał się świadcząc panem Borowskim lub Wołodkowiczem.— Być może mości książe, alem ja tego widziéć nie mógł, bo już wówczas byłem zabity.— To znowu opisywał dostanie się swoje po sznurze do nieba, widzenie z P. Jezusem i N. Panną i t. p. Więcéj w tém było fantazyi niż dowcipu, ale i tego nie

brakło, i choć ludzie powierzchowni z tych fraszek o rozumie księcia niekorzystnie sądzili, o ile ja zdaleka wnosić mogę, żarcikami temi pokrywał tylko umysł poważniejszy. Książe po powrócie z wyprawy na konfederacyą Barską z wojskiem siedmiotysiączném, które przez lat dwa na żołdzie swym utrzymywał, potrzebował, jako malkontent pokrywką żartobliwą osłonić głęboki żal i rozerwać niczém niezajęte życie.

Nie lubiąc ani Stanisława Augusta, ani dworu jego, ani francuzczyzny, którą pod pozorem cywilizacyi wprowadzono, unikał spotykania z niemi, przejeżdżał się ze swoim dworem i klientami z dóbr do dóbr polując, pijąc, żartując byle czas ubić, z którym niewiedziéć co robić było. Nawykł do towarzystwa ludzi sobie wyłącznie oddanych, zasklepił się w swéj dumie, z któréj tylko potrzebując wynijść, ukazywał się w tych żartach gminnych, mając w nich więcéj swobody, niż w poważniejszém obejściu. To stanowisko wśród nierównych, nie poniżając go, dawało mu towarzyszów; z kuchtą pana Gałeckiego, z mężem Syreny i ojcem milionów śledzi, łatwiéj było poufale mówić niż z księciem wojewodą.

Otoczony ludźmi, których albo wywiódł z nicości, albo niewiele sobie cenił, czując się wedle wyobrażeń wieku urodzeniem wyższym od wszystkiego, co go otaczało i zbliżało się do niego— nie potrzebował dla nich ani dobierać wyrazów, ani się silić na koncepta, prawił co ślina do ust przyniosła; chorował z nudy czasem na Neronowskie i Heliogabalowskie fantazye, wojował z fantastycznemi nieprzyjaciołami, szalał, dokazywał lub kłamał probując do jakiego też stopnia dworacy posuną posłuszną uległość, poklaskując najdziwaczniejszym marzeniom. Powoli, przywykł do tych poematów które sobie tworzył, które powtarzał, które wreszcie jakąś całość niby stanowiły. W igraszkach lwich było czasem znać lwie pazury, ale często i królewską lwa wspaniałość.

Mnóstwo byśmy mogli przywieść przykładów rodzin dźwigniętych przez niego, ludzi dobroczynnością jego podniesionych, wychowanych, wyposażonych, lub za żarcik jakiś chwilowy wynagrodzonych sowicie.

Skończę anegdotką prawdziwą z życia jego, która mi się zdaje autentyczną, bom ją na razie słyszał. Jaszewicz, kupiec w Warszawie, założył

magazyn angielski, który w wielkiéj był renomie; sprowadził różnego rodzaju towary niewidziane jeszcze u nas, a że nowość popłaca, tłumy szły do sklepu żeby go oglądać. Książe dowiedział się o tém także, i popłynął za falą odwiedzających; podobało mu się dosyć wszystko, choć tylko rzutem oka, nie wchodząc w szczegóły opatrzył... przeszedł się po magazynie z assystencyą, zakreślił trzciną po półkach, i rzekł: Póty moje, upakować i odesłać. Jaszewicz, który znał księcia fantazye i rad był z nich skorzystać, przystąpił do niego i wskazując na kosz z butelkami:

—Świéże piwo angielskie w Londynie butelkowane, mości książe.

—Każ, panie kochanku, dać na próbę, żeby każdy skosztował. Dobyto i jak zaczęli kosztować wszyscy co byli w sklepie, ze dwieście butelek wykosztowali; książe także wziął do ust.

—Niezłe, rzekł, a wiele tam tego masz?

—Cztéry tysiące butelek...

—Upakuj i to, zda się dla Radziwiłła.

Pomimo szafowania fortuną, strat bez liku i obficie świadczonych darów, gdy po śmierci jego

książe Michał Radziwiłł wojewoda wileński objął dobra w swoję administracyą jako opiekun, pokazało się intraty pięć miljonów kilkakroć sto tysięcy, a gospodarstwa i przemysłu pewnie tam wiele nie było; szły wioski krociowe po cztéry, pięć tysięcy w dzierżawy, marnowało się strasznie; z tego wnieść łatwo jaka to być musiała Radziwiłłowska owa fortuna.



XXIX.

Reakcya.

Wyjechałem razem z panem wojewodą na kontrakta Dubieńskie: on wprost z Młynowa zwrócił się do Łabunia, a ja do Dubna. Tu zastałem już sędziego Bukara z synem Marcinem i u niego mieszkanie zająłem; nadjechał wkrótce mój stryj, i na samym wstępie wyliczył mi pensyą moją. Oba ci opiekunowie moi z największą się ze mną obchodzili dobrocią i łaskawością. Interesa pana wojewody, które sobie polecone miałem, szczęśliwie się bardzo złożyły, a ja też zewsząd pensyjki moje pościągałem, dosyć, że się mi dobrze powiodło. Tu miejsce nieco obszerniéj o tych kontraktach napomknąć.

Książe Potemkin, bohater rossyjski, owego czasu wielkiego znaczenia i potęgi człowiek, który dowodził armiją rossyjską w wojnie przeciwko Turkóm i sławne owe a ciężkie oblężenie Oczakowa wśród zimy, mrozów i śniegów nawalnych, (od których zimy u nas dotąd Oczakowskiemi zowią), prowadził— kupił był właśnie u księcia Ksawerego Lubomirskiego ogromne dobra Ukraińskie Smilańszczyznę, za dwadzieścia przeszło miljonów złotych polskich.

W skutek tego, przywieziono na kontrakty dwa miljony rubli srébrnych nowego stępla, które jeszcze w rękach żydowskich nie były, i karbów na obrączkach nie utraciły. Ten nagły napływ pieniędzy zrobił reakcyą niespodzianą na cenę pańszczyzny i taxę procentów, kiedy w czasie kontraktów 1787 i 1788 roku, cena pańszczyzny była po groszy piętnaście, żyto najwięcéj po złotych dwa, procent po osiém i dziesięć od sta, na tych kontraktach cena pańszczyzny doszła do złotych dwóch, procenta spadły na pięć a najwięcéj sześć od sta, i wszystko stosunkowo. Przyczyniły się do tego i niezmierne podrady dla trzechkroćstutysięcznéj armii rossyjskiéj nad Du-

najem stojącéj, które książe Potemkin w naszych prowincyach chciał mieć zakupione, tak, że żyto doszło do trzydziestu złotych, owies do rubli dwóch, w przeciągu pary tygodni. W Smilańszczyźnie nic w dzierżawę nie puszczono; ogromne toki ukraińskie wypróżnione zostały, i to jest właśnie pamiętna chwila w któréj posessorowie i drobna, po większéj części służbista w dobrach panów, szlachta, kamień założyła węgielny tych ogromnych majątków, których się późniéj dorobiła.

Z tych kontraktów pojechałem prosto na Ruś do Łabunia, i podług zwyczaju wojewody objeżdżaliśmy koleją domy znajome, oddając wizyty.

Na S. Józef, imieniny pana Stempkowskiego obchodzone były po dawnemu wspaniale; przyjechali na nie ks. Smogorzewski metropolita, sędzia Bukar i mnóstwo gości. Na tym to zjeździe stanęła decyzya aby ks. Smogorzewski starał się na sejmie być umieszczonym między biskupami rzymsko-katolickiemi; w skutek tego układu, po różnych poprawach i zmianach, stanął memoryał do króla i marszałków sejmowych. W kilka dni wyprawio-

no mnie z tym projektem do Warszawy, dla złożenia go królowi i PP. marszałkom. Mieli zaraz za mną wyjeżdżać do Warszawy i ks. metropolita i P. Stempkowski, prócz tego miałem od P. wojewody list do króla, proszący o opiekę nad interessami jego w trybunale lubelskim.

Byłem tedy po raz drugi przedstawiony królowi, oddając mu ów memoryał, równie jak i marszałkom sejmowym. Monarcha raczył mi dać osobne posłuchanie w gabinecie swoim dla interessów Stempkowskiego. Niepodobna wyrazić, z jaką troskliwością wypytywał o stan jego majątkowy, o sprawy jakie miał w trybunale: widać w tém było uczucie, które wzbudza prawdziwa przychylność, zajęcie szczére i serdeczne. Na wyjezdném wydano mi z kancelaryi królewskiéj do marszałka trybunału, którym był Kicki, koniuszy wielki koronny i do prezydenta księdza Lipskiego, crucifera prymasa, listy polecające. Zaczęły się robić operacye tyczące interesu ks. metropolity Smogorzewskiego. Sejm tym czasem ciągnął się zawsze z tym-że samym duchem i zapałem, ale coraz jawniéj rysowały się już stronnictwa prze-

ciwne, Rossyjskie i Pruskie. Drugie działało widoczniéj, czynniéj, i zdawało się wszystkim, że w niém zbawienie kraju: patryoci skłaniali się ku Luchesiniemu. Po uchwaleniu aukcyi wojska, etatu dla niego nie było dotąd; krzyczeli prawie wszyscy: potrzeba nałożyć podatki na utrzymanie wojska, pomnożyć dochody,—ale żaden projekt nie mógł przyjść do skutku. Roztrząsania, deliberacye, zabierały prawie wszystkie posiedzenia, a w jakikolwiek sposób obmyślono podatek, gdy przyszło do wotowania nigdy się utrzymać nie mógł. Republikanie prawdziwi naglili, krzyczeli, pisali, dowodząc potrzeby podatków, ale ogół kurczył się obawiając na nie pozwolić; nakoniec po wielkich trudach, uchwalono dziesiąty grosz z dóbr świeckich a z królewszczyzn i duchownych dwódziesty, naznaczono po województwach komissye lustracyjne do ustanowienia i realizacyi takowego podatku, i sejm mianował komissarzy.

Książe Ptemkin, który w roku jeszcze 1775 dostał z wielu innymi generałami rossyjskiemi indygenat i szlachectwo polskie, teraz się naturalizował, i już jako obywatel ofiarował dwanaście armat nowych z herbami polskiemi, uprzężą, ludźmi

i żołdem opłacanym ze Smilańszczyzny. Stany przyjęły tę ofiarę (*).

(*) Wydawca tych pamiętników ma autograf, list ks. Potemkina, pisany w czasie cztéroletniego sejmu do marszałka ks. Sapiehy przed kupnem Smilańszczyzny, w którym ks. Potemkim prosi o przedłużenie mu terminu do kupna dóbr w Polsce, dodając, że nietylko z indygenatu jest szlachcicem polskim, ale jako zrodzony z familii pochodzenia polskiego. List ten pisany po francuzku, nieco uszkodzony, ale autentyczny. (*P. R. W.*)



XXX.

Dalsze czynności sejmowe.

Powiedziało się wyżéj, że stronnictwa na sejmie coraz widoczniéj występować zaczynały; ks. Garnysz, biskup chełmski, podkanclerzy koronny, umarł; wziął po nim ten urząd w ministeryum ks. Hugo Kołłątaj, który z rektora akademii krakowskiéj i referendarza litewskiego na to stanowisko się przeniósł i zająwszy miejsce przeznaczone wielkiemu jakiemuś imieniowi, przez to się stał panom nienawistny. Na czele stronnictwa patryotyczném zwanego, z Małachowskim byli dwaj Potoccy, Ignacy, marszałek nadworny litewski, i Stanisław poseł lubelski, do nich przystąpił Koł-

łątaj. Wybrano w tém kole osoby do układania nowego prawa przeznaczone, między niemi byli oba Potoccy, Kołłątaj, Tadeusz Czacki i inni naczelni partyi, ale treść prawa mającego zmienić formę rządu Rzeczypospolitéj najściślejszą okryta była tajemnicą.

Druga jeszcze okoliczność zajmowała natenczas powszechnie i sejm i umysły; od poprzedzającego roku rozeszła się była pogłoska zaraz po ewakuacyi wojsk rossyjskich, że chłopi ukraińscy sposobią się znowu do buntów, na wzór pamiętnéj owéj rzezi Humańskiéj w r. 1768. Wiadomość ta niewiedzieć zkąd wyczerpnięta, od postrachu ogólnego, nabierać się zdawała coraz autentyczniejszego charakteru; obawiano się, aby mocarstwo sąsiednie nie wzięło w opiekę nowéj hajdamaczyzny i szukano na to dowodów. Szczególniéj zwrócono baczność nawet na duchowieństwo unickie, które nic złego nie myślało, ale z tego powodu ucierpiało bardzo wiele: aresztowano, pod nie wiem jakim pozorem, archiereja w Słucku, pochwytano ihumenów po klasztorach w Polsce z ich papierami, brano przejeżdżających księży, i to wszystko odsyłano do Warszawy. Archiereja, Sadkowskiego, protojereja Ostrowskiego

i kilku innych osadzono w pałacu Krasińskich, resztę zaś w prochowni. Wyznaczono delegacyą dla rozpatrzenia tego processu, przez co on nabywał jeszcze większego znaczenia, a rzecz sama ważności; wreszcie wieść się rozeszła, że schwytano kilkadziesiąt powózek piliponskich z beczkami pełnemi nożów zastraszającego kształtu; formy tych narzędzi z jakiemiś niby hakami do wyrywania wnętrzności (!) i zębami srogie mającemi zadawać męczarnie, wystrzygano z papieru w Warszawie, roznoszono, rozsyłano... Damy na widok ich omdlewały, a panowie w imie przysłowia, że na frasunek dobry trunek, popijali węgrzynem. Wieleż to ja sam tych papierowych, strasznych nożów na prowincyą posłałem! Nikt jednak ani w stolicy, ani na wsi pochwalić się nie mógł, żeby podobny instrument widział z żelaza wykuty. W Litwie opowiadano o nich, jakoby się znalazły na granicach województwa Kijowskiego, a w Polsce, że na krańcach Litwy, w Kijowskiém zaś, strach nie dozwalał dośledzać zkąd to wyszło.

XXXI.

Milicya Kijowska.

Z powodu wyżéj wyrażonych pogłosek, obywatele rozległego naówczas województwa Kijowskiego, zebrali się do stolicy swéj Żytomierza, i pod prezydencyą chorążego kijowskiego, Hańskiego, uchwalili milicyą konną, ze szlachty w mundurach wojewódzkich, to jest niebieskich z czarném. Nie było liczby oznaczonéj; każdy dawał ile mógł i chciał, dwódziestu, dziesięciu, dwóch, jednego wedle możności. Nad tym korpusem oddano dowództwo abszytowanemu generałowi Suleżyckiemu z wolnością stanowienia (amplojowania) oficerów. Uchwałę tę wysłano zaraz do sejmu, na ręce mar-

szałków, Małachowskiego i Sapiehy, oraz do komissyi wojskowéj. Komissya od siebie przysłała trzy półki dla assekuracyi. Sejm też przyjmując uchwałę obywateli województwa Kijowskiego, milicyą przez nich erygowaną potwierdził; ale ta po tak rozgległym województwie rozrzuconą była, że nimby w razie potrzeby zgromadzić ją było podobna, cały kraj mógł paść ofiarą. Wyszły uniwersały do starostów grodowych, ażeby natychmiast wyszukiwali i sądzili w kimby najmniejszą postrzegli skłonność do buntu, i tak to gorąco wzięto, że dosyć ofiar z rąk kata niewinnie życie straciło w Żytomierzu. Chwytano za lada co, że ktoś po pijanemu pogróżkę niedorzeczną wybąknął, lub ekonomowi się naraziwszy opłacić nie umiał; ale strach ma wielkie oczy, przypomnienie rzezi jeszcze w nich dwoiło obrazy. Wołał przeciwko tym fałszywym pogłoskom, zbijając baśnie autentycznemi raportami z dóbr przychodzącemi, najlepiéj mogący o tém wiedzieć Potocki, ale na razie to niepomogło. Czas pokazał późniéj, że w tém wszystkiém nie było najmniejszéj zasady. Archieréj Sadkowski ze swoimi mnichami siedział w detencyi, a sąd sejmowy czy co czynił, czy nie,

pobłażał, nie doszedł lub dochodzić nie chciał, nie było wiadomo; pokryto sprawę milczeniem.

Był naówczas wypadek jeden, że mieszkających w Niewierkowie państwa Wyleżyńskich wyrznięto, i ten jeszcze dodał pogłoskom niejakiego prawdopodobieństwa, chociaż z niemi żadnego nie miał związku; dworscy lokaj i furman byli sprawcami téj zbrodni. Przy państwu dziewięć różnych osób padły ofiarą, między innemi panienka, w wigilję dnia tego z Warszawy od pani Łazarewiczowéj przywieziona. Dziewczyna służąca, kochanka lokaja, która będąc z nim w zmowie, drzwi mu do pokojów otworzyła, dla pokrycia zbrodni została także zabitą. Prędko odkryli się sprawcy; sąd grodzki Łucki zjechał na grunt, doszedł winowajców, i osądził. Skazani zostali na śmierć, z dodatkiem kary ojcobójców, opalono im ręce, ćwiertowano. Wypadek ten opowiadany zdaleka, z dodatkami jak zwykle, postrach niezmiernie rozszerzył.



XXXII.

Adam Poniński.

Inna jeszcze okoliczność przyczyniała się wielce do wzniecenia w izbie sejmującéj i całéj Warszawie największego zapału, zajmowała ona gorąco wszystkich, w stolicy i na prowincyach; było to oddanie pod sąd sejmowy księcia Adama Ponińskiego, podskarbiego koronnego, marszałka sejmu 1775 roku, któremu główną winę strat przez kraj poniesionych przyznawał głos publiczny, chociaż Poniński był tylko narzędziem i wina jego nie przechodziła grzechu tych, którzy go sądzić mieli. Posłowie, wsparci krzykiem i zapałem arbitrów, zgoła cała izba jednogłośnie na pierwszy wniosek zde-

cydowała, by Poniński był sądzony, a zarazem nakazano mu odpowiadać z więzienia. Jeszcze wyrok ten nie zapadł, a już dom jego był otoczony, on przyaresztowany, papiery zabrane, i osadzono go w pałacu Krasińskich. Tymczasem sąd sejmowy przepatrywał papiery jego i robił wywód sprawy, co kilka miesięcy trwało.

Syn Ponińskiego, Adam, widząc zastraszające położenie ojca, starał się wszelkiemi sposobami, żeby mu ucieczkę ułatwić; jakoż dokazał tego i kluczem dobranym otworzywszy celę więźnia, razem go z szyldwachem uprowadził. W czasie zmiany warty postrzeżono dopiéro, że straży nie było, a klucz, który w zamku zawiązł, wskazał, że i więzień uciekł. Uderzono natychmiast w bębny, i uwiadomiono marszałka W. koronnego, który w czasie obecności królewskiéj miał w stolicy komendę. Natychmiast rozbiegli się go ścigać po wszystkich wielkich i małych traktach, i major Choiński z półku Działyńskiego, mający z sobą cztérech żołnierzy, dognał go pod samą granicą pruską, ze złamanym powozem; aresztował jego, syna, młodego księcia Adama, i żołnierza, który razem uciekał. Księcia podskarbiego osadzono

okutego w łańcużki na prochowni, syn został także uwięziony, jakoteż oficer z gefrejterem i ludźmi pocztę naówczas trzymającemi, którzy na warcie byli. Na obwachu późniéj zostali umieszczeni wraz z dezerterem, i na osoby wojskowe kriegsrecht był wyznaczony: oficer wyszedł z wojska bez abszytu, żołnierz dezerter rozstrzelany, a gefrejter z innemi gemejnami poszli przez rózgi. Sąd sejmowy zajął się spieszniéj sprawą księcia podskarbiego i syna jego Adama, dodano patronów z mocy prawa do obrony, ale młody Poniński żadnego nie przyjął, oświadczając, że się sam bronić będzie. Postawiony przed sąd, nie rzekł więcéj nad te słowa:

— Ojca od hańby broniłem.

Ta lakoniczna ale silna obrona, wsparta w dekrecie prawami rzymskiemi, kodexem Justynjana, wyjednała mu przebaczenie zupełne, zaliczono tylko areszt za karę i przywrócono stopień półkownika.

Nie wiem jakbym ja sądził, gdyby mi taką sprawę oddano, ale zdaje mi się, że byłbym surowszym; gdyż uczucie synowskie ustąpić powinno przed obowiązkami obywatela. Z ojcem inaczéj

się stało; wiadomo wszystkim jaki dekret go spotkał; po odjęciu mu wszelkich dostojeństw, tytułów i szlachectwa, z kraju został wywołany. Sejm cały wyrok sądu swego potwierdził.

Poniński sam po dekrecie nazywał się *Mr. Tout-court;* w karecie go wieziono z zasłonionemi żaluzyami, okutego, a na ulicy taką tą fermentacyą wywołało, krzyki i rzucania kamieniami i błotem, że mu eskortę dla bezpieczeństwa musiano powiększyć. Po przeczytaniu wyroku, który został spełniony ze zwyczajnym obrzędem, znowu trzeba było od pospólstwa zebranego przed izbą zasłaniać go, a nocą dopiero z Warszawy, i późniéj za granicę wyjechał. Choiński został podpółkownikiem za pochwycenie zbiega. Piosnki i paskwile latające po mieście, dopominały się sądu i na tych co wprzód z jednéj misy jedząc z podskarbim, późniéj nań sami dekret ferowali, ale do tego nie przyszło. Sejm 1793 roku, Grodzieński, powrócił podskarbiego do wszystkich prerogatyw utraconych.



XXXIII.

Piotr Potocki.

Sejm ciągnął się daléj zawsze z tym samym zapałem i w jednym duchu, mianowano z niego posłów do mocarstw zagranicznych, zwłaszcza do państw znaczniejszych; między innymi, Piotr Potocki, starosta szczérzecki, szef pieszego regimentu swojego imienia, mąż zacny i wielką opinią mający u ogółu, mianowany został do Stambułu.

Wiadomo, że wedle starego obyczaju i etykiety dworu Wysokiéj Porty, poseł przybywający obowiązany jest złożyć znaczne dary, tak samemu Sułtanowi, jak i W. wezyrowi i innym główniej-

szym urzędnikom. Godność narodowa nie dozwala ani się z tego wyłamywać, ani zbyć lada czém.

Piotr Potocki nie był w możności sam ze swéj szkatuły darów tak znacznych przysposobić, a Rzeczpospolita niewielkie dla posłów wyznaczała salaria; magnaci więc, panowie polscy, Radziwiłłowie, szczególniéj książe Karol wojewoda wileński, Czartoryscy, Sanguszkowie, Lubomirscy i inni najmożniejsi sami się ofiarowali złożyć, aby Rzeczpospolita nie została upokorzoną. Zwieziono wówczas do Warszawy te drogocenne ofiary i od godziny dziewiątéj do drugiéj, sale zastawione darami do Stambułu przeznaczonemi, stały otworem dla ciekawych.

Byłem tam kilka razy; cóż to za przepyszny był zbiór osobliwości, świadczący o dostatkach i bogactwie dawnych magnackich domów naszych; naczyń rozmaitych srébrnych, złotych, złocistych sadzonych dyamentami i innemi drogiemi kamieniami, mnóstwo niezliczone, kulbak i rzędów złotych, kameryzowanych, ozdobnych; zegarów różnego rodzaju, szabel, materyj, wyliczyć, spamiętać niepodobna. Olśniony naówczas tą mnogością i wspaniałością, anim rozpatrzyć ani oce-

nić umiał; znawcy, jakom słyszał, szacowali dary te na sześć miljonów złotych. Wysiłek, niestety, był nadaremnym, ministeryum tureckie nie dało się ująć dla interessów naszych. Ten sam Piotr Potocki, za nowego porządku, był potém marszałkiem gubernskim kijowskim, i urzędował do śmierci z powszechném wszystkich zadowolnieniem.



XXXIV.

Adam Rzewuski.

Drugim posłem, o którym chcę jeszcze wspomnieć, był Adam Rzewuski naznaczony do Danii; ten miał zamiar odbyć swą ambasadę w stroju dawnym, narodowym i z wielką także okazałością. Mając dawną i dobrą z Rzewuskim znajomość, i życzliwie przez niego będąc widziany, prawie codzień u niego bywałem, gdy się to przygotowywało. Stał w pałacu Radziwiłłowskim, zajmując na piętrze obszerny apartament z kilku wielkich pokojów złożony; dla niego, dla dworu całego i assystencyi robiono pospiesznie ubrania jak najwykwintniejsze; haftarze, szmuklerze, kuśnierze,

nawet jubilerowie pod okiem jego nieustannie pracowali. Zwożono portrety z XV, XVI i XVII wieku, z których brano formy na suknie; największa część była z lam, złotogłowów, axamitów, atłasłów, wyszywanych złotem, srébrem i jedwabiami; posprowadzano stare kulbaki, pałasze, rzędy, klejnoty i co tylko należeć mogło do dawnego stroju. Sukni najparadniejszych było garniturów cztéry, nie licząc kilkunastu pośledniejszych składających się z żupanów z lyońskich materyj, atłasów weneckich, i kontuszów sukiennych, takąż jak żupany materyą podszywanych. Do każdéj pary sukień stosowny był pas perski lub turecki, najwięcéj jednak bardzo bogatych i smakownych krajowych, które w Słucku wyrabiano.

Pamiętam, że jedna z tych materyj, lyońska, na pąsowym dnie w pasy, bardzo mi się podobała: dowiedziałem się, że była od Jaszewicza i znalazłszy u niego jeszcze szesnaście łokci, wziąłem je dla siebie, kosztowały po dwadzieścia pięć złotych. Mogło to wystarczyć na żupan i podszycie rękawów i poł do kontusza, ale to mi przepadło. Jakoś na razie robić nie było potrzeby, bom miał dosyć, leżało to do mojego ożenienia w sztuce, da-

rowałem późniéj żonie na szubkę, nie rychło zrobili, bo była w żałobie, a potém ubrać się jéj było ciężko, na ostatku mamka z lokajem zakradłszy się do komody, siedém łokci ucięli, a resztka tylko została do dziś dnia.

Kiedy już wszystko było gotowe, a ambassador miał wyjeżdzać, otrzymał uroczystą pożegnalną audyencyą u króla. Jechał na nią na arabskim karym koniu, w bardzo bogaty rząd złoty przybranym, samą kulbakę taxowano na czterdzieści pięć tysięcy czerwonych złotych. Opatrywałem ją kilkanaście razy z uwagą, nic piękniejszego wyobrazić sobie nie można: kule obydwie w złoto oprawne i brylantami kameryzowane, cały rząd podobny, mundsztuk, popiersie, podogonie na pąsowym kurdybanie, sztukami złotemi wysadzane, strzemiona złote także, robota nadzwyczaj kunsztowna... Chowano to wspaniałe siodło w rodzaju walizy umyślnie zrobionéj, w któréj na każdą sztukę z osobna, wysłane axamitem szafirowym było miejsce; trzymano do niéj szatnego, pod którego kluczem i dozorem zostawała. Na przedniéj kuli, gdy ją na konia kładziono, zawieszano kańczuk z hebanową rękojeścią, kameryzowaną brylantami.

Rzewuski o piérwszéj godzinie zajechał przed zamek z całą assystencyą kawalerów ambassady; przyłączyli się do niéj: Jan Potocki, który celował wytwornym strojem polskim, Kazimierz Sapieha i wielu innych, wszyscy byli konno, w dawnym stroju jak poseł, a kawalkata główna składała się z kilkudziesięciu koni. Za niemi zaraz szła paradna poczwórna kareta poselska, herbami okryta, sześcią gniademi bardzo rosłemi końmi ciągniona, szory wyzłacane, czuby, taśmy, kutasy w grzywach, trąpety podobneż, lice pąsowe na wpół ze złotem przerabiane, dwóch rosłych hajduków za nią; druga za nią kareta próżna dla sekretaryatu, trzecia dla kawalerów ambassady, czwarta dla kapelana i doktora; kilka innych jeszcze karet familijnych poselskich dla okazałości. Wszystko to przedstawiało widok wielce wspaniały i wysokie dający wyobrażenie o dostojności ambassadora.

Rzewuski zsiadł z konia przed paradnemi w zamku wschodami; natychmiast przyskoczył koniuszy i konia okrył ogromnym axamitnym pąsowym dywdykiem, suto złotem wyszywanym, a poseł posunął się ku pokojom audyencyonalnym, z całą as-

systencyą. Miał na sobie żupan na srébrnéj lamie w kwiaty złote, przerabiany zadziwiającéj żywości jedwabiami, pas słuckiéj roboty ledwie ugiąć się mogący od złota, u boku karabelę osypaną brylantami, na żupanie wstęgę Orła Białego, na szyi krzyż S. Stanisława, spinkę pod szyją wielkiéj ceny, na żupan axamitną zieloną ferezyę, prześlicznie i bogato złotem wyszywaną, podbitą sobolami, na niéj gwiazdę Orła Białego, na głowie kołpak soboli z białą czaplą kitą, przy któréj w spince szmaragd wielkości talara, okrążony jak groch wielkiemi brylantami, wierzch karmazynowy z kutasem brylantowym, bóty żółte ze srébrnemi podkówkami, na nich zwieszone spodnie z karmazynowego atłasu... W takim stroju, z powagą charakteryzującą dostojność, szedł poseł przez pokoje w assystencyi swego dworu i młodzieży do któréj się i ja wmięszałem. Wszystkie pokojowe straże oddawały mu honory wojskowe, i tak doszliśmy do sali tronowéj; o kroków może dwanaście od króla zdjął kołpak, w lewo rękę uniósł odsłoniwszy ferezyę i sparł ją na pasie, poczynając krótką do Najjaśn. Pana przemowę; po czém przystąpił do ucałowania ręki królewskiéj i uroczyście odebrał

Credencjales. Nakoniec prezentował osoby do ambassady należące, i po odbytéj audyencyi ruszył do domu z tąż samą paradą, a król z okna gabinetu, oglądał cały przeciągający orszak.

Rzewuski był bardzo pięknym mężczyzną, minę i postawę miał prawdziwie pańską; w prywatném pożyciu był przystępny i wielce miły. Mówił wiele i chętnie, ale rozumem nikomu nie ciężył, bo umiał rzecz każdą w sposób przyjemny i przystępny przedstawić; pamięć bystra i niechybna pomagała mu do pochwycenia przedmiotu ze strony najmniéj widocznéj i niespodzianéj, do porównań zdumiewających świéżością. Nie było dlań nic obcego, o wszystkiém powiedzieć cóś umiał, i zawsze zastanowił swoim sądem lub dowcipem. Najmniéj znane wypadki cytował z najściślejszém oznaczeniém osób i lat, przywodząc o nich szczegóły tak żywe, jakby snać na nie patrzał. Słuchałem go zawsze z nienasyconém łakomstwem. Ostatni raz byłem z nim przez dni kilka w Pulinach u pana Hańskiego, późniéj z Żytomierza napędziłem go na promie i jechałem do Berdyczowa w jego powozie. Bawił tam trzy dni, i mnie od siebie nie puścił, miał jechać do Cudnowa

i być w Halijówce, ale mu dano znać z Pohrebyszcz, że żona zachorowała; wyjechał, i już go nie widziałem więcéj; śmierć nielitościwa powołała. Zdziwi się kto może, albo za przesadzone weźmie te wspaniałości poselstwa jego, o których piszę; wiém, że to być musiało nad możność Rzewuskiego, ale się rodził z Radziwiłłówny, familja dopomagała, dawano mu ze skarbcu, ze stajen, a może i pieniędzy ile potrzebował, szczególniéj książe Karol; inaczéjby był nie wystarczył na tak ogromne wydatki, bo fortuny znacznéj nie miał, a Rzeczpospolita posłom po sto dwadzieścia tysięcy na raz tylkó dała.

Adam Rzewuski był kasztelanem witebskim; ożenił się w Litwie z osobą możnego domu, panną Rdułtowską, poznałem ją piérwszego roku po zamążpójściu, nie miała wówczas nad lat piętnaście; byli oboje państwo Rzewuscy w Nowym Chwastowie na Zapustach, gdziem się i ja znajdował, potém kilka dni przyjemnych spędziłem z niemi w Pohrebyszczach.

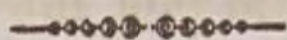
Adam Rzewuski miał brata Seweryna, który był szefem piechotnego pułku swojego imienia, z tym także byłem w dobréj przyjaźni i zażyłości;

rozum jego jak Adama, połączony był z niepospolitym dowcipem; nie tak poważny jak Adam, lubił wesołe towarzystwo i zabawę, nie uciekał od hulanki i nie jednęśmy z nim butelkę wina wysuszyli. Nadzwyczajną miał łatwość do pisania wierszy, serce najlepsze, poczciwość wielka, chęci dla kraju najgorętsze. Ostatni raz zjechałam się z nim także na przewozie w Staniszówce; on jechał z żoną na mieszkanie do Litwy, ja z moją powracałem od stryja, który mi dał na drogę dwadzieścia butelek starego wina.

Kiedyśmy się już żegnali, kazałem dobyć dwie butelki, ale że na promie kieliszków nie było, odbiliśmy szyjki i wychylili; w kilka minut drugie dwie, potém trzecie, daléj nie wiem już co się ze mną stało, a tém bardziéj z panem Rzewuskim. Nazajutrz w dobę ocknąłem się w Kodni; patrzę, żona moja płacze, a doktor Hincz siedzi przy łóżku; wsadzono mnie do karéty w Staniszówce, jak martwe ciało, ale potém byłem zdrów.

Wacław Rzewuski, hetman koronny, tak dobrze, zdaje mi się, życzył krajowi, jako i inni z téj rodziny; pycha go obrażona tylko i miłość własna, jak Szczęsnego Potockiego, za daleko uniosła.

Ten, sam z siebie możny, powiększył dostatki ożenieniem z Konstancyą Lubomirską, córką Stanisława, marszałka wielkiego koronnego, z którą mieliśmy stosunki z racyi, że panna Laura Potocka, z Laurą Siemianowską, rodzoną synowicą mojéj żony (która potém była za hrabią Zabilskim), bawiły razem przy pani hetmanowéj w Hrehorówce. Pani hetmanowa ile razy bywała w Żytomiérzu lub Romanowie, zawsze wstępowała do Halijówki z córką, panią Żyrosławową Potocką, lubiła bardzo moją żonę, my także bywaliśmy w Hrehorówce. Imie Rzewuskich było w prawdziwém poważeniu, które im nietylko wielkie związki i znakomitość rodziny, ale osobiste zasługi jednały.



XXXV.

Lubelskie historye.

Jakom powiedział wyżéj, zabrawszy listy z kancelaryi królewskiéj, puściłem się do Lublina, dla attentowania kilku ważnym sprawom. W Warszawie ks. Bułhak został dla interesów Metropolity. Wkrótce i wojewoda Stempkowski przybył do Lublina; ale sprawa jego o którą szło, nie mogła tak rychło mieć miejsca dla zawalonego regestru; udał się więc do Warszawy, a ja zostałem w Lublinie.

Czas zbywający mi od interessów, poświęcałem, jako młody, lataniom gdzie piękne oczy świeciły; bywałem w bardzo wielu domach, między innemi

w domu państwa Web... P. Web... prowadził znaczny handel ze Gdańskiem, a w Lublinie miał kantor bankierski; sama pani Web... polka, najmilszą w świecie była osobą. Z powodu, że mąż jéj od roku zakupował i prowadził potaże mego stryja, z obojgiem państwem wszedłem w najściślejsze stosunki przyjaźni.

Tu, na szczęście moje, ale razem na utrapienie, poznałem panienkę ubogą, śliczną i dobrze wychowaną. Całym dochodem matki jéj, dwóch synów i trzech córek, była mała kamieniczka, a w niéj kawiarnia, którą ona niedaleko od Web... trzymała w rynku. Ledwiem poznał u Web... Jagusię K., na śmierć się w niéj zakochałem, miłość ta raziła mnie jak piorun; w kilka dni mogłem się domyślać wzajemności, co jeszcze bardziéj rozżarzyło przywiązanie moje. Piękna, skromna, z dobrą główką, tak mnie umiała utrzymać w obrębach przyzwoitych i zdaleka, żem nie śmiał o złém pomyśléć; kochałem ją nad życie. Powiernikami memi byli państwo Web... dla mojéj przyjaźni zapraszali do swego domu Jagusię, i u nich ją po większéj części widywałem.

Dom ich codzień był prawie pełen gości; by-

wał tam między innemi niejaki kapitan Gębarzewski, dobrze urodzony człowiek, z Poznańskiego, służący w regimencie Czapskiego, który natenczas assystował trybunałowi. Młody, dobrze wychowany, przystojny, trochę fanfaron, ciął koperczaki do saméj pani Web... ale mu to się jakoś mimo tych zalet nie wiodło. Że zaś ja bardzo ściśle i poufale byłem z niemi obojgiem, a przed nią samą wylewałem troski moje i zwierzałem się jéj we wszystkiem z położenia mego, to nas tak na oko zbliżało, że Gębarzewski zaczął się czego innego domyślać i z nadzwyczajną zazdrością na chwilę mnie z oka nie spuszczał.

Miałem zwyczaj, ile razy sam wieczór być nie mogłem, posyłać jakieś łakocie, do których i Jagusia należała. Jednego tedy dnia, gdy mi cóś przeszkodziło, dosyć już późno wysłałem kosz brzoskwiń, które tylko co były z Puław nadeszły, i jakoś mi się je szczęśliwie schwycić udało. Człowiek mój poszedł z niemi i z biletem do pani; na odwachu właśnie był Gębarzewski, postrzegł go idącego do kamienicy Web... i zaczaił się. Pani Web... nie prędko jakoś odpisać mogła, służący się zatrzymał, ale już czyhano na niego; jak tylko

się pokazał, Gębarzewski wyskoczył, kazał go pojmać żołnierzom i pod pozorem, że po nocy chodzi na odwachu posadzić. Tu zrewidowano go, karteczkę mu odebrano, a Gębarzewski tak był niedelikatny, że kartkę nazajutrz panu Web..... oddał. W niéj było podziękowanie za brzoskwinie, a daléj te słowa: »Mąż mój jak ci wiadomo, jutro wyjeżdża na długo; w jego niebytności dom nasz będzie zamknięty, ale dla ciebie otwarty zawsze, będziesz widywał bez przeszkody swoją A...

Pani Web... imie było Antonina, a pannie K... Agata...

Gdy się to dzieje, ja czekam a czekam na mojego człowieka, a tu nie ma i nie ma; całą noc chodzę, niespokojny myśląc, że go gdzie rund ujął w szynkowni; posłałem na odwach, a tu mi wiadomość całą przynoszą. Natychmiast ruszyłem do marszałka trybunału, opowiedziałem mu rzecz jak była; kazał zawołać Gębarzewskiego, zgromił go surowo, aresztem pogroził i człowieka natychmiast wypuścić polecił.

Pobiegłem do państwa Web... gdzie się rzecz cała wyjaśniła i pan Web... za tak niegodny postępek dóm swój Gębarzewskiemu wypowiedział.

Po mieście to zaraz gruchnęło, rozmaicie opowiadane, osobliwie po pierwszych domach, u Hejzlera bankiera, u pani Nikorowiczowéj, która na dobréj i poważnéj stopie dóm swój utrzymywała, i w innych gdzie ja bywałem, tak, że w końcu pani Nikorowiczowa mnie nie przyjęła.

Pan Web... który zaraz miał wyjeżdżać, musiał się parę dni zatrzymać, wszędzie był z żoną, opowiadał jaka zaszła omyłka, i sekret mojego serca przestał być tajemnicą.

Po takiéj sprawie nieuchronnie potrzeba się było bić z panem Gębarzewskim; sekundował mi pan Franciszek Dmóchowski, jeden z mecenasów. Była to figurka niepoczesna, maleńka, ale się bił w pałasze niesłychanie; dał mi szablę swoją augustówkę, trochę zakrzywioną, osobliwszéj lekkości, z gardą, a tak ostrą, że można nią było głowę wielkiego Lamy ogolić. Wyjechaliśmy do Piasków trzy mile za Lublin, bo bliżéj pod karą śmierci nie wolno się było pojedynkować, a ja tak byłem szczęśliwy, że za pierwszém złożeniem się, panu Gębarzewskiemu furażerkę wraz z prawém uchem odwaliłem.

Powróciłem do Lublina z tryumfem jeszcze na

obiad tegoż dnia, i zaraz się to po mieście rozeszło, bo było kilku spektatorów z nami.

Dostałem wnet bilet zapraszający na wieczór do pani Nikorowiczowéj, ale potrzeba się było przebrać i przespać trochę, bo się na wiktoryą łyknęło; wyczmychawszy się tedy, wytrzezwiwszy, wystroiwszy około jedénastéj w nocy pojechałam do pani Nikorowiczowéj.

Tu słówko o niéj wcisnąć muszę: była to osoba najlepszego wychowania i najmilszéj grzeczności, wdowa od lat kilku, w podeszłym już wieku. Miała syna i dwie córki, jedną za panem Głażewskim obywatelem o mil trzy od Lublina mającym piękne dobra, drugą prześliczną osobę, za wielkopolaninem półkownikiem Trepką. Byłem na jéj weselu. Obu tym córkom dała matka po dwanaście tysięcy czérwonych złotych posagu. Sama z synem mieszkała w ogromnéj trzypiętrowéj kamienicy, która była ich własnością. Szacowano ich na czterdzieście tysięcy intraty, syn w r. 1791, został przez sejm nobilitowanym. Dóm ten w Lublinie był na bardzo dobréj stopie; bywały w nim najznakomitsze osoby, marszałkowie, prezydenci i cała noblessa Lubelska. Następująca okoliczność

okaże czém była w Lublinie pani Nikorowiczowa. Gdy w r. 1791 w kwietniu zapadło prawo tyczące się stanu miejskiego, tak dla niego korzystne i podnoszące go, miasta ubiegać się poczęły z ofiarami na wojska Rzeczypospolitéj. W Lublinie pan Finke prezydent miasta, obywatel możny, zajął się zbieraniem składki od mężczyzn, i złożył sześćdziesiąt tysięcy złotych. Pani Nikorowiczowa, współubiegając się z nim, od dam zebrała i oddała na ręce marszałka Małachowskiego dziewięćdziesiąt i dwa tysiące, W téj massie było jéj własnych tysiąc dukatów. W r. 1811 jadąc przez Lublin do Warszawy, zastałem ją jeszcze w życiu, choć głęboką pochyloną starością. Znać było zawsze na niéj czém była dawniéj, grzeczna, uprzejma, miła; jadąc z powrótem nie mogłem odmówić jéj zaproszeniu i poświęciłem dwa dni, ale nie był to mój Lublin znajomy, bardzo już mało pozostało starych przyjaciół: przez lat dwadzieścia pokolenia nowe urosły, współczesne nam zeszły do grobu.

U pani Nikorowiczowéj tedy, zastałem osób ze sześćdziesiąt, jak zwykle, kilku deputatów, mnóstwo starszych i młodzieży, półkownika regimentu Czap-

skiego i oficerów, towarzyszów Gębarzewskiego. Gdym wszedł, pani Nikorowiczowa, która siedziała w pośrodku koła dam, powstała i kilka kroków podeszła ku mnie; ująłem jéj ręce, ona obu swemi przytrzymała moje, i z wielkiém przejęciem rzekła do mnie:

—Przepraszam pana, zostałam oszukaną, myślałam już, że się gniéwasz na mnie, gdy go tak długo nie było, a ten wieczór właśnie jest dla pana, bom chciała błąd mój publicznie naprawić.

Ze wszystkich stron zaczęto mnie witać, nie jeden może chciał być na mojém miejscu... Szukałem oczyma pani Web.... i Jagusi; piérwszą napotkałem zaraz i grzeczne moje, pełne uszanowania powitanie, nagrodzone zostało ściśnieniem ręki przez nieocenioną przyjaciółkę. Jagusia była w drugim pokoju z młódszemi, najrzałem ją obok pułkownikowéj Trepkowéj, córki pani Nikorowiczowéj; zbliżyłem się: drżała jak liść osiny. Wybrawszy chwilę sposobną, spytałem co robiła, bom ją przez tych trzy dni nie widział.

—Modliłam się i płakałam, odpowiedziała.

Naturalnie sprawa moja z panem Gębarzewskim wyszła na plac tego wieczora, oficero-

wie którzy tam byli, jednomyślnie oświadczyli, że podadzą deklaracyą, iż z nim razem służyć nie chcą.

Zwycięztwo moje było najzupełniejsze, ale serce cierpiało; kochając nie mogłem pomyśléć o ożenieniu, bo onoby mi było zatamowało wszystkie na przyszłość widoki.

O Jagusię starał się właśnie, bardzo majętny człowiek P. H..., który wielki prowadził handel z Gdańskiem, i znaczny miał magazyn sukien angielskich w Lublinie. Był to mężczyzna lat przeszło cztérdziestu, gruby, łysy, twarz wielka okrągluteńka, jak księżyc w pełni, czérwona jak słońce na wiater, na niéj nosek maleńki trochę siny, pod nim usta dosyć szérokie i grube. Wdowiec od lat dwóch, zresztą bardzo poczciwy, trochę niby rubacha, niezmiernie akuratny w swoim zawodzie i miłosierny, bo co piątek przed jego kamienicą dwieście najmniéj ubogich w rząd uszykowanych, odbiérali jałmużnę.

Co niedziela w trzewikach, w galowym fraku, ze srébrną szpadką, ufryzowany paradnie, z harbeytlem szerokim jak arkusz papiéru, z kapeluszem trójgraniastym, czarną kitajką obszytym

pod pachą, wychodził poważnie na mszę do katedry. Powracając, po drodze wstępował regularnie do kawiarni pani Kr.... pił dwie porcye kawy, co trwało z godzinę, zjadał kilka rogalików, pytał potém matki czy może widziéć pannę Agatę dobrodziejkę, i odebrawszy pozwolenie wchodził do pokoju córek. Tu w progu zaraz westchnął, jak gdyby oddech ten potężny miał być ostatnim w życiu jego, całował w rękę nie bez obfitego poślinienia, spytał czy asindzka była już na mszy, ukłonił się, powtóre całowal i ślinił, i raz jeszcze odchodząc na progu podobne piérwszemu wydawał westchnienie. Był to pretendent mojéj Jagusi, postanowił mocno ożenić się z nią, ale jéj sam nigdy nie powiadał o tém, tylko przez dziéwosłęby naciérał mocno, wymagając stanowczego słowa.

Płakały i matka i córka, ale potrzeba się było nareście decydować, nie opuszczając tak możnéj i wiele na przyszłość obiecującéj partyi; ja sam, choć z boleścią piérwszy namawiałem, żeby go nie odrzucano. Wkrótce nastąpiły zaręczyny, na których ja umyślnie nie byłem, szanowałem spokojność jéj, sam cierpiąc wielce. Na drugi dzień

potém spotkałem pana H..., z którym miałem znajomość, usilnie mnie począł prosić, żebym był u niego wieczorem. W jego domu było piętro do najęcia, nie mogłem się wstrzymać by z tego nie korzystać, i wziąłem połowę na przyszły trybunał, dając dwadzieścia pięć dukatów zadatku. Na wieczorze było młodzieży dosyć; bawiliśmy się dobrze, jedli i pili, bo nam nie żałowano i lusztyk był wielki. Ja, pozaspakajawszy i pokończywszy interesa moje, sposobiłem się do wyjazdu.



XXXVI.

Śmierć Ks. Metropolity.

Wyjechałem tedy do Warszawy, i stanąłem kwaterą w pałacu Święto-Krzyzkim, gdzie pan wojewoda Stempkowski zajmował mieszkanie, dla chodzenia około sprawy księdza Smogorzewskiego, którą protegował i pan wojewoda i posłowie ruscy, z Wielkopolskich zaś szczególniéj Działyński, poseł kaliski.

Pojechałem do niego zaraz drugiego dnia z rana, zatrzymał mnie dosyć długo i opowiedzieć mu musiałem historyą moją lubelską z panem Gębarzewskim. Wtém nadjeżdża Czapski szef tego regimentu co stał w Lublinie, zarazem poseł

sieradzki. Działyński zagaił zaraz interes Ks. metropolity, a Czapski przyrzekł pomoc swoją i kréskę.

—A propos, dodał po chwili, wczoraj odebrałem raport od mego regimentu, że jakiś tam smyk młody, obciął mi w pojedynku jednego oficera, z którym daléj reszta służyć nie chce.

—Otoż go masz tego smyka przed sobą, rzekł Działyński wskazując na mnie. Musiałem tedy na nowo opowiadać całą moją przygodę.

Czapski uściskał mnie serdecznie, i zaprosił nazajutrz na obiad razem z panem Działyńskim.

Pan Działyński zawiózł mnie tegoż dnia z wizytą do państwa Czapskich, gdzie byłem pani szefowéj prezentowany, a potém pojechał razem ze mną do wojewody, który się teraz dopiéro dowiedział o moich wypadkach w Lublinie.

Gębarzewskiemu pan szef Czapski posłał abszyt, wyrobiony z rangą majora.

W kilka dni wyjechał pan wojewoda do Łabunia, zostawując swojego szatnego Wernera dla odprowadzenia ekwipażów i zabrania u kupców porobionych sprawunków, mianowicie u Szperla karetę poczwórną, podwójną i koczyk maleńki,

bardzo piękny; u Jaszewicza mnóstwo angielszczyzny i mebli; u Unruha sukna osiemdziesiąt postawów; na bléchu woskowym sto kamieni świéc. Musiałem się zająć upakowaniem i wyprawą tego wszystkiego na najętych furmanach do Łabunia; przeniosłem się zaraz do domu metropolitalnego, ażeby dla interesów księdza Smogorzewskiego bliżéj być księdza Bułhaka. Nadjechał w téjże sprawie i ksiądz Lewiński, biskup sufragan, spodziewaliśmy się wkrótce samego metropolity, gdy w kilkanaście dni przychodzi sztafeta, że umarł. Oba moi prałaci wyjechali zaraz, a interes poszedł w przewłókę. Ksiądz Rostocki, biskup chełmski, koadyutor Metropolii wziął posessyą dóbr, posłano po sacra do Rzymu, ale potrzeba sankcyi, to jest przywileju królewskiego, co bez wpływu pana wojewody Stempkowskiego obejść się żadnym sposobem nie mogło.

Ja, nie mając już co robić w Warszawie, zostałem jeszcze na dni kilka dla rozerwania się.

XXXVII.

Item pojedynek.

Jednego dnia rano, szwajcar wchodzi i anonsuje mi, że oficer jakiś chce się widzieć ze mną.

—A proś go.

Wchodzi młody oficer od fizyljerów.

—Pana Ochockiego mam honor widzieć?

—Tak jest, odpowiedziałem.

—Jestem Gębarzewski, brat rodzony tego, który miał do czynienia z panem. Brat mój dał panu satysfakcyą, ale jéj sam nie miał, za pańskiém staraniem musiał wyjść ze służby; przezemnie więc prosi go o zadośćuczynienie, i ofiaruje pistolety. Pan masz prawo wyboru miejsca i cza-

su, prosilibyśmy jednak, żeby to nie przechodziło tygodnia.

Dobył adres gdzie mieszkali, i wyszedł.

Rozumié się, że zostałem trochę zelektryzowany; nie wierzę temu, żeby przeciw pistoletowi można stanąć bez niejakiego wstrętu i obawy. W tejże chwili pojechałem do pana Działyńskiego, a z nim do szefa Czapskiego. Ale choć pan Czapski wziął ten interes na siebie, zaprosił Gębarzewskiego na obiad, namawiał do przejednania i zgody, nic nie pomogło, nie ustąpił od swéj pretensyi. Można było odrzucić ten pojedynek z powodu, że w piérwszéj aferze nie obraził jeden drugiego i nowego nic nie zaszło, ale byłaby awantura, postanowiłem więc strzelać się.

Pan Działyński dał mi podpółkownika Zielińskiego, tęgiego oficera ze swojego regimentu, który mnie natchnął zupełną odwagą; z tamtéj strony na sekundzie był rotmistrz gwardyi Popiel.

Trzeciego dnia zrana byliśmy w Jeziornéj; kazano mi się ubrać w kolet i szarawary ciemne, opięte, tak zrobiłem. Zieliński komenderował strzałami, w minucie wszystko było skończone.

Ja postrzeliłem go w ramię prawe na wylot, on mnie w prawe udo, ale tak nieszkodliwie, że kości nie naruszył. Zasłabł zaraz na ręku brata, zwisło mu ramię, ale gdym przystąpił do niego, rzekł cichym głosem:

— Do wyleczenia, mościpanie.

Ja nie czułem wielkiego bolu, aż dopiéro przy opatrywaniu, które zaraz w Jeziornéj dopełnił, przysłany przez pana Działyńskiego regiments-felczer. Gdy zapuścił sondę, rana się pokazała głęboka, ale dość oddalona od kości. Felczer i mój kochany Zieliński w najlepszych byli humorach. Spuszczono w koczu dormczę, wsadzono mnie do niego, wsiadł ze mną pan Zieliński, i we trzy godziny byłem już w Warszawie. Zawieziono mnie wprost do pana Działyńskiego i u niego umieszczono; przybył zaraz z regiments-felczerem doktor Bekler, opatrzono mnie znowu, i pokazała się rana wcale nieszkodliwa: kula w niéj została wprawdzie, boby trzeba było dla dobycia jéj ciało rozrzynać, od czegom się wyprosił jakoś; wyszła potém w roku 1805 i nosiłem ja zawsze w woreczku z pieniędzmi razem,

ale worek ten czym zgubił, czy mi go skradziono w Berdyczowie.

Z wielkiéj chmury tedy, mały dészcz; w dwa tygodnie niespełna wstałem i chodzić mogłem, a we trzy byłem zupełnie zdrów.

Gębarzewski dłużéj się lizał, władzę w ręku zupełnie stracił, i na wiosnę z gorączki umarł. Państwu Działyńskim winien byłem wszelkie koło mnie starania i wygody; odwiedził mnie zaraz piérwszego dnia szef Czapski, odwiedzali i inni znajomi, a między innemi Bartłomiéj Giżycki, którego cała Warszawa, młodzi i starzy, matrony i panny *Barciem* nazywali. Był to młody wówczas, piękny, zręczny, wesoły, wszędzie pożądany i od wszystkich lubiony kawaler. Przed tygodniem miał także pojedynek z Ostrowskim i obciął go. Doniosłem zaraz o przygodzie moim przyjaciołom w Lublinie, napisałem do Web... tam się już była wieść rozeszła, że zostałem zabity. Pani Web... pokazała mój list przyjaciółce, a ja wkrótce odebrałem odpowiedź, że ofiara spełnioną została, że już Jagusia moja jest panią H.... Trzeba było jechać w Kijowskie przed

kontraktami, przez Lublin jadąc uściskałem tylko państwa Web... nie widziałem się z H..... konie mi przeprzęgli i pośpieszyłem daléj.

W wigilią Bożego Narodzenia, na imieniny pana Bukara, stanąłem w Januszpolu.



XXXVIII.

Ksiądz Rostocki, Metropolitą.

W JANUSZPOLU zastałem pana wojewodę, który przyjął mnie ze zwykłą swoją dobrocią, równie jak kochany sędzia gospodarz; oprócz niego księżnę Radziwiłłowę z Berdyczowa, matkę księcia Tadeusza, panią kasztelanowę Woroniczowę, kasztelaństwa Pruszyńskich, państwa Hańskich z całą familiją i t. d. i t. d., bo może ze sto osób było. Obstąpiono mnie zaraz z ciekawością największą, bo już i tu pojedynek mój był głośny, wypytywano, macano po udach i winszowano, że się na naszpikowaniu skończyło. Panu wojewodzie

zdałem sprawę ze wszystkich okoliczności Warszawskich.

Przez dni pięć bawiono się ciągle, nikt nie ubył, muzyka nadworna grzmiała i wino potokiem się lało jak w Kanie Galilejskiéj; wojewoda bawił do Nowego Roku, ja także, dopiéro na drugi dzień do Wilska, do ojca mego na chwilę wyruszyłem. Przyjął mnie bardzo czule, gniéwał się tylko, że na tak krótko przyjechałem. Zabrawszy potrzebne papiery do Lublina i na kontrakty, pożegnawszy ojca i jego żonę, ruszyłem daléj z panem Krajewskim.

Cóż to był za czas dla mnie! dziś go jeszcze wspominam z roskoszą; jak piorunem przeszły te święta ochoczo i wesoło, ile tam było ślicznych panien!!.. Każdéj się obiecywało odwiedziny, powrót, ale u nikogo być nie mogłem.

Wyjechaliśmy do Dubna bandą wielką: Bukar z synem swoim Marcinem, pani kasztelanowa Woroniczowa, a przy niéj panna Bukarówna, państwo Hańscy z panią Morzkowską natenczas z mężem rozwiedzioną, z córką Józefą i kuzynką ich panną Gnatowską. Jechaliśmy na Łabuń, a tam parę dni znowu przeszaleliśmy jak zwyczajnie.

Panna Gnatowska przystojna i nie uboga panienka, przyjmowała dosyć chętnie moje grzeczności, wszyscy mnie nią prześladowali, jakby chcieli wmówić że ją kocham, ale serce moje i umysł były w Lublinie, bałem się odwrócić je gdzieindziéj, mając to za świętokradztwo.

Ruszyliśmy z Łabunia, i stanęła cała nasza wataha dwóma domami obok siebie, tuż przy domu w którym stali państwo Działyńscy oboje; państwo Hańscy w jednym ze swoją familią, a pani Woroniczowa, Bukarowie i ja, drugi zabraliśmy. Stryj mój był także na kontraktach, stał o pół mili od Dubna, w klasztorze Bazylijańskim w Strakłowie, ale codzień przyjeżdżał, i cały dzień bawił z nami, na obiadach bywając albo u pani Woroniczowéj, albo u Hańskich, albo u Działyńskich, bo wszędzie był pożądanym i miłym, i przyjmowano go z uszanowaniem. Zaraz mi moją pensyę wyliczył, a za ranę drugie tyle dodał. Całe nasze towarzystwo oświadczało nieustannie wdzięczność swą, za tak łaskawą opiekę i pomoce, których od państwa Działyńskich doznałem w Warszawie. Poodbierałem pensye moje wszystkie, ale ksiądz Bułhak, który mi wypłacał od metro-

polity dał do zrozumienia, że odtąd interesa jego w Lublinie, pan Szemiot, kuzyn księdza metropolity ułatwiać będzie; zamawiając mnie tylko do Warszawy i prosząc o przysposobienie pana wojewody, do którego wkrótce miał zjechać dla zrobienia znajomości i zapewnienia sobie jego protekcyi w stolicy.

W czasie tych kontraktów wprowadzony został do państwa Bukarów pan Antoni Raczyński, poznawszy u pani kasztelanowéj ich córkę i mając projekt swatania się, co Działyńscy i pani Woroniczowa protegowali, z pomocą się ofiarując. Chociaż dawniéj zdaleka się z nim widywałem w Lublinie, ale to była tylko lekka jak z wielu znajomość; tu zobaczywszy mnie tak blizko z familią Bukarów, zawarł ściślejsze ze mną stosunki.

Po trzech tygodniach pobytu w Dubnie, gdziem żadnéj reduty i teatru nie opuścił, ponieważ i damy nasze ciągle na nich bywały, a my im assystowaliśmy, ja zaś szczególniéj przy pannie Gnatowskiéj noszącéj miłe wspomnieniem i drogie mi imie Jadwigi, wyjechaliśmy nakoniec. Myśleli wszyscy, że panienka mnie zajęła, a więcéj imie tylko pociągało. Zaproszono nas wszystkich na

zapusty do Pulin, ale ja tam nie byłem, bom pojechał na Łabuń, gdzie dni kilka musiałem zabawić. Pan wojewoda zatrzymał mnie dla spodziewanego przybycia księdza metropolity, jakoż nadjechał i on z księdzem Lewińskim, biskupem sufraganem swoim. Prosił pana wojewody o listy do Warszawy i wstawienie się do króla, tak o przywiléj jako i o protekcyą w interesie zaczętym przez księdza Smogorzewskiego. Był on już wprzódy w Warszawie, ale nic sam zrobić nie mógł, bo król jak wiadomo, dla téj prowincyi, wszystko tylko przez ręce i za instancyą wojewody Stempkowskiego świadczył.

Pan wojewoda odpowiedział mu, że listy wyda, ale na moje ręce i wszelkie czynności mnie poleci; domyślił się tedy ksiądz metropolita, że bezemnie obejść się nie potrafi. Umówił się ze mną zatém i zostawił przy mnie interesa Lubelskie, z pensyą dwóchset dukatów, na podróż do Warszawy, obiecując mi ją wypłacić, gdy do stolicy przyjadę. Wyjechał sam prosto do Warszawy, a ja za nim w tydzień opatrzony potrzebnemi expedycyami. Stanąłem w domu metropolitalnym przy ulicy Miodowéj, gdzie kaplica Bazy-

lijańska, dano mi dwa zimne maleńkie pokoiki, w których nikogo przyjąć nie mogłem. Oświadczyłem to zaraz księdzu metropolicie i przemieniono mię na porządniejszy apartament. Listów do króla i do Kicińskiego, natenczas szefa gabinetu, tudzież sekretarza kancellaryi królewskiéj do expedycyi interesów wewnętrznych, i do innych osób, nie oddałem księdzu Rostockiemu, zatrzymując je przy sobie. Dobrze się stało, bo ksiądz metropolita nie myślał dotrzymać umowy, jaką zrobił ze mną w Łabuniu; mówił o tém sam ze mną; ksiądz Lewiński i ksiądz Bułhak atakowali, powiedziałem, że przywiléj pewnie będzie, ale potrzeba wprzód spełnić, do czego się zobowiązało.

Po długich korowodach, musiano zapłacić jak przyrzeczono. Dopiérom poszedł z listem pana wojewody do króla i do Kicińskiego, i we trzy dni przywiléj był gotowy. Uprzedziłem metropolitę, że tego dnia będzie sekretarz i przywiezie przywiléj, ale potrzeba go regalizować za fatygę, oprócz tego opłacić od pieczęci i za papier stęplowy, co wynosiło sto pięćdziesiąt dukatów. Sekretarzowi chciał dać ksiądz metropolita pięćdzie-

siąt dukatów, jam się rozśmiał i zapewniłem go, że tym sposobem żadnego interesu nie zrobi. Niesłychanie się targował ze mną i stanęło na dwóchset; nadjechał sekretarz i wszedł naprzód do mnie, poszliśmy z nim do księdza metropolity, któremu oddał przywiléj, a w drugim pokoju odebrał dwieście dukatów, ale się skrzywił, bo od takiego stallum spodziewał się pięćset. Powiedziałem to metropolicie, zagrażając trudnościami w gabinecie, że mu trudno będzie myśléć o senatorskiém krześle i nigdy nic w ten sposób nie zrobi. Rad nie rad pojechał nazajutrz do sekretarza i zawiózł mu trzysta dukatów, ale nowy zaraz ambaras dla księdza Rostockiego. Liberya królewska przyszła do niego z powinszowaniem, kazał ich policzyć swojemu marszałkowi, a było piętnastu.

—Co WPan dobrodziéj robisz najlepszego?— zawołałem.

—Chcę wiedziéć wielu ich jest i dam im po talarze.

—Dla Boga! to żaden panu drzwi nie otworzy!

—Sam sobie odemknę....

—Ślicznieby było. Ci co przyszli, to jest tylko deputacya od liberyi królewskiéj, jest ich więcéj niż stu. Wszak od przywileju na order Ś. Stanisława daje się na garderobę dwadzieścia pięć i na liberyą dwadzieścia pięć dukatów.

Ledwie nieledwie jakoś kazał dać te pieniądze. Był to mnich prosty, oszczędny niezmiernie i niemający pojęcia życia takiego, jakie prowadzić musiał na stopniu wysokim, który zajmował; przecież słuchał rady mojéj i dawał się naprowadzać.

Męki z nim wycierpiałem czyscowe, jadłem blizko tygodnia poléwkę spartańską; stół był tak zły, że prokurator w biédnym klasztorze lepiéj jada.

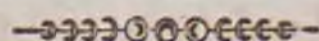
W Warszawie pełno mając znajomości, codzień mieć mogłem obiad dobry; korzystałem więc z tego i uwalniałem się od metropolity, a którego dnia nie byłem zaproszony, wolałem jeść na Krzywém-Kole, gdzie się najlepszego tonu ludzie zjeżdżali. Remizę musiałem też trzymać codzień, która mnie po dukacie na dobę kosztowała. Ksiądz metropolita z oszczędności długi czas szwajcara nawet nie trzymał, ale przeciem mu i to wy-

perswadował, że niepodobieństwem jest, aby kto z wizytą przyjechawszy do niego, posyłał za każdą razą pytać się na górę, czy jest w domu i czy przyjmuje, gdy u księdza Smogorzewskiego, choć go nie było w Warszawie zawsze szwajcar stał u drzwi.

Nakoniec wypadło dać obiad dla PP. senatorów, ministrów i posłów, stosowny do intraty metropolitalnéj, która ośmkroćstotysięcy wynosiła, i do senatorskiego krzesła, o które się starał. W domu na ulicy Miodowéj nie było sposobu, musiano nająć u murgrabiego w pałacu Radziwiłłowskim salę ogromną z kilku pokojami: zaproszono pana Tremo, kuchmistrza królewskiego, który się zgodził po trzydzieści sześć złotych od osoby, na dwa obiady po sto trzydzieści osób, oprócz win. Przez trzy dni ksiądz metropolita jeździł z wizytami, spraszając na te obiady, dostano sréber, porcelany, usługi i win; ta speza kosztowała go do tysiąca dukatów, chociaż interes pomieszczenia w Senacie został odłożony do listopada.

Choć nie *ad rem*, zanotować to muszę, żem moją winą stracił w tym czasie zegarek dany

przez króla w Łabuniu. Jak to się stało, opisywać nie będę, dosyć, że mi go haniebnie z domu skradziono i nie było sposobu o niego się upomnieć; wielce go żałowałem, jako pamiątki, a choć pan wojewoda dowiedziawszy się o stracie ofiarował mi piękny złoty repetyer, pocieszyć mnie to nie mogło.



ła mi się dziś piękniejszą jeszcze, mąż jéj był naówczas w Gdańsku, mimowolnie odnowiły się dawne stosunki. Kochałem ją zawsze z całym zapałem młodości, i ona do mnie równie przywiązaną była; matka jéj lubiła mnie jak dawniéj, a obie pamiętały, że z powodu Jagusi miałem sprawę, z któréj o krok będąc od śmierci, ledwie życie uniosłem; to wspomnienie zbliżało nas jeszcze. Mimo najpiękniejszéj i najsłodszéj fizyognomii, pani H.... miała na twarzy rozlany wyraz smutku, który ją jakby mgłą wpółprzejrzystą powlekał, nowego jéj dodając uroku. Słodką była piérwsza nasza rozmowa, wyznała mi zapłakana, że wstrętu swojego do męża dotąd przezwyciężyć nie mogła, łzy jéj świadczyły o tém— szczęśliwy byłem i cierpiałem patrząc na jéj i moje położenie.

Zastałem już w Lublinie pana Raczyńskiego, zakochanego w pannie Ewie Bukarównie, a przez niego odebrałem listy od ojca mojego, Bukarów, panny Bukarówny i pana wojewody Stempkowskiego, który na ważną swą sprawę z kredytorami obiecywał zjechać w lipcu. Raczyński był dla mnie jak najuprzejmiejszym, dawał mi wielkie

dowody przyjaźni, i pomógł wielce w interesie mojego ojca, bo miał wpływ znaczny na deputatów Wielkopolskich przez Raczyńskiego generała wielkopolskiego. Komplet składał się wówczas z dwónastu osób, marszałka Zakrzewskiego kasztelana nakielskiego, prezydenta księdza Skotnickiego opata pokrzywnickiego, mającego do dwóchkroć sto tysięcy intraty, do których obu miałem listy mocno polecające od pana wojewody. Do tego w przyjaźni i zażyłości byłem z młodym człowiekiem, panem Skotnickim, którego stryj bardzo kochał i faworyzował, przez co i ja miałem łaskę u prezydenta; w stosunkach także najlepszych byłem z panem Jerliczem, półkownikiem kijowskim, Starzyńskim podolskim deputatem, którego wprzód w Lublinie znałem, z panem Hulewiczem z Wołynia, z Jasińskim i Karczewskim, dla których na moje ręce, za wdaniem się pana Stempkowskiego przyszły były ordery, co kredytowi mojemu jeszcze większéj dodało wagi, a tak zdawałem się upewniony większością głosów i wygranéj.

Nadchodziła sprawa mojego ojca, zaprosiłem prawie wszystkich mecenasów do siebie na śnia-

XXXIX.

Znowu w Lublinie.

Gdy interes księdza metropolity został odroczony, puściłem się w początkach maja, dla ważnych spraw, o których niżéj, do Lublina, i zajechałem wprost na kwaterę moją najętą u pana H.... Z drugiéj strony takiż sam apartament zajmował pan Lipski, duża tylko sala nas przedzielała. Lipski równego ze mną wieku, syn podkomorzego rawskiego, możnego człowieka, był mi dawniéj znajomy: ale tu tak blizkie sąsiedztwo ściśléj nas połączyło, gdyżeśmy zaraz i kuchnię i usługę wspólną sobie urządzili.

Widziałem się natychmiast z panią H..... zda-

danie, rozumie się dobre; narada krótko trwała, rozdzielili między siebie *meritum*, explikacyą dokumentów, replikę i duplikę, a szampan i karty zajęły resztę nocy wesoło spędzonéj. Był i pan Krajewski w Lublinie, gdzie nacierał zapraszając na radę do siebie, ale nikt nie chciał należeć przeciwko ojcu mojemu. Tymczasem my około deputatów latališmy: Raczyński wziął na siebie Wielkopolanów, wszyscy mecenasi oprócz tego podjęli się starania o kréski, tak, że za mną była *unanimitas*. Przywołano wpis z mojéj strony, stanęła Ława, gdy od pana Krajewskiego, tylko panowie Orchowski i Podhorodeński; *meritum* zabrało całą sesyę, a repliki odłożono nazajutrz. Do któregokolwiek deputata przytknął się pan Krajewski, wszędzie mu radzono żeby się godził, przestraszając go, że zawikłano interes z siebie czysty, że wprowadzono na wydatki, które przy dekrecie jako *ultimae instantiae* zasądzone zostaną, a jeszcze może trybunał i grzywnami obłoży. Zaproponowano mi więc zgodę, o którą przez cały wieczór u Ks. prezydenta, gdzie liczne było zgromadzenie, traktowaliśmy. Po długich tergiwersacyach stanęło na tém, żeśmy do summy

przyszli, licząc z procentami cztérdzieści pięć tysięcy złotych, to jest czérwonych złotych dwa tysiące siedmset, ale nie chciałem tego zostawić na skrypcie u niego, a on żądał odroczenia wypłaty do kontraktów. Uparłem się, żeby mi zaraz wypłacono, składał się niemożnością, chociaż mógł wziąć u bankiera Hejzlera, z którym miał pieniężne stosunki i kredyt u niego; na tém więc zgoda się rozchodzić poczęła. Pomyślałem sobie jednak, że choćbym dziś wygrał, na drugi trybunał pójść może i ambaras nowy i kosztu mi to przyczyni, a może tak przyjaźnego nie znajdę kompletu; a gdym to przed przyjaciółmi opowiedział szukając ich rady, znalazł się jakoś środek, który wszystko ułatwił. Było zwyczajem, że kiedy kogo na grzywny sądzono, połowa ich szła na rzecz trybunału— a ktoby to był kolwiek, bez żadnego względu i ceremonii, trybunał stawił mu wartę i nie wypuszczał pacyenta póki ich nie opłacił. Jasiński był przy skrzynce, człowiek lat około trzydziestu, wielki mój przyjaciel i niezmiernie mi przychylny z serca, jako równie i za order, który przed tygodniem przez moje ręce odebrał; ten posłał zaraz na obwach karteczkę, a

panu Krajewskiemu dodano wartę do rzeczy i osoby jego. Napróżno udawał się z tém nazajutrz do marszałka, bo ten wcześnie uprzedzony, odpowiedział mu, że zwyczaju złamać dla niego nie może.

Na ratuszu, w replikach z mojéj strony popiérano sprawę z wielką zapalczywością, na poobiednię sessyą została tylko odpowiedź pana Krajewskiego. Byłem na obiedzie u pana Jasińskiego deputata z kilkunastu towarzyszami, gdy po skończonym przyszedł znowu pan Krajewski i zaproponował zgodę powtórnie. Był i ksiądz prezydent, Krajewski oświadczał mi, że bierze pieniądze u Hejzlera i zapłaci, ale ja już od dwóch tysięcy ośmiuset czérwonych złotych odstąpić nie chciałem, bo sto potrzebowałem na wydanie wieczoru. Stanęła wkrótce komplanacya, wraz z kwitem i pieniądze na stół, a ja wszystkich deputatów, mecenasów i Krajewskiego zaprosiłem na wieczór. Uprzątniono i moje i Lipskiego pokoje, było się, więc gdzie wygodnie pomieścić, i hulanka przeciągnęła się do dnia białego. Kosztowała ona mnie sto dwadzieścia dukatów; pan Krajewski upiwszy się, bom go chętnie raczył, zawo-

łał:— Moje to ciało jecie i krew moją pijecie. Ale bogiem a prawdą, siedémże lat czysty kapitalik ojca mojego, trzydzieści jeden tysięcy pięćset złotych trzymał w rękach bez prowizyi, po wszystkich juryzdykcyach nas ciągał, a przed kilką miesiącami, gdyśmy używali instancyi przyjaciół do niego, dawał nam tylko dwadzieścia siedm tysięcy złotych, nawet z kapitału urywając; godząc się z nim nie obdarliśmy go wcale.

Pieniądze złożyłem u bankiera Hejzlera, a ojcu mojemu doniosłem o skutku, opisując wszystkie okoliczności sprawy. Niezmiernie był kontent i kazał mi wziąć sobie u Hejzlera sto dukatów, ale nie bez admonicyi. Napisał w liście: »z waszeci zawsze strasznie wielki pan, jak można w jeden dzień tracić sto dwadzieścia dukatów, nie żałowałbym ich, gdyby się choć w twojéj kieszeni zostały.”

Ale ta okoliczność miała wielki wpływ i na inne sprawy, pomnożyła moją wziętość w Lublinie. Stryj, którego interesa prowadziłem, zyskał drugi dekret z panem Szydłowskim, pan Hański wygrał z Charlińskim, sprawy wojewody i inne, o

które się interesowałem, poszły mi jak najlepiéj.

Pan Stempkowski nie zjechał na swoją sprawę, napisałem do niego, żeby się daremnie nie trudził, bo byłem pewny dobrego skutku; przysłał tylko plenipotenta miejscowego, człowieka zdatnego i pracowitego, pana Jargockiego. Na niego trochę się mogłem już spuścić; ślęczył sobie nad papiérami, robił wypisy i protesta przeciw dekretowi krzemienieckiemu, a ja chodziłem tylko.

Raczyński sam mi się oświadczył, że chce należeć do téj sprawy czynnie; niesłychanie byłem rad z tego; wszystko się dobrze składało, pan wojewoda przysłał dwieście dukatów na konferencye; sprosiłem więc piętnastu mecenasów na nie, a razem na wieczorek. Skarżyński, Buczyński, Grudziński, Raczyński i ja, rozebraliśmy induktę, explikacyą dokumentów i replikę. Trzem im dałem po dwadzieścia pięć dukatów, co należeli do kratek, a Raczyński nie tylko wziąć nie chciał, ale dał przed samą sprawą wieczór dla deputatów, którzy już byli nasi, jak się pokazało przy sprawie mojego ojca.

Inni mecenasi nic wziąć nie chcieli, jedli tylko, pili i bawili się. Zjechał na tę sprawę nieubłagany nieprzyjaciel pana wojewody, pan podsędek Denisko, który *primitive* w swoim komplecie, przez oddanych sobie w sądzie krzemienieckim ludzi, sądził ją i haniebny jéj tok nadał. Byliśmy wieczorem u księdza prezydenta; pan Denisko pozwolił sobie cóś bąknąć przeciw wojewodzie, natychmiast przystąpiłem do niego i rzekłem:

— Mów waćpan o całéj sprawie swojéj jako chcesz, ale przeciwko panu wojewodzie słowa pisnąć nie pozwolę.

Na to pan Denisko, z pogardą się odwróciwszy, trzepiąc po gwiaździe Ś. Stanisława, zapytał:

— Kto jest ten młokos, który mi śmie chybiać w domu JW. prezydenta?

Młodzież mnie ostąpiła, a ja, wrąc od gniewu i kiwając pod nos, odparłem:

— Mogę pana nauczyć kto jestem, a zarazem jak mówić należy do ludzi i swą własną sprawę samemu osądziwszy, dać się potém nad drugich.

Przystąpił do mnie ksiądz prezydent, przepro-

siłem go, on mnie jakoś za rękę wywiódł do drugiego pokoju, i pan Denisko zrozumiał przecie, że deptać po mnie nie może, widząc jak się inni obchodzą.

Wyszedłem zaraz z moim kochanym Lipskim, poprosiłem z sobą młodego Skotnickiego, czekali już w mieszkaniu na pana Deniskę, i tegoż wieczora był wyzwany. Bardzo rano, udał się podsędek do pana marszałka trybunału ze skargą na mnie, że go pod bokiem sądu wyzwać śmiałem, ale mu na to odpowiedziano, że bić się w obec trybunału nie wolno, a wyzwać i w pałacu marszałkowskim nikt nie broni. Prosił więc pan Denisko, o *bona officia.*

—Nie tak to łatwo skończyć, odparł marszałek, przeszłego roku pan Ochocki obciął oficera, którego potém postrzelił, człowiek młody i determinowany, nie rychło ustąpi.

Denisko kręcił się, potniał, prosząc ciągle o przejednanie go ze mną. Wezwany byłem rano o ósméj do marszałka, pojechałem z panem Lipskim i Skotnickim, który, jakem powiedział wyżéj, wielkiéj był poczciwości człowiek, przyjaciel

serdeczny pana wojewody, i mnie swemi zaszczycał względami.

Nadjechał i ksiądz prezydent, weszliśmy razem, zastałem pana Deniskę, ale z miną upokorzoną, wezwano mnie do drugiego pokoju, do którego weszli marszałek z prezydentem, Lipski i Skotnicki zostali z panem podsędkiem. Marszałek zagaił sam o załatwienie nieporozumienia, przez kilka minut wypraszałem się od tego, wreście przynaglony odezwałem się:

—Na tak ważną dla mnie instancyę nie mogę odmówić pokoju, ale niech pan Denisko wyzna, że źle zrobił, i niech da słowo, że przeciw panu wojewodzie (między którym a nim wielka jest dyferencya) nigdy nic mówić nie będzie; pod témi warunkami na zgodę przystaję.

Marszałek poprosił pana Deniskę, ja żądałem, żeby też moich dwóch przyjaciół wezwano, stało się zadosyć, powtórzono moje warunki, o których już podsędek wiedział, zaczęto się układać i pan Denisko musiał zeznać, że się uniósł, niewłaściwie postąpił, a dał słowo honoru, że się więcéj tego nie dopuści.

Wyszedłem tedy z tryumfem, pan marszałek wszystkich nas potém na obiad zaprosił. Nazajutrz sprawa była na stole, a dekret, który nastąpił, przeszedł nadzieje nasze, zaczynał się bowiem od tych wyrazów:

— Dekret sądu ziemskiego Krzemienieckiego, jako przeciwny prawu i sprawiedliwości kassujemy, i t. d.

Sąd ziemski ukarany został dwóma tysiącami grzywien, a osóbno pan Denisko za sądzenie własnéj sprawy pod cudzém imieniem cztérma tysiącami: połowa, jak zawsze, przyszła trybunałowi, a Denisko zapłacić musiał, bo mu wartę dodano.

Patrzałem na niego gdy dekret czytano, bladł, czerwieniał na przemiany, twarz mu się przeciągała, mienił się i zżymał, ale musiał milczéć. Dekret ten panu wojewodzie dawał przeszło cztérykroćstotysięcy wyżéj nad krzemieniecki, i zaraz go wyjąwszy posłałem sztafetą do Łabunia. We dwa tygodnie sam pan Stempkowski zjechał do Lublina i powitał mnie z czułością, Raczyńskiemu oświadczył także swą wdzięczność. Zwró-

ciłem mu pozostałe od konferencyi sto dwadzieścia pięć dukatów, chciał ażeby pozostały przy mnie, alem tego przyjąć nie mógł od człowieka, któremu winien byłem wszystko, dochody moje, stanowisko i nadzieje przyszłości.



XL.

Książęta Radziwiłłowie.

Przygotowywała się w Lublinie wielka sprawa, na którą zdaleka cała poglądała z ciekawością Warszawa; toczyła się ona pomiędzy dwóma magnatami, księciem Michałem Radziwiłłem wojewodą i Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, o opiekę nad małoletnim księciem Dominikiem, jedynym spadkobiercą po księciu Karolu, panie kochanku, wojewodzie wileńskim.... Dwory, kuchnie i służba obu książąt zawcześnie przyszły do Lublina; dla księcia Michała najęto pałac Czartoryskich, a dla Macieja Grotusowski, oba gmachy obszérne, z wielkiemi salami. Nad-

jechali oba pretendenci: książę Michał z żoną i synem Antonim, który późniéj ożenił się z księżniczką Pruską, otoczony assystencyą przyjaciół poważną, księżna z dziesięcią pannami dobrego rodu z Litwy, między któremi pięknością szczególniéj odznaczała się starościanka Moriconi; książe Maciéj z wyrównywającym mu prawie dworem męzkim, a żona jego w towarzystwie ośmiu panien, w liczbie których panna Sylwestrowicz wyrównywała prawie pannie Moriconi.

Lublin przybrał postać tak świetną jakiéj oddawna niepamiętano; oba pretendenci otworzyli domy i poczęli przyjmować. Raczyński, plenipotent księcia Michała, kierował całą sprawą, przez wpływy jakie posiadał; ten powiózł mnie tam i zaprezentował księciu, książe przyjąwszy bardzo grzecznie, przedstawił saméj księżnie i kazał być na obiedzie, a razem zaprosił raz na zawsze na wszystkie obiady i wieczory.

Wstawszy od stołu podstąpiłem do księcia z prośbą czy mi pozwoli prezentować sobie, przyjaciela mego pana podkomorzyca Lipskiego, na co z uprzejmością odpowiedział, że rad będzie poznać syna, zdawna mając z ojcem jego znajomość. Ko-

rzystając z tego pojechałem zaraz i w godzinę powróciłem z Lipskim; Skotnickiego stryj przedstawił.

Naprzód tedy zrobiono konferencyą; było to zwyczajem wszystkich panów dla spraw przybywających, że na konferencyą spraszali ile tylko było można mecenasów i młodzieży, dostałem i ja bilet, a Raczyński o Lipskim nie zapomniał. Trzydziestu jeden mecenasów było wezwanych, a do pięciudziesiąt młodzieży, narada trwała dość długo; książe po niéj mecenasom po sto czerwonych złotych ofiarował, a młodzieży po trzydzieści, ja nawet wziąłem sto, chociaż ani słówka w sprawie przy kratkach nie dostało mi się powiedziéć; Skotnicki piękny bardzo kocz i cztéry konie anglezowane, trzysta zaś dukatów drugiego dnia, wszystko to *in vim* stryja, księdza prezydenta.

Książe Maciéj, którego interesem zajmował się pan Wereszczyński, dosyć mi przyjazny, także konferencyą zrobić musiał, zabrał na nią resztki mecenasów i ich dependentów, miałem i ja bilet, bo mi go Wereszczyński przysłać nie zapomniał, ale że się znajdowałem u księcia Michała na na-

radzie już tu być mi nie wypadało. Nazajutrz dopiéro nasz przyjaciel, deputat Jasiński, zawiózł mnie do księcia Macieja, i prezentował wraz z Lipskim; przeprosiłem księcia żem się na zawołanie nie stawił, byłem przez niego przedstawiony księżnie i zaproszony zaraz na obiady i wieczory.

Rywalizowano z obu stron, żeby sobie nie ustąpić, książe Maciéj dał także po sto czérwonych złotych mecenasom, a po trzydzieści młodzieży; deputaci zlatywali się ze wszystkich województw sprowadzani *ad hoc* przez obu książąt.

Przy zaczęciu sprawy, oprócz marszałka i prezydenta było sześciu duchownych, a dwódziestu świeckich, latały sztafety do Warszawy po dwa razy na dzień, to po ordery, to po przywileje na urzęda, to po różne instancye, tak, że w kilka dni większa półowa izby pokazała się we wstęgach.

Trybunał nie śpieszył się z przystąpieniem do rozpoczęcia sprawy, która była z illacyi; strony także robiąc fakcye nie przynaglały, zapewniając sobie tymczasem kréski. Bawiono się bez końca, u obu książąt codzień bywały obiady po sto

osób, na wieczorach najmniéj po dwieście, napływ mężczyzn i dam z Warszawy i prowincyi ogromny, jedni przybywali, drudzy odjeżdżali mieniając się ciągle. Chociaż przy obrachunku większość pokazywała się za księciem Michałem, jednakże tak mała, że gdyby który deputat był uszedł, byłby wielką dyferencyą zrobił. Mój Jasiński był za księciem Maciejem, książe Michał i Raczyński niesłychanie nacierali na mnie abym to przerobił, ale sposobu nie było.

Książe chciał ofiarować tysiąc dukatów, alem się tego pośrednictwa nie podjął... Czego to przecie nie dokaże piękna twarzyczka! Panna Moriconi była właśnie celem zapamiętałéj jego miłości, o czém żem wiedział bardzo dobrze, dałem klucz księciu Michałowi zwierzając mu się tajemnicy. Użyto jéj za sprężynę do pozyskania Jasińskiego, zaczęła być coraz jakoś przystępniejszą, słuchać oświadczeń chętniejszém uchem, wreszcie jako dowodu przyjaźni, wyraźnie zażądała pomocy jego w sprawie księcia wojewody. Raziło go to jak piorun, ale nie mógł się wywinąć i przyrzec musiał; żeby zaś był dowód że dotrzymał, daliśmy jéj kawałeczek pą-

sowego wosku, który miał przylepić na gałce, gdy będzie wotował.

Nakoniec przyszła sprawa na stół; książe Michał wygrał ją tylko dwóma kréskami, przysądzono mu opiekę nad osobą i majątkiem małoletniego księcia Dominika, a gałęczka z pąsowym woskiem przy rachubie się znalazła. Jasiński odebrał podziękowanie i pozwolenie jechania do Warszawy, ale pojechawszy tam umarł. Mogę więc z pewnością powiedzieć, że ja zdecydowałem los téj sprawy; gdybyśmy byli Jasińskiego nie przeciągnęli, byłaby *paritas*, a w takim razie, chociaż jakem powiedział marszałek miał prawo przydaniem drugiéj kréski rozwiązać *paritatem*, marszałkowie jednak nie używali nigdy tego przywileju unikając narażenia się którejkolwiek stronie, i wypadała rezolucya: *obstante paritate votorum judicium remittit causam ad futurum tribunal;* byłoby więc drugie tyle chodzenia, kosztu i roboty. Książe Maciéj zaraz po ogłoszonéj sentencyi wyjechał, księżna już nikogo nie przyjmując nazajutrz także wyruszyła; a książe Michał z żoną przyzostał jeszcze.

Ja, zmuszony będąc odjechać nagle dla ważnéj okoliczności, poszedłem rano do księcia, aby go pożegnać; przyjął mnie nieubrany jeszcze w swoim gabinecie i bardzo mi począł dziękować za przychylność, zamawiając do dalszych interesów swoich. Jakoś wśród téj rozmowy spójrzałem z upodobaniem na makatę nad łóżkiem rozpiętą, co książe zauważawszy, pokazał mi, że była jedwabna, prawdziwa chińska i prześlicznie kolorami i złotem przerabiana; ja też chwaliłem ją bardzo, ale bez żadnéj myśli. Tylko co powróciłem do domu, aż za mną pokojowiec przyniósł makatę i ładunek, w którym było czterysta dukatów z napisem: *na podróż*. Dawszy pokojowcowi dziesięć dukatów, musiałem znów iść księciu dziękować, kazał mi bywać u siebie w Warszawie, najgrzeczniéj mnie pożegnał i na tém się skończyło. Ale to było bardzo liche wynagrodzenie za wyświadczoną usługę; wygrał książe pięć miljonów intraty, co znaczyło do jego szkatuły rocznie grosz dziesiąty przez trybunał zastrzeżony, to jest pięćkroć sto tysięcy; mógłby był dać na raz dwakroć, i tak nawet sądzono, że zrobi.

Xiąże Michał Radziwiłł, był wzrostu miernego, fizyognomii przyjemnéj, chadzał po francuzku, postawa jego i ruchy miały w sobie wiele powagi, i na piérwszy rzut czémś pańskiém go odznaczały; grzeczny i uprzejmy dla wszystkich, nie mógł jednak wzbudzić w tych co go dotykali ufności w szczérość swoją; pod ogładą popularnego człowieka, pan się zawsze przebijał. Żona jego z domu Przeździecka, dama dworu Pruskiego, naówczas około lat trzydziestu mająca, któréj wielką i znakomitą piękność, starannie pielęgnowaną, czas oszczędził, grzeczna i ujmująca, odznaczała się nadzwyczajną władzą niewolenia sobie wszystkich co się do niéj zbliżali.

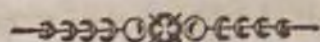
Książe Maciéj, mniéj niż średniego wzrostu, chudy, z głową wygoloną i wąsami zwisłemi, chodził po polsku, na twarzy jego rozlany był jakiś wyraz smutku; powolny w ruchach i mowie, grzeczny, przystępny, chociaż nie tak się bardzo starał sobie ludzi zniewalać, miał powszechną opinię nieposzlakowanéj uczciwości. Żona jego była z domu Chodkiewiczówna, rodzona siostra hrabiego Alexandra, małego wzrostu, trochę ułomna, nie miała ani świeżości, ani wdzięku i piękności, ale

fizyognomiję jé znamionowała szczególniejsza łagodność, która każde jéj słowo i ruch miłym czyniła, głos także nadzwyczaj miała przyjemny; wzbudzała w każdym poszanowanie głębokie, którego nikt odmówić jéj nie mógł.

Trudno dziś zdać sobie sprawę z tego wdzięku, który bez piękności się obchodził, a więcéj ważył niżeli piękność sama i niedostatek jéj sowicie wynagradzał. Dusza piękna była źródłem tego wrażenia jakie on wywierał, zrazu twarz tylko widział nieznajomy przychodzień, późniéj zbliżywszy się, czytał w niéj wewnętrzną dostojność i czuł się potęgą jéj pociągniony do hołdu, z nieopisaną siłą.

Obie księżne zdawały się mieć w rękach czarodziejskie laski, któremi podbijały ludzi: była nią piękność jednéj, dobroć drugiéj, i ta urocza grzeczność obu, którą nadawały wielkie urodzenie, wychowanie staranne, doświadczenie i ciągłe przywyknienie do świata.

Rachowano naówczas w Lublinie, że dwaj magnaci, przybyli dla sprawy o opiekę, w ciągu pięć tygodni, około półtora miljona przeżyć musieli.



XLI.

Miscellanea.

Co do mnie, rok to był najszczęśliwszy w mojém życiu; szło mi wszystko, płynęło, los sprzyjał, uśmiechała się przyszłość, pieniędzy miałem aż do zbytku dla młodego człowieka, i niewiedzieć jak, najniespodziewaniéj spływały do mojéj kieszeni. Już drugi tysiąc dukatów składałem u Kabrego; znaczenie moje w Lublinie codzień rosło, i nie w jednym zazdrość wzbudzało.

Dodam, żem kochał i był wzajemnie kochany, codzień widując bez przeszkody tę, do któréj przywiązywałem się nad życie. Po siedémnasto-tygodniowéj podróży, nareście P. H... powrócił z Gdań-

ska, przywożąc z sobą dwadzieścia cztéry tysiące czérwonych złotych i sukien angielskich za ośem tysięcy czerwonych złotych; obsypał żonę prezentami, dla mnie także był jak najgrzeczniejszy.

Z téj strony byliśmy spokojni, gdyż przybycie jego szczęścia naszego nie zakłócało; od rana do wieczora, siedział w sklepie, w kantorze, lub kręcił się za interesami, ale Jagusia płakała często i cierpiała wiele.

Raz, kiedyśmy byli sam na sam, wskazała mi kufer obok stojący i rzekła:

—Patrz, oto pieniądze (bo w jéj rękach było wszystko) mam brylanty moje: moglibyśmy uciec i spokojnie żyć za granicą.

— Chciałażbyś—odparłem— skazać mnie i siebie na występne tułactwo, ukrywanie się i zgryzoty, które ścigają posiadacza cudzéj własności. Cóż nam dziś przeszkadza kochać się?

— On! zawołała—on! znam cenę tego człowieka, ale go znieść nie mogę; szczęściem, nie zbliża się do mnie; odsunęłam go od siebie.

Poznałem z tych słów, czegom się dawniéj domyślał, że Jagusia spodziewała się zostać matką,

w tym stanie towarzyszyło jéj ciągle jakieś przykre przeczucie i smutek, który codzień wzrastał.

Na domiar mojego szczęścia, miałem jeszcze godnego całego mego przywiązania i czci przyjaciela w Antonim Lipskim; syn to był możnego i znakomitego obywatela z Wielkopolski, od natury uposażony najszczęśliwiéj, wychowany ze staraniem największém, serce miał do uczucia przyjaźni otwarte, wylane i najpoczciwsze, ujął też mnie dla siebie silnie i wzbudził prawdziwy zapał, któremu towarzyszył szacunek. Wspólne mieszkanie łączyło nas prawie nieodstępnie, czyniąc towarzyszami w każdéj dnia godzinie; jedność wieku i skłonność zbliżały nas jak najściśléj, i nie było dla nas przyjemniejszego czasu nad ten, któryśmy przepędzali sam na sam; dobrze to ktoś powiedział, że z takim przyjacielem człowiek nie czuje się w towarzystwie, i nie znosi ciężaru samotności.

Sposób myślenia, chęci, pragnienia i stan serc naszych, były podobne; biedny i poczciwy Antoś mój od półtora roku kochał się zapamiętale w pannie Ewie Targowskiéj. Było ich dwie siostr, z matką mieszkające w Lublinie w pałacyku z bardzo

pięknym ogrodem, będącym przechadzką publiczną, którego najem z pierwszym piętrem czynił cztérysta dukatów rocznie, a wioseczka pod Lublinem z dziesięciu kmieciów złożona, dawała im sześć tysięcy. Mąż pani Targowskiéj, dziś wdowy, człowiek niegdyś majętny, stracił w procesach znaczną fortunę i życie, zostawiwszy resztki tylko żonie i dzieciom. Starszéj siostrze imie było Justyna, młódszéj Ewa, obie pod okiem matki wiodły życie bardzo skromne i przyzwoite; uczęszczały jednak z nią razem na zabawy i były zapraszane wszędzie na bale i festyny do najpierwszych domów. Natura obdarzyła je obie niepospolitą pięknością, ale dla Ewy więcéj jeszcze niż dla siostry była szczodrą, nie zbywało jéj na niczém co oczy i serce pociągać może. Nic dziwnego, że Lipski pokochał tak godną miłości osobę, i przywiązał się do niéj namiętnie, do szaleństwa, a u niéj także potrafił pozyskać wzajemność. Na zawadzie szczęściu stawał tylko ojciec, arystokrata, który pochodząc z dosyć znakomitéj rodziny, wsparty co do fortuny spadkiem po kardynale Lipskim, prymasie korony polskiéj, nie zdawało się by łatwo mógł przyzwolić na takie ożenienie.

Miłość swoją musiał Antoni okrywać największą tajemnicą.

Ani matka, ani córka nie chciały od Lipskiego żadnych darów przyjmować: ale miłość jego znalazła środek pełen delikatności przyjścia im w pomoc i to go w ciężkie długi wpędziło. Tak naprzykład kupił przy mnie piękną karetę z parą końmi do miasta i zapłacił za nią dwieście sześćdziesiąt dukatów, a mnie użył do pośrednictwa w sprzedaży jéj pani Targowskiéj. Musiałem powiedzieć, że ją nabyłem u kogoś potrzebnego za osiemdziesiąt czerwonych złotych i że za tę samę cenę odstąpićbym ją życzył; projekt przyjęto, pieniądze mi zwrócono, a ręka która tak delikatnie świadczyła, na zawsze ukrytą została. Takiemi to środkami tajemniczemi, zasilał tę rodzinę, wyszukując sposobów osłodzenia jéj życia.

Ja byłem z tego względu w położeniu odmienném; ta którą kochałem była bogata, nie potrzebowała ofiar, mąż nic dla niéj nie żałował, nie byłem zmuszony taić się z maluczkim podarkiem, a jeślim czasem owoce lub specyalik jaki jéj posłał, pewnie go nietknęła nie podzieliwszy się ze mną. Ona ze swojéj strony przysługiwała mi się

jak tylko mogła, zarzucała prezentami, i gdybym był dozwolił, byłaby mnie osypała niemi.

Lipski miał od ojca sześćset dukatów rocznéj pensyi, tę mu przysyłał regularnie podkomorzy, po pięćdziesiąt co pierwszy każdego miesiąca, z listem pełnym napomnień i surowych życia prawideł. Pisma te ani stylem, ani uczuciem nie trafiały do przekonania i serca, groźne były zawsze, wpajały tylko posłuszeństwo ślepe, niecierpliwiły rodząc niechęć i odrazę, lub obawę i niepokój.— Czytywałem i ja te listy, które Antoni otwierał z bojaźnią i niechęcią, jeden przebiegłszy łatwo już było odgadnąć treść następujących, bo się w nich zawsze toż samo powtarzało. Listy matki okazywały i mocne przywiązanie do syna i łagodność a dobroć serca, które z nich poznawszy wcześnie, gdym osobiście ją zobaczył, lepiéj jeszcze ocenić potrafiłem.

Antoni Lipski utrzymywał się na dobréj stopie, do tego wyżéj wskazane wydatki, zapędziły go za daleko, pensyi mu wystarczyć nie mogło; zrobił długu około trzydziestu kilku tysięcy, kredytorowie nacierali, on się poczynał lękać, żeby to do ojca nie doszło i niesłychanie się tém gryzł i

martwił. Pisując do ojca i matki, wspomniał im o związkach przyjaźni ze mną i wystawił mnie przed rodzicami swemi w jak najpochlebniejszych kolorach. Tymczasem, gdy dni nasze dzieląc między zatrudnienia ważniejsze, zabawy i miłość, szczęśliwe pędzimy godziny, pierwszego sierpnia przyjaciel mój odbierając zwykłą pensyę, zarazem w liście otrzymał rozkaz stawienie się na święty Roch, na imieniny ojca do domu... Matka dodała z macierzyńską swą czułością, że spodziewają się dosyć gości i życzą aby z sobą przywiózł przyjaciela o którym tyle wspominał, i którego oni poznać pragną.

Podał mi ten list Lipski i spójrzał w oczy żądając mojego postanowienia.

— Przenikam życzenie twoje, odezwałem się— i jadę z tobą.

Tém łatwiéj to mogłem uczynić, że w Lublinie mało mi już pozostawało do roboty, a Raczyński podejmował się resztę za mnie pozłatwiać interesów. Uściskał mnie czule drogi przyjaciel, ale zarazem dodał:

— Nie wiém czy potrafisz znieść dumę ojca mego.

— Nie bój się, rzekłem— damy sobie jakoś radę.

Wyjechaliśmy więc oba na tydzień przed imieninami, a choć na krótko rozstawaliśmy się z naszemi kochankami, bez łez się nie obeszło. Ruszyliśmy na Warszawę, w moim koczyku opakowanym do zbytku garderobą, dla uczciwego pokazania się i wystąpienia, ja nawet nie zapomniałem o mojéj makacie Radziwiłłowskiéj, która późniéj ważną tu odegrała rolę.

W Warszawie stanęliśmy u księdza metropolity, gdzie nam lepsze dano pomieszkanie, gdyż Ks. Rostocki trochę się otarłszy zmienił sposób życia i więcéj dbał o wygody; zaczęliśmy robić wizyty a naprzód od pana wojewody. Ten przyjął mnie jak zawsze najłaskawiéj, zapraszał żebyśmy stanęli u niego i przyjaciela mego jak najgrzeczniéj traktował. Zaraz tam trafiliśmy na obiad, na którym było osób z pięćdziesiąt; najniespodzianiéj spotkałem się tu z Barciem Giżyckim, który wszedł z kasztelanem owruckim, wystrojony w mundurze rotmistrzowskim, przywitaliśmy się serdecznie i razem daléj jezdziliśmy z wizytami. Barcio zawiózł nas do Rybińskich, którzy stali w Wielkiéj kamienicy na Krakowskiém Przedmieściu niedaleko Zygmunta, tu nas nazajutrz na obiad zaproszono.

Wojewoda nalegał ażebyśmy się przenieśli do niego,alem mu się wytłumaczył, że jesteśmy w przejezdzie, i dłużéj nad dni trzy nie zabawiemy; zamówiłem sobie łaskę jego na październik, obiecując przybycie.

— To dobrze, bo mi nawet będziesz potrzebny, rzekł wojewoda.

We trzech tedy lataliśmy po Warszawie, gdzie tylko był kto znajomy: Barcio woził nas do swoich, my do naszych, nie opuściliśmy pani Kolsonowéj, ani P. Lesla, ani żadnego ogrodu. Obiad u państwa Rybińskich był wystawny, oficyalny, ze sześćdziesiąt osób znajdowało się na nim, a między innemi ksiądz biskup Naruszewicz, któremu byłem dobrze dawniéj znajomy. Po obiedzie zaraz oddając mu wizytę, przyjaciela mojego prezentowałem; rozumie się żeśmy byli i tu z Giżyckim. Pani Rybińska, była to wcale piękna osoba, ale o stosunkach jéj przyjacielskich z księdzem biskupem różnie naówczas mówiono; inni domyślali się także ściślejszych jeszcze z Barciem Giżyckim; ale mąż jednak ani pierwszemi, ani drugiemi wcale się nie troskał, i zdawał na to umyślnie nie patrzéć.

Była piękną, jakem powiedział, ale brakło jéj na tém, co dać tylko może staranniejsze wychowanie i urodzenie w domu na wyższéj stopie zdawna ustalonym; nieznajomość świata i dobréj maniery dawała się widzieć w każdym jéj ruchu, trochę rubasznym i nieco zalotnym, a ton ten źle się jakoś zgadzał ze stopniem jaki na świecie zajmowała.

Nie wchodząc w tajemnice tego małżeństwa i stosunków, widziałem tylko najlepszą przyjaźń między obojgiem państwem, biskupem i Barciem moim;— takie to były czasy.

Nazajutrz na obiedzie byliśmy u księcia Michała Radziwiłła, który wziąwszy mnie do swojego gabinetu na odjezdném, mnóstwo grzeczności powiedział i jeszcze sto dukatów ofiarował na drogę.

Porobiwszy sprawunki w Warszawie, na które i dla Antosia worek miałem otwarty, oporządziwszy strzelca w mundur nowy, kupiłem dywan bardzo piękny, szlafrok prześliczny axamitny pikowany puchem erdredonowym i zbiór flakonów z zapachami, jakoż inne jeszcze dodatki do garderoby, a pożegnawszy księdza metropolitę i mego nieocenionego protektora wojewodę, który znał pod-

komorzego Lipskiego, gdy był posłem, ruszyliśmy w dalszą podróż. Korzystając z téj znajomości, prosiłem pana Stempkowskiego, aby dał na ręce moje list niby z powinszowaniem do pana Lipskiego, polecający mnie; wojewoda uczynił to chętnie i bardzo pochlebnie w nim się wyraził; oprócz tego dał mi spinkę brylantową wielkiéj ceny, i guzy kameryzowane do kontuszu, dodając:

— Kogo polecam, chcę, żeby się nie ladajako pokazał.

XLII.

Wielkopolski magnat.

Ruszyliśmy tedy w Rawskie do Janowca, jedénaście mil od Warszawy i pocztą stanęliśmy tam dnia jednego. Janowiec, choć małe miasteczko, wydał mi się pięknie zabudowanym jak wszystkie w téj prowincyi; za nim pokazał się w perspektywie pałac, do którego odwiecznemi lipami sadzona wiodła ulica. Zajechaliśmy w ogrodzony dziedziniec; dwupiętrowy rozległy korpus domu, otaczały dwie duże oficyny, w podwórzu kręciło się sług mnóstwo. Była to godzina wieczorna nad zachodem słońca: weszliśmy na piętro i stanęli w salonie bawialnym, gdzieśmy zastali panią

podkomorzynę, a z nią dwie damy i dwie małe córeczki. Antoś mnie jéj przedstawił.

— Domyśliłam się, rzekła grzecznie — że synowi winnam przyjemność poznania jego przyjaciela.

Z pół godziny potém czekaliśmy na pana podkomorzego, tymczasem pani domu rozmawiała ze mną uprzejmie, z jakąś przyjacielską życzliwością; zaczęto już przygotowywać stół do kawy, gdy nareście wtoczyła się jego podkomorska mość, w kapocie z gwiazdą Orła Białego. Skoczył syn ucałować rękę ojcowską, podaną chłodno i bez wejrzenia na niego; to obejście zgrozą mnie jakąś przejęło.

Stałem przy pani podkomorzynie, która się odezwała, usiłując na mnie zwrócić uwagę.

— Mężu, pan Ochocki, przyjaciel naszego Antosia, z którym już zrobiłam znajomość...

Odwrócił nieco głowę i kiwnął nią, nie poruszając karku; ja też niebardzom się nizko ukłonił, bo już do większych, chwała Bogu, a grzeczniejszych figur byłem przywykły, gdy podkomorzy się odezwał:

— Zajęty byłem wyprawieniem expedycyi do

Warszawy, w któréj, widzę, głupstwa robią... Chcą tron elekcyjny na dziedziczny przemienić, do góry nogami wywracają instytucye stare, cios ostateczny zadają prerogatywom szlacheckim... Myślą ichmość o jakiejś nowéj formie rządu, obedrzeć nas chcą do ostatniéj koszuli, obłożyli podatkami, exakcyami, erygują sto tysięcy wojska bez żadnéj potrzeby, przecież za szczęśliwego panowania dwóch Sasów, nie było tego wszystkiego, a Polska w pokoju nieprzerwanym sześćdziesiąt kilka lat przebyła... Ale tak być nie może, stanę przeciwko temu wszystkiemu, piszę właśnie o tém do mego kuzyna marszałka wielkiego koronnego, do wuja mego pana wojewody, do brata, pana kasztelana...

Zdemonstrował mi się tedy od razu kto był, alem się na to ani słowa nie odezwał. Za podkomorzym wsunęła się w czerni niezmiernéj objętości figura, cała świecąca od grodeturu, który ją okrywał, z licem kraśniejącém czerwonością i jakby rosą kroplami potu skropioném; był to ksiądz proboszcz, który jak się później okazał, tylko tuszą i mięsem mógł się cokolwiek odznaczać.

Tymczasem pani podkomorzyna zapoznawała mnie z panią cześnikową Bromirską, blizką swą

sąsiadką i panną cześnikówną, Emilją Brochocką, siostrzenicą jéj męża. Oddałem się więc całkowicie damom, a podkomorzy sobie politykował z proboszczem, wciąż potniejącym jak w suchéj wannie. Po kawie przyniesiono pontyfikalnie podkomorzemu cztérołokciowy cybuch wiszniowy, zakończony lulką, stambułką wyzłacaną, który on pomaleńku ssał prawie godzinę. Towarzystwo wcale nie było ożywione; ja w najgorszym humorze, Antoś, któremu wciąż położenie jego było obecném, niesłychanie smutny, jak z letargu budziły go tylko niekiedy zapytania ojcowskie, proboszcz milczał i czasem się tylko obcierał, a podkomorzy traktował mnie widocznie jak sprzęt jakiś w domu niepotrzebny, którego niewiedzieć dla czego nie wyrzucają.

Było naówczas zwyczajem, że się i do najbliższego i do najpoufalszego sąsiada przyjeżdzało zawsze przy pałaszu lub przy szpadzie, stosownie do ubioru; przyjechać bez oręża, było to uchybić domowi; ale gospodarz winien był zaraz prosić gościa, aby odjął szablę czy szpadę; tymczasem podkomorzy, choć byłem przy pałaszu i ja i syn jego, ani słowa nam nie powiedział. Gdyśmy

mieli iść do stołu, pani podkomorzyna poprosiła mnie o odjęcie pałasza, co też uczyniłem, ale syn siadł jeść przy szabli.

Przysunąłem się zaraz z początku do panny Emilii: była to osoba dość piękna, około lat dwudziestu mająca, ale trochę pedantka i jak mi się zdało zarozumiała w swych wdziękach i rozumie; chociaż grzeczna, tego wieczoru trochę mnie jeszcze z góry jakoś traktowała. Otworzono drzwi do sali jadalnéj, podkomorzy ani się obejrzawszy ruszył, podkomorzyna podała mi rękę, poszliśmy, i miejsce tuż przy niéj zabrałem u stołu.

Siedziało nas osób ze dwadzieścia różnego kalibru, wąsatych, wysokich, małych, grubych, ciężkich i wysmukłych, guwernantka, trzy panienki, i ów ksiądz proboszcz tak do zbytku tłusty. Podano liche bardzo jedzenie, a żem był zły, nie ruszyłem nic, nie jadłem i nie piłem, zrzuciwszy to na ból głowy.

Po kolacyi, udając bardziéj jeszcze cierpiącego, prosiłem, żeby mi było wolno odejść do mojéj stancyi. Antoś i jeszcze jakiś dworski mnie odprowadzali do oficyny, w któréj dano ciupkę tak malutką, że w niéj ledwie dwa łóżka, połamany stolik i dwa

brudne krzesełka pomieścić się mogły. Zaraz przy dworskim kazałem sobie podać sér szwajcarski, bułkę i wino, które z nami z Warszawy przybyły. Położyłem się potém w łóżku. A Antoś poszedł do rodziców, gdzie bawił bardzo do późna. Gdy powrócił, nie spałem jeszcze.

— Coś robił? spytałem.

— Byłem u ojca i matki, opowiadałem im naszę bytność w Lublinie i w Warszawie, gdzieś ty mnie woził i z kim poznawał; opowiadałem o znajomościach i stosunkach twoich, ojciec mój żałuje bardzo, że cię tak źle ulokował.

— Niech się papa nie trudzi, zawołałem — pojutrze w nocy wyjedziemy.

Ścisnął mnie za rękę przyjaciel.

— Nie rób tego dla mnie, rzekł z uczuciem. Długośmy z sobą gadali w nocy; była na placu i panna Emilija, która jak Antoś powiedział, dała o mnie zdanie żem chłopiec do rzeczy.

Nazajutrz około ósméj, przyszedł dworski z oznajmieniem, że państwo proszą na kawę, a piliśmy właśnie swoją czekoladę.

— Kawy z rana nie pijam, rzekłem; widzisz waćpan że czekoladę już mamy, proszę państwa

przeprosić, że tak rychło służyć nie będę, bo mam co do pisania...

Antoś w chwili się ubrał i zaraz poszedł.

Siadłem w istocie pisać do osób z któremi miałem stosunki, i to mnie zabawiło ze trzy godziny; około jedenastéj wszedł wąsaty, otyły, dobrze ubrany polak, około lat pięćdziesięciu mieć mogący, pan Gosławski, miecznik, zapewne wendeński, z tym tytułem mi się prezentując jako marszałek dworu i zapraszając w imieniu państwa na śniadanie.

— Bardzo przepraszam, odpowiedziałem—mam jeszcze co pisać, a tymczasem prosząc siedzieć, skinąłem na mego strzelca, który podał podróżny likier wrocławski, westfalską szynkę i montowe bułeczki warszawskie. Łyknął pan marszałek, kieliszek likworu.

— A! przedziwny likier, panie dobrodzieju!— zawołał i szynka wyborna... ale muszę odejść, żeby oznajmić, że pan nie będziesz na śniadaniu.

Poszedł tedy, ale w pół godziny powrócił gadatliwy marszałek, obszernie się rozwodząc w pochwałach dla podkomorzego, wznosząc jego dostatki i znaczenie, prawiąc nawet o pannie Emilii,

mającéj sto dwadzieścia tysięcy posagu i t. d. Opowiadał mi potém, ocierając czoło, jak od tygodnia pracuje nad wystawném urządzeniem imienin podkomorzego, że jedenaście lat już jest w tym domu, że w rok bierze dwa tysiące złotych, słowem wyspowiadał mi się całkowicie.

Ja tymczasem przeprosiwszy go, ubierałem się i około pierwszéj przyszedłem na pokoje, gdzie podkomorzynę z jéj satellitami już zastałem; podkomorzy daleko był teraz grzeczniejszy, spuścił nieco z górnego tonu swego, ale zawsze przebijała się w nim niepohamowana duma.

Ja także weselszym byłem i grzeczniejszym starałem mu się okazać; przeprosił mnie nawet za daną niewygodną kwaterę, z powodu, że inne dla spodziewanych gości były rozebrane, ale dodając, że jest już inna dyspozycya. Na to odpowiedziałem:

— Młody człowiek wybornie się wyspać może na gołéj ziemi, pod kotarą niebieską, na prostym wozie odbędzie podróż i rżanym chlebem suchym głód zaspokoi...

Dodałem prośbę, aby niezmieniano dla mnie

porządku w pomieszczeniu osób, gdyż nazajutrz będę musiał pożegnać państwo podkomorstwo.

— A! nie puścimy pana tak prędko! rzekł po raz pierwszy wyciągając mi rękę, którą naturalnie przyjąłem jako wielce zaszczytny i uszczęśliwiający mnie dowód łaski. Wtém pokazała się kareta, zawołano: państwo cześnikowstwo jadą. Był to o lat dwadzieścia sześć od gospodarza młódszy, z drugiéj żony, przyrodni brat pana podkomorzego, nie dawno żonaty, a w roku przeszłym jako deputat zasiadający w Lublinie, dobrze mi bardzo znajomy.

Weszli państwo cześnikowstwo do pokoju, a ujrzawszy mnie, cześnik serdecznie powitał, zadziwiwszy się mocno, że tu znajduje tak niespodzianie, potém zaprezentował mnie żonie i począł przypominać bałamuctwa nasze w Lublinie, z cicha rozpytując o Jagusię i podwójną moją rozpowiadając aferę.

Wszystko to posłużyło mi u pana podkomorzego, począł być dla mnie coraz grzeczniejszym, ja dla niego także; przed obiadem przybyły jeszcze trzy karéty i dwa kocze, a już mnie prezentować nie zapomniano.

Do stołu podałem rękę pannie Emilii i przy niéj się pomieściłem, tuż koło mnie poczciwy cześnik; teraz z nią byliśmy jakoś śmielsi do siebie.—Obiad był dobry, wino stare, użyte miernie dodało dobrego humoru, i nie musiałem się wydawać źle, bo za mną jak za Antosiem strzelec mój w nowiuteńkim mundurze, w całym uniformie, oszamerowany galonami, służbę pełnił i oczy zwracał. Po skończonym obiedzie, do którego było nakryto w pierwszym długim pokoju, więcéj niż na czterdzieści osób, coś się zagadało o miejscowości; począłem chwalić położenie Janowca, porządne miasteczko i ładny pałac.

—Aleś pan jeszcze nie widział wszystkiego mieszkania, odezwał się podkomorzy — muszę sam oprowadzić mojego kochanego gościa.

Poszliśmy z nim tedy po pokojach paradnych, do sali tańców, do drugiéj wielkiéj jadalnéj, które w istocie były wspaniałe i wszystkich ściany obciągnięte albo adamaszkami, albo atłasami w pasy i innemi materyami, krzesła i kanapy tak samo wysłane; pełno zegarów z kurantami, które puszczać kazano. Chwaliłem wszystko, dodając, że to są świadectwa dawności i zamożności domu.

Ze dwudziestu takich pokojów obszedłszy, wchodzimy nareście do jednego, gdzie zastaję mojego strzelca otwierającego następujące drzwi i widzę łóżko moje z zawieszoną nad niem makatą, rozciągnionym dywanem prześlicznym, który kupiłem w Warszawie, stoliki dwa, jeden uzbrojony pistoletami, drugi z gotowalnią, a obok zaraz i łóżko Antosia.

Podkomorzy obrócił się do mnie mówiąc, że mi oddaje wizytę w mojém mieszkaniu; podziękowałem mu, ale prosiłem zarazem półgębkiem, aby mi pozwolił nocować w przeszłéj kwaterze, tę zaś zwrócił komu była przeznaczona. Na to wszakże nie pozwolił, uściskał, przepraszał i kazał pozostać. Makata moja tak go uderzyła w oczy, że się jéj nie mógł napatrzeć; brał w ręce, po kilka razy obracał i przypatrywał się to wierzchowi, to podszyciu, które było także z chińskiéj materyi. Oprócz tego, dostała się cząstka ciekawości i szlafrokowi świeżo kupionemu z axamitu przerabianego, i innym sprzętom. Powróciwszy do pokoju podkomorzy nie mógł się jeszcze odchwalić makaty; — warto ją zobaczyć, warto — powtarzał po kilkakroć.

Pani podkomorzyna zażądała widzieć tę osobliwość, całe towarzystwo było ciekawe, natychmiast chciałem ją kazać przynieść, ale grzecznie oświadczyła, że pójdzie sama; więc ruszyliśmy znowu, a podkomorzy z nami.

Opatrywano, chwalono, podziwiano makatę, potém ów dywan angielski, podkomorzy nietylko, że rozpatrzył szlafrok, ale go brał na siebie, pytając co kosztuje.

Młódsze damy przypatrywały się tymczasem gotowalni, na któréj więcéj tuzina było flaszek z pachnidłami różnémi; pani cześnikowa wzięła jednę, cześnikówna pozwoliła sobie ofiarować *Millefleurs*, a nareście uprosiłem podkomorzynę, żeby mi uczyniła tę łaskę i wzięła także jedną.

Dopiero ku wieczorowi zaczęła się ściągać wataha, zjechało się osób z osiemdziesiąt, wieczór był w sali paradnéj, muzyka nadworna dość dobra, ze dwudziestu tego; popisywali się niektórzy solo. Wśród męzkiéj młodzieży dość się znalazło znajomych mi z Lublina i Warszawy, a nieznajomych Antoś mój poczciwy sprowadzał i poznajamiał ze mną.

Wyprawiono mnie w poselstwie do podkomorze-

go, żeby pozwolił młodzieży jednego angleza i jednego przetańcować mazura; zaraz tedy otrzymawszy sankcyą, puściłem się z czesnikową w pierwszéj parze angleza, a pannę Emiliję zamówiłem do mazura.

Zaledwieśmy przetańcowali, podano wieczerzę w wielkiéj sali; stół ozdobiony był wspaniale taflami, figurkami, żyrandolami i kolacya piękna. Ja wciąż siedząc przy pannie Emilii, tysiące jéj grzeczności prawiłem, za co się wcale nie gniewała— i tak skończył się ten wieczór.

Nazajutrz, tylkom co się przebudził, wszedł cukiernik bieluteńki jak śnieg styczniowy, przynosząc mi w ślicznych naczyniach czekoladę z wybornemi sucharkami, za co dostał dukata.

Musiało się to roznieść po liberyi, bo karki łamali wyścigając się kto mi pierwszy drzwi otworzy, gdy onegdaj jeszcze ani chcieli patrzeć na mnie.

O godzinie dwunastéj zaczęli się zjeżdżać goście; między niemi był pan Łuszczewski kasztelan rawski z żoną, córką i synem, z którym miałem znajomość od Lublina; panny nie piękne ale dobrze wychowane, pan kasztelan i sama pani bardźo

zacni i grzeczni ludzie. Zauważałem, że wszyscy goście byli w mundurach, i ja tedy mundur wziąłem, sam jeden będąc w niebieskim kontuszu, gdy wszyscy mieli pąsowe lub granatowe. Około godziny pierwszéj wszedłem na pokoje, zastałem już osób mnóstwo, złożyłem powinszowanie solenizantowi i dopiero oficyalnie oddałem mu list pana wojewody; trzeba było widzieć jak to jego dumie podkomorskiéj dogodziło! List ten leżał na stoliku przez cały boży dzień, obok koperty z ogromną pieczęcią okrążoną insigniami i orderami, a pan wojewoda tego dnia nie tylko był wielkim przyjacielem podkomorzego, ale nawet cokolwiek mu pokrewnym.

U stołu zasłanego taflami, na których wysypanych było herbów mnóstwo nawet z prymasowskiemi godłami, zaintonował zdrowie pana wojewody kijowskiego podkomorzy, ja miałem obowiązek podziękować, poczém nieprzepomniano zacnego gościa kijowianina. Muzyka przygrywała salwami a moździerze pod oknami stojące, każdy kielich wychylony ogłaszały.

Przed nadchodzącym balem poszedłem do stancyi z Antosiem dla przebrania się na nowo; byliśmy

z nim jednakowo ukostiumowani, żupany niebieskie ze srébrnemi gwiazdeczkami, takąż materyą lyońską podbite kontusze kominiarskiego koloru, na opaszki, spodnie pąsowe atłasowe, na czerwonych warszawskich butach ze srébrnemi podkówkami, pasy bogate, kołpaczki sobole z axamitnemi wierzchami, okrążone grubym kordonem z bulijonami, zakończone kitami z włosów szklannych, czego teraz ani widać, karabele jednakowe warszawskie. Ale ja przesadziłem nie tylko mojego towarzysza, ba, i całą kompaniją, ową spinką od pana wojewody mi daną i guzami kameryzowanemi przy kontuszu. Już grzmiała muzyka i wszyscy byli na sali, gdyśmy weszli z Antosiem w kołpakach jak Rzewuski przed króla, i zdjęliśmy je dopiero w sali na środku; musiały one dobrze odbijać przy twarzach młodych chłopców, ledwie zasiewającemi się ozdobionych wąsami.

Zastałem podkomorzego wśród pokoju, z ziemianami wraz, otaczającego pana kasztelana; widać był w usposobieniu przedziwném dla mnie, gdyż mi wszystkie źródła grzeczności otworzył, i patrząc jak w tęczę to na spinkę moję, to na kameryzowane guzy, to na szablę, zawołał:

—Czekałem z otwarciem balu, na kochanego gościa!

—Ach! zanadto łaski!— odparłem ściskając jak najgrzeczniéj rękę podkomorzego; poczém prosiłem go aby mnie przedstawił przybyłym damom. Zaczął się bal etykietalnie od uroczystego polskiego, który trwał może dwie godziny, po każdéj odbitéj kielich obchodził, wypraszałem się, że tak wiele pić nie mogę, ale byłbym nie wykręcił, gdyby mnie pani podkomorzyna nie wzięła pod swoją protekcyę. Tańcowaliśmy tedy: żadnego mazura, kadryla, angleza, nie opuściłem, a suknie moje choć wykręcać było. Musiałem iść do koszuli się przebierać, i znowu z Antosiem wdzieliśmy żupany białe, a kontusze pąsowe ze złotemi pętlicami i owemi kameryzowanemi guzami, niezapominając o spince, bo ta się i tu przydała. Bogactwo mojéj garderoby dobrze mnie postawiło w opinii; stałem więc jak to mówią na świeczniku; w końcu balu zebrała się młodzież, piliśmy, ja ciągle przy pannie Emilii, prawiłem jéj co zwykle gadają zakochani, słuchała cierpliwie, ręka jéj bezwładnie, ciężko jakoś spoczywała na mojéj, a ku ostatkowi balu uczułem uściśnienie lekkie,

później nieco silniejsze... Antoś tańcował wprawdzie, ale jakby nie swojemi nogami, uśmiechał się, ale w twarzy jego nie było widać prawdziwéj wesołości, zmuszony otwierał usta; spostrzegli to rodzice, stryj i całe towarzystwo. Bawiono się do godziny siódméj rano, wiele osób rozjechało się zaraz, ale ze sześćdziesiąt zatrzymano; pan czesnik zaatakował mnie gwałtownie, zapraszając na trzeci dzień z całą kompaniją pozostałą do siebie; nie mogłem odmówić, tém bardziéj, że mi się nie przykrzyło, a panna Emilija wielowładny swój rozkaz przyłączyła do prośby cześnika.

— Jestem posłuszny pani, jakikolwiek los mnie spotka, odpowiedziałem jéj na boku.

— Nic złego spotkać pana nie może— odpowiedziała mi, i duże niebieskie oczy wlepiwszy we mnie spuściła; ucałowałem rączkę po kilka razy, czułem uścisk, i miły zapach znajomego *Millefleurs*... Coraz więc byliśmy lepiéj, ciągle razem, ja przy niéj i u stołu i w salonie...

Po obiedzie przechadzaliśmy się w ogrodzie, był to piękny zabytek dawnego włoskiego gustu, drzewa strzyżone, szpalery, kanały piękne i dobrze utrzymane, przypominały nie dzisiejsze czasy; ode-

szliśmy nieco na bok z panią podkomorzyną ku miejscu, w którem zakładano angielski ogród nowy, a gdyśmy byli w takiéj odległości, że nas podsłuchać nikt nie mógł, zwróciła się ku mnie:

— Mam do pana interes, odezwała się — chcę od niego posłyszeć prawdę szczérą, spodziewam się jéj i na honor WPana o nią zaklinam.

— Zaręczam, że powiem co tylko honor powiedzieć mi dozwoli— odparłem.

— Dla czego mój Antoś tak jest zgryziony i smutny! Co to jest? czy słaby, czy się zakochał, czy jaka inna przyczyna napełnia go tą niespokojnością, tak widoczną?

— Pani, zawołałem namyśliwszy się—pan Antoni kocha panią z całą siłą wdzięczności i przywiązania synowskiego, odpowiadającą przywiązaniu jakiem go otaczasz; jeśli mu co cięży, czyż sam nie może u nóg matki poklęknąć i szukać pociechy? Zapewnić mogę, że jest zdrów, lecz gdybym był powiernikiem tajemnicy, nie mógłbym jéj zdradzić bez jego zezwolenia; więcéj, daruj pani, powiedzieć nie mogę.

Oblała się łzami, uspokojona jednak po chwili zamilkła i złączyliśmy się z resztą towarzystwa;

znalazłem zręczność opowiedzieć o tém na osobności Antosiowi.

—Już kilka razy zbierałem się wyznać całą prawdę przed matką, rzekł mi na to, ale się obawiam aby z wielkiéj troskliwości nie obudziła gniewu mojego ojca; tego nieszczęścia znieść nie byłbym w stanie. Zazdroszczę twojemu humorowi, dodał—ty możesz być wesołym i trzpiotać się: co wyrabiasz z Emiliją! mówiła mi żeś żak w tym zawodzie, i że w trzech dniach spętała cię zupełnie.

Pojechaliśmy nazajutrz do pana cześnika, z wielkopolską wystawą; przed karetą podkomorską dwóch laufrów biegli trzaskając z harapników całą drogę; a było jéj dwie mile.— Dom cześnikowstwa nowo ukończony, był bez piętra ale śliczny i dosyć obszerny; wewnątrz miał pokoje w najnowszym i najlepszym smaku umeblowane, gospodyni arcygrzeczna, gospodarz uprzejmy, trochę rubacha, stół dobry, wszystko żywą stawiło sprzeczność z domem państwa podkomorstwa. Tam wiele wystawy, wspaniałości, przepychu, tu więcéj elegancyi i dostatku. Przybyła za nami muzyka podkomorzego, i takeśmy tańcowali, że dwa dni i dwie nocy ledwie wystarczyły; wino także było w ro-

bocie. Tu matka przysiadła się tak do Antosia, że nakoniec wyznał jéj wszystkie dolęgliwości swoje; przypuszczono stryja do tajemnicy i poczęto zamyślać jakby powoli ojca przysposobić do przyjęcia téj wiadomości. Matka dała sto czérwonych złotych, stryj drugie tyle z obowiązkiem niezaciągania więcéj długów; powróciliśmy wszyscy do podkomorstwa, ośm dni bawiliśmy tam jeszcze i cześnikowstwo z nami, a codzień przybywało nam kilka osób świéżych, znać zapraszanych z sąsiedztwa.

Jednego razu u stołu, podkomorzy starego wina golnąwszy, w niesłychanym był humorze.

—Co to widzę, zawołał, nasz gość cóś nie odmienia miejsca...

—Za to miejsce, odparłem, życie można oddać— i ucałowałem rączkę panny Emilii, któréj uścisk uczułem.

Po obiedzie oboje podkomorstwo w bardzo pochlebnych wyrazach dziękowali mi za przyjaźń dla Antosia i zapraszali na Święta Bożego Narodzenia; wymawiałem się, że muszę ojca odwiedzić i być w Dubnie na kontraktach, nalegano na mnie przecie, przedstawiając, że na kontrakty

czas będzie i po Swiętach, a po kontraktach do ojca.

Pan podkomorzy obrócił się do panny Emilii:

—Pomóż-że nam prosić gościa, odezwał się...

Panna Emilija skromniutko cóś szepnęła, podkomorzy i cześnik nalegać zaczęli w sposób wielce obowiązujący, Antoś przystąpił do mnie i z czułością ścisnął rękę moją, a ja spójrzawszy na pannę Emiliję, zawołałem:

—Niepodobna mi się oprzéć bez niewdzięczności, rozkazom i powabom, które mnie do tak szanownego domu pociągają...

—Kielicha i starego wina! zawołał podkomorzy.

Spory puhar obszedł nas koleją.

Za dwa dni mieliśmy już wyjeżdżać; panna Emilija sto razy wyciągała mnie na słowo, że przyjadę, w zakład nawet pozwoliła mi zostawić wszystkie flakoniki z perfumami. W dzień rozstania zaprosiłem do siebie marszałka dworu i na ręce jego dałem dziesięć dukatów na liberyą, nadszedł murgrabia pałacowy zapewniając, że to mieszkanie zachowa dla mnie, chociażby najwięcéj było gości, za tę grzeczność potrzeba także było wsu-

nąć dwa dukaty; ale i mój strzelec dziewięcią talarami został nagrodzony z rąk samego podkomorzego. Byłem więc na stopniu oficyalnego konkurenta.

Gdyśmy wyjeżdżali po wieczerzy, wszyscy nas stojąc na galeryi żegnali, a tak obdarzono specyałami na drogę, że nóg w powozie pomieścić nie było można. Pożegnanie było czułe, ja z kocza jeszcze wyskoczyłem ucałować rączki dam, nieoceniona pani podkomorzyna obsypała mnie wielu obowiązującemi grzecznościami, powtórzyłem jéj słowo, że będę na Świętach; a dłonie nasze z panną Emiliją tak się przy rozstaniu skleiły, jak dwie połowy metalowéj kuli, z któréj powietrze wyciągnąwszy, sześciu ich końmi rozerwać niepodobna.

Cóż powiém o pannie Emilii? chociaż w mém sercu nad nią przeważała Jagusia, wszakże jéj piękność i grzeczność wielce mnie ujęły, mówiliśmy o niéj całą drogę i przyznam się, że ja sam zaczynałem o tém. Antoś jako krewny zbliżony do niéj, zapewnił mnie, żem niepoślednie w sercu jéj otrzymał miejsce.

Nieszczęście, które nastąpić miało, a którego

aniśmy wówczas przewidywali, przerwało moje stosunki z domem podkomorzego, i moje tu projekta spełzły na niczém. Panna Emilija była miernego wzrostu, szczupła, twarzyczkę miała małą z noskiem trochę zadartym, oznaczającym zwykle wesołość charakteru, którą i ona obdarzoną była; przy świetle szczególniéj prześlicznie się wydawała. Była to jedna z najpiękniejszych brunetek jakie mi się widziéć trafiło, manierę i obejście się miała miłe i wdzięczne, grała na fortepianie i tańcowała bardzo pięknie.



XLIII.

Ciąg dalszy.

Wszystko zdawało się składać jak najpomyślniéj dla Antosia. Ojciec na wyjezdném dał mu sto czérwonych złotych, oprócz pensyi, za to, że syn dogodził jego dumie garderobą i strzelcem, a nawet dosyć się z nim jakoś obchodził delikatnie; matka i stryj zaręczyli mu, że wszelkiemi siłami starać się będą o to, żeby ojca do umiarkowania nakłonić; smutek go jednak nie odstępował głęboki, ciężki, nieprzezwyciężony, zbliżający się do rozpaczy, jakby przeczucie nieszczęścia, które mu groziło. Przyjechaliśmy ledwie do Lublina, pośpieszył zaraz odwiedzić swoją kochankę: oba

zastaliśmy je wiernemi, a rozstanie zwiększyło tylko moc wspólnego przywiązania.

Tegoż dnia byłem u państwa Targowskich, opowiadałem im o domu Lipskich, o przyjęciu i dostatkach, a panna Ewa rozpłakała się.

—Tém gorzéj dla mnie! zawołała... i miała słuszność.

We dwa blizko tygodnie po powrócie naszym, przybył z Janowca dworski podkomorzego i oddał list panu Antoniemu; byłem przy nim gdy go odebrał, postrzegłem, że się zmienił nadzwyczajnie, oczy stanęły słupem, zadrżał i machinalnie podał mi to pismo fatalne.

List ten zawiérał w sobie co tylko gniew, obrażona duma i przywykły do rozkazywania charakter najprzykrzejszego na papier wylać mogły; wyrzuty, złorzeczenia, przekleństwa, w ostatku rozkaz niezwłóczny stawienia się przed ojcem;—obcy, straciłem przytomność czytając go, Antoś padł na łóżko i w osłupieniu pozostał jak nieżywy. Posłałem natychmiast po doktora, i musiałem mu zlekka opowiedziéć przyczynę tak gwałtownego wstrząśnienia; pan Wytyszkiewicz zrobił

co mógł by go otrzeźwić, wrócił mu ruch, ale chory pozostał bez mowy, milczący jak głaz.

Ja tymczasem zaprosiłem dworskiego do siebie, i jakby przeczuciem spytałem go:

—Nie masz waćpan listu do panny Targowskiéj?

—Mam, ale mi go pan polecił, oddać do rąk jéj własnych.

Począłem naglić żeby mi go powierzył, opierał się, prosiłem, wreście dałem mu zań cztéry dukaty i poprzysiągłem tajemnicę.

Otworzyłem list ten i dreszcz przebiegł po mnie: piekło chyba mogło cóś podobnego podyktować. Podkomorzy lżył niewinną istotę najniegodziwszemi wyrazy, nazywał ją podłą zalotnicą, która przez intrygi i zabiegi wplątała młodego chłopca w swe sidła, dla korzystania z jego majątku i wciśnienia się do rodziny, do któréj przyjętą być nie mogła, wyrzucał jéj ruinę i długi Antoniego, groził prześladowaniem i karą obójgu, słowem najstraszniejsze rzeczy, napisane w sposób najnieumiarkowańszy i bez żadnéj litości.

Antoni dostał gorączki, krew mu puszczono,

postawiono wezykatorye, i trzeciego dnia ledwie do zupełnéj przyszedł przytomności; tymczasem posłańcy od panny Ewy, dowiedzieli się i donieśli o jego stanie, musiałem biedz do nich.

Panna Ewa rozchorowała się także, zastałem ją w łóżku; wiedziała, że jest posłaniec od ojca i domyśliła się wszystkiego, lubo to przed nią i ja i inni taili; choroba Antoniego, oddalenie, niepokój o przyszłość wprawiły ją w niewypowiedzianą rozpacz.

Posłaniec czekał darmo, przekonawszy się, że Antoniego nie zabierze z sobą, umyślił powrócić z oznajmieniem o chorobie; napisałem przez niego do pani podkomorzynéj, wystawując jéj stan syna, a do pana cześnika prosząc, ażeby przyjechał co najprędzéj; z tém wyprawiliśmy dworskiego nazad.

O trzydzieści mil od Lublina nie tak się było można prędko spodziewać odpowiedzi, i to uspokajało nieco Antoniego. Zaczął cokolwiek mówić, układał różne projekta, chciał się zamknąć w klasztorze Kapucynów na resztę życia, to znowu uciekać za granicę; ofiarowałem mu w tym celu wexel Kabrego na tysiąc dukatów i pieniądze

na opłacenie długów, ale kończyło się na tém zawsze.

—Na co mi to wszystko, kiedy Ewelinę stracę...

Były chwile, że w zapędzie myślał o odebraniu sobie życia.

Nadewszystko pragnął widzieć jeszcze raz pannę Ewę, ale tak był zmieniony, tak niepodobny do siebie, żem się go bał wypuścić, aby się nie zdradził twarzą wyrażającą najostateczniejszą rozpacz. Skotnicki i ja na chwilęśmy go nie odstępowali; raz jakby wieszczo odezwał się:

—Ojciec mój zapewne pisał do Eweliny?

—Tak jest, ale ten list jest u mnie i nie został oddany, odpowiedziałem.

Podziękował mi za tę ostróżność i żądał go widzieć; wzbraniałem się zrazu, ale w końcu potrzeba było pokazać; przeczytał, a gniew i rozdrażnienie zdawało się go ożywiać na chwilę, przytomność odzyskał, oczy nawet, które dotąd ciągle jakby nieruchome były, nabrały blasku i życia. Zażądał znowu widzieć pannę Ewelinę, musieliśmy go zawieźć ze Skotnickim, ale spotka-

nia ich z sobą opisywać się nie ośmielę:— cóś w niém było przerażającego, okropnego, cały dzień tam strawił i oderwać go od niéj nie było podobna, sto razy zrywał się jechać, i znowu powracał. Nakoniec wróciliśmy do domu, i zdał się nieco spokojniejszy.

— Chcę mi się spać, rzekł do nas, idźcie na tamtą stronę, spocznę...

Byliśmy znużeni także i poszliśmy się położyć z wieczora; czuwając jednak kilka razy przychodziliśmy słuchać co się z nim dzieje, nadedniem cicho było... Zawołał swego służącego, i posłał go z listem do panny Ewy; już eśmy wówczas nie spali, posłyszawszy wychodzącego, zapytałem lokaja:— Dokąd idzie?— Do panny Eweliny.

Nic w tém nie było dziwnego; w kilka minut potém usłyszeliśmy nagle wystrzał; wbiegliśmy do pokoju pełnego dymu, przyjaciel mój leżał na ziemi z roztrzaskaną głową.

Rozruch się zrobił w całéj kamienicy, ledwiem zdążył zarzucić na siebie kapotę i wyleciałem odurzony, na dole spotkałem Jagusię z rękami załamanemi w rozpaczy i nieprzytomną, odpro-

wadziłem ją do jéj pokoju. Ledwiem ją uspokoić potrafił; przestrach jednak wywarł późniéj swe skutki.

—Zlękłam się o ciebie? zawołała rozpłakana.

Natychmiast pobiegłem do pana Raczyńskiego, bo niepodobna było zostać na téj kwaterze, zaprosił mnie do swojéj i zaraz przeprowadziłem się do niéj. Policya wzięła się do śledzenia, ale ani mnie, ani Skotnickiego nie powoływano; dowiedziałem się późniéj, że znaleziono w pokoju list zapieczętowany do matki, drugi do stryja, trzeci zaczęty do ojca.

W kilka dni stryj nadjechał i natychmiast przyszedł do mnie, popłakaliśmy się oba nad wielką i nienagrodzoną stratą; ojciec nie dał się przebłagać i zmiękczyć, słyszałem późniéj, że matka życiem przypłaciła ten wypadek.

Śmierć ta rozerwała i moje projekta, gdyby nie ona, byłbym na Świętach u Lipskich, a panna Emilija nieochybnie żoną moją; cześnik bardzo mnie zapraszał z sobą, ale niecierpiałem podkomorzego, widziéć go więcéj nie mogłem, przytém musiałem wyjeżdżać do Warszawy dla interesów

księdza metropolity i z powołania pana wojewody; wszystko więc wraz z Antosiem w łeb wzięło.

Z cześnikiem zjechałem się w Warszawie następującéj jesieni; od niego dowiedziałem się, że panna Emilija bawiła w ich domu, a pani podkomorzyna skończyła życie obłąkaniem po stracie syna.

Podkomorzy zdziwaczał aż do furyi, uczucie dumy gniotło go i miotało nim, niepodobna też by robak sumienia nie toczył zakamieniałego serca, a cienie syna i żony nie prześladowały nielitościwego starca.

Nie zaraz zerwało się z panną Emiliją: poczciwy cześnik bardzo mnie zachęcał, abym do domu jego przybył, brał na siebie to, że panna Emilija wyjdzie za mnie, dodawał, że bardzo dobrą partyę na mój rachunek odrzuciła... Moja skłonność do panny, jéj przywiązanie do mnie, posag stu dwudziestu tysięcy, połączenie z świetną rodziną, wszystko to nęciło mnie i pociągało; odpowiedziałem cześnikowi przyrzeczeniem uroczystém, że po kontraktach przyjadę i korzystać

będę z łaski jego i panny Emilii. Tymczasem posłałem przez tę zręczność, przypominając się ogromne pudło cukierków i konfitur od Lessla, z maleńkim bilecikiem proszącym o pozwolenie jak najprędszego widzenia się. Powracając, w Lublinie zastałem list cześnika i w nim grzeczny przypisek panny Emilii z dozwoleniem przyjazdu, ale los mną pokierował inaczéj, i już mi jéj więcéj widziéć nie było przeznaczono. Nadchodził listopad, i gwałtowna potrzeba jechania do Warszawy; napędzałem Raczyńskiego, który kończył interesa i sposobił się do ożenienia, będąc jeszcze od niego daleki. Jemu trybunał ten szczęśliwiéj daleko poszedł odemnie, sprawa książąt Radziwiłłów przyniosła sto tysięcy, z których cztérdzieści miał gotówką, a na resztę pokazywał mi wexel Kabrego; chciał i te dwa tysiące dukatów zawieść do ogólnéj kassy. Dziwiłem się jego powodzeniu, a on szydził z mojéj dobroduszności dowodząc, żem nie umiał z metropolity korzystać; wypadło z narady, żem go powinien był nastręczyć księdzu Rostockiemu, a on miał mi swoich pryncypałów w Lublinie zostawić. Obiecałem mu także pomagać o ile możności u Bukarów.

Zatrzymawszy się jeszcze dłużéj nieco niż chciałem, byłem świadkiem śmierci Jagusi, która w srogich boleściach skończyła życie, i w chwili zgonu widziéć mnie zapragnęła... téj sceny okropnéj opisywać nie będę.



XLIV.

Warszawa.

W kilka dni potém wyjechaliśmy do Warszawy, Raczyński, Skotnicki i ja; na wstępie zaraz powiedziałem metropolicie o panu Raczyńskim i jego wpływach na posłów wielkopolskich (przez siebie, a szczególniéj przez Raczyńskiego marszałka nadwornego, generała wielkopolskiego); przyrzekłem metropolicie, że z nim będąc w przyjaźni skłonię go do udzielenia nam pomocy w toczącym się interesie.

Ksiądz metropolita z wielką skwapliwością zaraz go zaprosił do siebie i wyznaczono nam mie-

szkanie, które, że ja stanąłem u pana wojewody, Skotnicki z nim zajęli. Rączyński więc zastąpił mnie przy księdzu Rostockim: zdatniejszy był bez kwestyi odemnie, pisał bardzo dobrze, stosunki miał wielkie i zręczność niepospolitą; ja protegowany będąc przez wojewodę wraz z nim za interesami księdza metropolity jeździłem, nabywając nowych z wielkopolaninami znajomości. Rączyński trzymał mnie zawsze w odwodzie tak, że byłem im potrzebny i metropolita obejść się bezemnie całkowicie nie mógł.

Znalazłem zaraz w Warszawie Bartłomieja Giżyckiego i złączyłem się z nim, poznawszy ich ze Skotnickim, z którym codzień wieczorami robiliśmy wycieczki po znajomościach dawnych i nowych. Codzień także bywałem na sessyach sejmowych, które przedstawiały widok zajmujący i nowego życia pełen. Na odgłos aukcyi wojsk i nowych reform zbawiennych, przybyli do Warszawy z wiosny jeszcze synowiec królewski książe Józef Poniatowski, który był w służbie Cesarsko-Austryackiéj i od roku szczęśliwie się odznaczał w wojnie z Turkami, o czém świetnie głosiły gazety; Kościuszko, z abszytem brygadyera w służ-

bie Stanów Zjednoczonych Ameryki i orderem Cyncynnata, którego sława wielka poprzedzała, a współczucie powszechne witało w progu domowym.

Dwaj ci znakomici wojownicy przynosili krajowi talenta wykształcone, jakiemi podówczas żaden z generałów naszych się nie odznaczał. Ze służby pruskiéj przeniósł się także do wojska polskiego z tąż samą rangą, książe Wirtembergski, pochodzący z domu w Niemczech panującego, i bardzo wielu oficerów dotąd w zagranicznéj służbie zostających, którym rangi podwyższono.

Książe Józef Poniatowski, okryty został orderami Orła Białego i świętego Stanisława; był to młody człowiek prześlicznéj urody, grzeczny, miły, szlachetny, podbił zaraz całą Warszawę; bogaty sam z siebie, osypywany złotem przez stryja-króla i księcia prymasa, wiódł życie przepychu i wystawności pełne, używając młodości z uśmiechem na ustach. Nie zapomnę nigdy jego ekwipażu; jeździł wówczas angielską bastardą, w niéj pięć ogierów arabskich, powożonych z konia, postylion w pąsowym żylecie, łosiowych spodniach i butach palonych. Ani koni takich, ani furmana więcéj nie widziałem; taxowano ten

ekwipaż dziesięć tysięcy czérwonych złotych. A cóż mówić o koniach wierzchowych, na których książe jeździwał! co to były za śliczności! Książe Józef objął komendę w Wielkopolsce, książe Wirtembergski w prowincyach Małopolskich, Kościuszko na Ukrainie, i stanął kwaterą w Niemirowie.

Wyjeżdżaliśmy nareszcie z Raczyńskim, że projekt umieszczenia metropolity *ritus graeco-uniti* w senacie, od tak dawna ułożony i w deliberacyi zostający, został na nowo podniesiony i przeszedł, szczęśliwie, bo *unanimitate*. Metropolita otrzymał miejsce na zawsze, ale po biskupach łacińskich.

Ksiądz Rostocki wprowadzony został do Izby z uroczystością stosowną, obrzędowie, i miał zaraz u króla audyencyę; powrócił do domu uszczęśliwiony, znajdując tylko, że się źle wydawał z orderem Ś. Stanisława, na wiosnę przez pana Stempkowskiego wyrobionym. Starał się po cichu o wstęgę niebieską, ale miał trudności, bo, jak powiedziałem wyżéj, dla tych prowincyj co się robiło, wszystko szło przez ręce pana wojewody. Zwierzył mi się nareszcie tego, odpowie-

działem, że biorę na siebie skłonienie pana wojewody, aby się do żądania księdza metropolity przychylił, naglił mnie o to bardzo. Powiedziałem o tém Stempkowskiemu.

— Wiedziałem ja dobrze, że się teraz księdzu tego zechce, odpowiedział uśmiéchając się.

Jakoż dał mi zlecenie i warunki swoje, na które ksiądz metropolita się zgodził, a w tydzień potém, gwiazda Orła Białego przyozdobiła piersi księdza arcybiskupa; do mojéj zaś kieszeni wpłynęło dwieście czérwonych złotych.

Sejm tymczasem działał czynnie, toczyła się materya o następstwo tronu, czego arbitralnie decydować nie chciano; zgromadzenie odwołało się do kraju całego. Nadto dochodził już termin lat dwóch prawem zamierzonych trwania Sejmu; rozpuścić go było w tych okolicznościach niepodobieństwem, gdyż bardzo wiele jeszcze ważnych projektów było w deliberacyi, umyślono drugą takąż liczbę posłów wybrać i dołączyć ją do tegoż Sejmu.

Stworzono po powiatach nowe magistratury pod imieniem Komissyj cywilno-wojskowych, które zostawały wyłącznie pod rozkazami, Komissyj Skar-

bu, Wojskowéj, Edukacyjnéj i Policyi, i podniesiono je do wysokiego znaczenia, równając rangą prezesa komissyi z prezydentem trybunału, a komissarzów z deputatami. Prezes miał przy sobie ordynansa, dla niego i komissarzy występowały obwachy, prezentowano broń i bito dwa werble; nadto, prawo za odbycie téj funkcyi w nagrodę wskazywało order. Dla zasięgnienia zdań narodu względem sukcessyi tronu, wyboru posłów i komissarzy cywilno-wojskowych, naznaczono sejmiki po województwach na dzień piérwszy marca następującego roku, i zalecono na nich roztrząśnienie ważnéj kwestyi o tronie elekcyjnym lub sukcessyjnym, o co naturalnie żywo się rozpierać musiano.



XLV.

Dalszy pobyt. Prot Potocki wojewodą kijowskim.

Nie mając nic prawie do roboty w Warszawie, bywałem na sessyach sejmowych, jeździłem z wizytami, na wieczory, i grałem w karty bardzo szczęśliwie. W modzie był ćwik naówczas: grywaliśmy pospolicie w siedm osób, albo u kasztelaństwa Rybińskich, albo u pani starościnéj Olbromskiéj, wysoką niezmiernie ceną, bo po szesnaście złotych z musem. Ćwik ma to do siebie, że palić się i azardować nie można, kiedy karta nie pójdzie; przeciwnie, ostróżnie grając, przy dobréj karcie pewna wielka wygrana. Stawki nie raz bywały po kilka i kilkanaście tysięcy.

U Rybińskich grywał z nami ksiądz biskup Naruszewicz, którego imie, prace uczone głośném uczyniły i dziś poszanowania godném robią; w pożyciu codzienném trudno się było poznać na jego wielkości. Wcale to była niepozorna postać, zaniedbana w ubiorze aż do opuszczenia zupełnego; włosy miał w kolor rudy wpadające, rozsypane, pukiel z tyłu gruby i potargany, fizyognomiję nie piękną ale wesołą; w towarzystwie mówił wiele, bardzo jowialnie, ale do zbytku rubasznie, nie troszcząc się wcale o powagę. W mieszkaniu jego zarzuconém książkami, papiérami, szpargałami różnego rodzaju walającemi się bez żadnego porządku, pył i śmiecia zajmowały wszystkie kąty, łóżko brudne i pomięte podobniejsze było do barłogu nędzarza, niż do miejsca spoczynku tak wysokie miejsce w hierarchii i sławie zajmującego człowieka. Z pozoru nigdybyś nie powiedział, że to ów tłumacz Tacyta, poeta, historyk narodu i ulubieniec królewski, którego imie ma przejść do odległéj potomności; ubogi mnich i wesoły dworak więcéj się w nim zawsze przebijał.

Życie moje upływało bardzo swobodnie i szczęśliwie: u pana wojewody rzadko bywałem i

to tylko na wielkich obiadach, które dawał co wtorku.

Za to co ranka o godzinie ósméj stawić się musiałem do niego i zdać mu szczegółowy rachunek z dnia przeszłego, gdzie byłem, com robił, kogo widziałem, z dodatkiem wszystkich anegdot jakie po mieście chodziły i scen, których byłem świadkiem; taić tylko przed nim musiałem, gdzie grywałem w karty, bo tego cierpieć nie mógł. Pogadanka taka trwała czasem do jedénastéj, następowały wizyty, puszczałem się w świat i późno zwykle powracałem do domu.

Jednego razu przyjechałem na kwaterę około dziesiątéj, chcąc się tylko przebrać i na piknik ruszyć, gdy pan wojewoda śpiesznie wezwać mnie kazał.

—Latasz, zawołał obaczywszy mnie, latasz, i złapać cię nie można.

Leżał na kanapie dla bolu w nodze, w któréj czuł to ból, to chłód na przemiany, cierpiał mocno i skarżył się, niecierpliwiło go to, z dziesięć razy kazał to przykrywać to odsłaniać nogę; chciałem pobiedz po Beklera, ale mi nie pozwolił.

Przyszła mi myśl, pobiegłem do stancyi mojéj,

porwałem ów aksamitny szlafrok, kupiony w Warszawie, grubo puchem erdredonowym przeszywany, ale nadzwyczaj lekki, i nim okryłem mu nogę. Puch ten gęsi, szary, płacił się wówczas po trzy czérwone złote za funt, ale taki jakiś był sprężysty, że dwa funty na największą starczyło poduszkę, a niezmiernie był przytém ciepły. Pod tém przykryciem wojewoda leżał spokojnie kilkanaście minut.

— Bardzo mi tak dobrze, rzekł nareście uspokojony. Z największą nieśmiałością odważyłem się prosić go, żeby mój szlafrok mógł zawsze nogę jego okrywać, przyjął to dobrze, wpadł w humor weselszy i jakoś się rozochocił. Nie mogłem odejść już, póki mnie sam nie odprawi, przeciągnęło się to do godziny blizko piérwszéj, mówiliśmy o różnych rzeczach, ja karetę odesłałem i równie jak pan wojewoda nareście spać poszedłem.

Jakoś w kilka dni potém, kiedym był u pana wojewody, przyszedł służący z oznajmieniem do mnie, o przybyciu księdza kanonika Ossowskiego z wizytą; kazałem go prosić i poszedłem do mego pokoju; zaraz też ukazał się i ksiądz kanonik któ-

rego znałem dobrze, bo był zdawna mentorem przy panu Procie Potockim staroście guzowskim; chociaż trudno go było porównać do Minerwy kierującéj krokami małoletniego Telemaka.

Był to ex-jezuita, wytrawny, pełen ducha jakie to zgromadzenie ożywiało, dyskretny i zręczny, kierował naprzód wychowaniem starościca, potém towarzyszył mu w jego podróżach za granicę. Zacząwszy od jakiegoś komplimentu, ksiądz Ossowski oświadczył mi, że pan Potocki rozumie, że pamiętam dawne jego obejście z ojcem moim i łatwość do układów w czasie kontraktów, ufa więc, że nie odmówię jego prośbie, i zaprasza mnie dziś na obiad.

W zaproszeniu tém czuć było jakiś interes.

—Radbym wiedział, odparłem, co mi pan starościc (tak go zawsze nazywano) rozkaże, jeśli to nie przechodzi możności mojéj, służyć mu będę.

—I owszem, rzekł ksiądz kanonik, pan zupełnie jesteś w stanie wykonać o co go prosimy; a pan Potocki dał mi poznać, że umiałby mu być za to wdzięcznym.

—O cóż idzie, proszę?

Od słowa do słowa pokazało się, że chodzi o

to, by wyrozumieć, czy pan wojewoda kijowski nie odstąpiłby krzesła swojego w senacie starościcowi.

Zabawił dłużéj jeszcze, mówiliśmy obszérnie, i dałem słowo, że będę na obiedzie.

Powróciłem natychmiast do pana wojewody, było kilka osób z wizytami, czekałem, nareście się to rozjechało. Opowiedziałem panu wojewodzie rzecz całą i rozprawę z księdzem kanonikiem powtórzyłem do słowa, ale się obruszył.

—Co? temu żydowi, bankierowi, kupcowi, miałbym odstępować krzesła! nie zrobię tego nigdy; gdybym myślał o tém, wolałbym komu innemu.

—Jeśli pan ma odstąpić komu innemu, wszystkoć to jedno, ten czy drugi, byle dobrze zapłacił.

—Ale wpływ mój na kochanych Kijowian, interesa, które ja tylko robię, wszystkoby to było stracone...

—Król jegomość nadto pana kocha, odparłem, żeby mu to miał odjąć, wszak przy rezygnacyi może Najjaśniejszy Pan osóbną klauzułą zostawić

przy panu, aby interessa województwa szły przez ręce jego.

Zastanowił się nieco.

—Może masz racyą, rzekł po chwili.

—Wpływy pańskie u dworu, dodałem, nie zatamują się przez to; zasiadasz pan w Komissyi wojskowéj, można u króla wyjednać, żeby ranga jego wojskowa generała-lejtenanta z pensyą i rachunkiem po armii, a zatém z większemi wojskowemi honorami, przy nim pozostała.

—Chłopcze, zawołał śmiejąc się, czy anioł czy diabeł podaje ci takie plany?

—Natura rzeczy.

—No, to widzę, więcéj przenikasz niżelim się spodziewał. Czas było ubiérać się i jechać do pana Potockiego, żegnałem się z wojewodą.

—Jedź, jedź, rzekł, ale taki temu żydkowi nie odstąpię krzesła.

Jużem był ubrany, gdy mnie zawołano znów do pana wojewody.

—A co myślisz powiedziéć panu Potockiemu?

—Powiem, żem nic jeszcze o tém panu nie mówił, i powiedziéć nie śmiem.

—Przeciwnie, pokaż mu jakieś podobieństwo,

ale w perspektywie dalekiéj, wyrozumiéj coby mógł dać za to ustępstwo.

U pana Prota Potockiego zastałem osób ze trzydzieści, między niemi Stanisława i Ignacego Potockich; lubo im byłem dawniéj prezentowany, starościc na nowo mnie im przypomniał. Był także Tepper i Kabri bankierowie, z któremi pan Prot miał relacye.

Starościc wziął mnie na stronę, zapytując, jak przyjmuję propozycyą księdza kanonika, i czy może być pewnym, że Stempkowski krzesła odstąpi.

—Zapewnić pana o tém nie mogę, odpowiedziałem, wszakże zdaje mi się, że mogłaby się ta rzecz zrobić przez układy, gdyby w zamian jakieś dogodności ukazać panu wojewodzie.

—Rozumiem pana, jużciż wiém, że darmo nie miałby powodu robić tego dla mnie.

—A wieleby pan starościc, dać myślał? spytałem.

—Determinowany jestem ofiarować ośm tysięcy dukatów, cicho zaś dodał, a panu dobrodziejowi za jego staranie trzysta...

Trochę się obruszywszy, odpowiedziałem:

—Ale ja pana wojewody nie sprzedaję i za

najwyższą cenę! Moja insynuacya nic tu nie znaczy, pan wojewoda zrobi co mu się podoba, ja tylko mogę się podjąć oświadczyć życzenie pańskie, a zarazem jego postanowienie we względzie załatwienia tego interesu... nic więcéj.

Nadszedł pan Ignacy Potocki; starościc odwrócił się do niego.

— Traktuję, rzekł z przyjacielem pana Stempkowskiego o krzesło, powiedziałem nawet co mu dać mogę za odstąpienie.

Pan Ignacy począł ze mną rozmawiać, oświadczył, że i on życzy sobie, aby interes się udał, i zaraz dodał, że zmusi pana Prota, do dania dziesięciu tysięcy dukatów.

— To nasze ostatnie słowo, rzekł, a nie mógłbyś pan traktować z panem wojewodą?

— I owszem, traktować będę.

— Chcemy wiedzieć przez pana, czyby się skłonił do tego, czy ma tę intencyą?

— Nie wiém, zdaje mi się...

Dano do stołu, po obiedzie znowu pan Prot przystąpiwszy do mnie, prosił, żeby mógł być upewniony, czy pan wojewoda odstąpi krzesła; zapotrzebowałem na to dwóch dni czasu.

Powróciwszy do domu wyrecytowałem wszystko panu Stempkowskiemu, dodając, że zauważałem mocne pragnienie pana Prota, i że można się dobrze trzymać. W téj chwili tytuł ten tém bardziéj mu był potrzebny, że się starał o księżniczkę Lubomirską, prześlicznéj urody i bardzo bogatą dziedziczkę, którą późniéj zaślubił. Była to jedna z dwóch córek księcia Kaspra Lubomirskiego, wojewodzica krakowskiego; miał z niéj Potocki córkę jedną, która była za Kalinowskim: matka późniéj rozwiodła się i poszła za Mikołaja Zubowa, który w roku 1792, nogę, w piętę kulą działową rażony, w wojnie polskiéj utracił; druga była za Adamem Walewskim, późniéj rozwiodłszy się za generałem Wittem, i z tym jeszcze rozwiedziona. Księżniczka Lubomirska wnosiła za sobą Zwiatelszczyznę, Rożynszczyznę i Pawołoczczyznę.

Nazajutrz panowie Potoccy, Stanisław, Ignacy, Prot, starosta tłumacki, robili każdy z osobna wizyty panu wojewodzie; dwa dni upłynęły, spytałem jaką mam dać odpowiedź panu Potockiemu.

Odpowiedział:

—Mów, że traktować można, ale wprzód chcę mieć u króla audyencyą.

Nad wieczorem przyjechał Byszewski, generał-adjutant królewski; nie byłem przy rozmowie, ale mi pan wojewoda mówił, że przybył w tym interesie i przez niego prosił wojewoda o audyencyą. Jakoż wieczorem tegoż dnia paź przywiózł bilet zapraszający na jutrzejszy obiad do króla, i audyencyą prywatną w gabinecie na godzinę jedénastą.

Wyjeżdżając do zamku, pan Stempkowski rozkazał mi jechać ze sobą i czekać, jeślibym był potrzebny, żeby mnie miał pod ręką. Trzy godziny czekałem w marmurowéj sali, nareście wyszedł pan wojewoda, na krótko przed obiadem.

—Odjeżdżaj, rzekł, o ósméj będę w domu. Zauważałem, że był w najlepszym humorze.

—Jutro będziemy traktować, dodał klepiąc mnie po ramieniu, a wedle waścinego planu (rozśmiał się) król mi resztę zapewnia... Zkąd to ci te myśli przyszły?

—Skutkiem były życzeń moich dla pana, i u-

fności w łaskę królewską dla niego, odpowiedziałem.

— Jedź-że do pana Potockiego z wizytą i jeśli cię zaczepi, powiedz, że jutro traktować możemy, ale od piętnastu tysięcy dukatów nie odstąpię.

Pojechałem, pan Potocki jak gdyby czekał na mnie, natychmiast wyszedł, w kilka minut byłem z nim sam na sam w pokoju.

Powiedziałem mu naprzód, że możemy traktować, z czego rad był bardzo; nadjechał pan Stanisław Potocki i ułożyli na jutro rozpoczęcie interesu, a mnie zatrzymano na obiad.

Nazajutrz pan wojewoda pooddawał wizyty Potockim, jeździłem z nim, i już nigdzie nie ruszałem się z domu; około szóstéj przyjechał pan Prot z księdzem Ossowskim, trochę późniéj pan Ignacy Potocki.

Układy nie trwały długo: pan Prot ofiarował zapłacić piętnaście tysięcy dukatów, wojewoda aktem urzędowym składał w ręce jego rezygnacyą krzesła swego. Natychmiast tranzakcya została spisana i podpisana na stole, i za assygnacyą pana Prota do Teppera, pojechaliśmy i przy-

wieźli z księdzem Ossowskim w godzin dwie, obliczonych piętnaście worków złota. Pan Ignacy odjechał zaraz, a Prot został u nas na kolacyi; wychodząc zaprosił mnie grzecznie do siebie.

Pojechałem do niego z powinszowaniem, był w humorze jak najlepszym, zadowolniony i uśmiéchnięty.

—Kontent jestem, że to krzesło osiadam, na którém rodzina moja tyle lat dobrze krajowi radziła; ale między nami mówiąc, i pan Stempkowski dobrze na tém wychodzi, ma rangę z gażą i honorami generał-lejtenanta, w Kommissyi wojskowéj przez króla zaręczoną prezydencyą, w straży zaś konsyliarza stopień i zapewnienie, że wszystkie interesa województwa przez niego przechodzić będą... Ja w juryzdykcyach porobię wielkie zmiany, tak w sądzie grodzkim, jak w innych urzędnikach, jeśli panu Ochockiemu mógłbym co konferować, proszę mi rozkazać?

—Na późniéj zachowuję sobie względy pana wojewody, rzekłem z ukłonem, młody jestem jeszcze, a tu mam interesa, od których odstąpić nie mogę.

Wyszedł tedy do drugiego pokoju i przyniósł

mi assygnacyę do Teppera na trzysta dukatów; ceremonijowałem się, ale nakoniec przyjąłem ją. Dał także pakiecik złota dla tego co tranzakcyę pisał, niejakiego Zakrzewskiego, który miał prześliczny charakter, a ubogi był chłopiec.

Powróciwszy do pana wojewody zastałem go w humorze jak najlepszym, zaraz pokazałem assygnacyą i pieniądze dla Zakrzewskiego, pięćdziesiąt dukatów. Zawołano go, młody chłopiec nie posiadał się z radości, padł do nóg wojewodzie, mnie aż w ręce całował, a nazajutrz powiadał, że całą noc spać nie mógł. Zostałem sam na sam z panem wojewodą.

—Nie można wyjść lepiéj, rzekł mi, mam pensyi, jako generał-lejtenant, trzydzieści sześć tysięcy, jako prezes w Komissyi wojskowéj dwadzieścia cztéry tysiące, w Radzie dwanaście tysięcy, i interesa województwa w moim ręku.

—Tak, odrzekłem, ale pan już osiędziesz w Warszawie.

—Postanowienie nieodzowne, nie mam po co do Łabunia jechać, póki się rozbior nie ukończy.

Bawiłem jeszcze parę tygodni w Warszawie; przywiózł zaraz generał Byszewski patent na ge-

nerał-lejtenanta w czynnéj służbie, panu ex-wojewodzie; poszły rozkazy dzienne do wojska, książe Józef z innymi generałami przyjechał z raportem, zaciągnięto warty i ordynanse.

We dwa dni potém, pan Stempkowski dawał pyszny obiad dla księcia Józefa i wojskowych innych, na sto sześćdziesiąt osób, który ze czterysta dukatów kosztował. Licho wié na co kazałem u siebie zawiesić moją makatę; ledwie przyjechał Barcio Giżycki niesłychanie mu się podobała, zaczął ją chwalić u państwa Rybińskich, zażądała widziéć pani kasztelanowa, poleciał do mnie i przywiózł— nuż admirować wszyscy; pani Rybińskiéj zachciało się mojéj makaty, odstąpić nie mogłem, wymawiając się, że ceny jéj nie wiém. Ale Barciowi oprzéć się było trudno: zaraz wynalazł środek, posłano po Jaszewicza, żeby otaxował, ten obejrzawszy, ofiarował ośmdziesiąt dukatów do sklepu. Chwycili się tego, wparto mi tę cenę i makata moja przepadła.

Odebrałem listy od mego ojca; kazał mi, jeśli będę na kontraktach, poodbierać procenta, i długi regestr sprawunków przyłączył; między in-

nemi stało tam ośm łutów herbaty. Chociaż w Warszawie podówczas już były herbaty tańcujące i dawano ten napój na wieczorach, na prowincyi ledwie tego ziółka w chorobach zażywano. U księcia prymasa, na tak zwanych *Cosette*, co piątek od godziny dziewiątéj do jedénastéj trwających, na które mnóstwo osób, osobliwie dam się zjeżdżało, i punktualnie na godzinę przed północą ustępowali wszyscy, oprócz herbaty, dawano lody, cukry i wina, które więcéj miały amatorów od chińskiego napoju.

Sejm zabiérał się do odroczenia dla nadchodzących świąt i kontraktów, ja także gotowałem do wyjazdu; bywałem u księdza metropolity naglądając zdaleka, ale tu Raczyński wszystkim owładnął, i tak skutecznie, że na raz dwa tysiące dukatów mu wyrwał. Na kontrakty miał już dwakroćstotysięcy złotych, za które u księcia Kalixta kupił wieś Czarnę. Tymczasem zdawało się, że jego projekta ożenienia do skutku nie przyjdą; sędzia Bukar rozpytywał mnie, musiałem powiedziéć jak prawda. Nic nie miałem przeciwko niemu, człek był bardzo zdatny i do robienia majątku jedyny, w moich oczach z dwóch tylko źró-

del w tym roku od księcia Michała i od metropolity sto trzydzieści tysięcy złotych zyskał, a prócz tego na innych interesach najmniéj pięćdziesiąt jeszcze zrobił. Żył wystawnie, kosztownie, miał dobrego kucharza, kamerdynera, trzech lokai, ekwipaż, co rocznie z pięćdziesiąt tysięcy wynosić mogło, ale za to stał na pięknéj stopie. Głównie tu na przeszkodzie była ogromna wieku różnica: panna Bukarówna miała lat piętnaście, a pan Raczyński ze cztérdzieści pięć; warto się było zastanowić nad tém.

Nie mając już co robić w Warszawie, zabiérałem się do wyjazdu; pan ex-wojewoda oświadczył mi, że z przykrością przyjdzie mu się ze mną rozłączyć, zapewnił o niezmiennéj łasce, dał polecenia w różnych interesach swoich, nakoniec z prawdziwą czułością, rzekł do mnie:

—O nic bo mnie, nigdy nie prosisz....

Ucałowałem jego rękę i odpowiedziałem:

—Komuż winienem co mam, czém jestem i dalszą perspektywę przyszłości, jeśli nie protekcyi pańskiéj.

—Mój kochanku, westchnął, wielu to ja lu-

dziom daleko więcéj świadczyłem, a nie byli mi wcale wdzięczni... no! no! niepodobna żebyś tam jakiego żądania nie miał, powiedz.

—Jeśli pan rozkaże, z największą nieśmiałością odważam się prosić o order dla stryja mego opata.

—A dla czegoś mi o tém wprzód nie mówił? Mam ja oko na stryja twego, piérwsze biskupstwo dostać musi, i na metropolicie wymożemy koadyutoryę.

Dziękowałem jak umiałem; nazajutrz był w zamku, kazał mi opłacić co należało za order, i we trzy dni stryj mój miał przywiléj i insygnia orderowe, a ja dostałem szambelaniją.

Przymusił mnie jeszcze pan ex-wojewoda przyjąć assygnacyę na śliczny ów koczyk, który w przeszłym roku kupił, i przyłączył drugą na poczwórną karetę dla pani sędzinéj Bukarowéj, z poleceniem, abym ją na imieniny ofiarował.

Pożegnałem pana Stempkowskiego z czułością synowską, on mnie ze zwykłą swoją dobrocią, i przykazał powracać zaraz po sejmikach, a wprost do siebie zajechać. Puściłem się więc w podróż,

mając opieczętowanych w worku na drogę i wydatki dukatów dziewięćset, a wexel bankiera na dwa tysiące, opatrzony zbytkownie w garderobę i różne wytworne elegancye.

Jadąc, przez drogę przyszła mi na myśl panna Ewa Targowska i wprost do nich zajechałem w Lublinie; zastałem dom okryty żałobą, matkę chorą ledwie chodzić mogącą, córkę drugą równie cierpiącą i zmienioną. Zapytałem o pannę Ewelinę.

—Nie masz już jéj dla świata, odpowiedziała mi staruszka ze łzami; zamknięta u panien Sakramentek, od dwóch tygodni wzięła sukienkę zakonną.

Chciałem ją widziéć koniecznie, alem ledwie mógł uprosić matkę, żeby pojechała wyjednać to do klasztoru; zgodziła się na moje żądanie, ale powróciwszy powiedziała mi, że nowicyuszce nie wolno się widywać z obcemi, a sama prosiła mnie bym poszanował jéj smutek i spokojność, nie odświeżając rany. Chciałem choć napisać do niéj, ale i tego mi matka wzbroniła.

W Lublinie parę dni tylko zabawiłem, zajechawszy do Skotnickiego; pooddawałem wizyty znajomym, państwu Weberom, pani Nikorowiczowéj, i innym, nareście nająłem i zapłaciłem u pana Finke całe piętro na mieszkanie, i puściłem się daléj w Kijowskie.

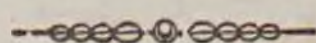
Koniec tomu piérwszego.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Tomu Piérwszego.

Spis Rozdziałów

Tomu Piérwszego.





NIEKTÓRE DZIEŁA
J. I. KRASZEWSKIEGO
Wydane Nakładem i Drukiem Księgarni pod firmą
JÓZEFA ZAWADZKIEGO w Wilnie.

Akta Babińskie. Pismo nieperjodyczne i niezbiorowe. Książeczka piérwsza i druga in 18mo. 1844. po kopiejek 40 kop. 80

Anafielas. Pieśni z podań Litwy.

WITOLORAUDA. Pieśń piérwsza. Wydanie drugie przerobione i powiększone, z 50 drzeworytami oryginalnemi *Wincentego Smokowskiego* b. Prof. Malar. b. Ces. Wil. Uniwer. i z muzyhą do Raud i Piosnek niektórych, *Stanisława Moniuszki.* Edycya przepyszna in 8vo.

Na piękniejszym welinie . . . . . . r. sr. 3 k. 40
Na pap. welin. zwyczajnym bez muzyki r. sr. 2 k. 40

MINDOWS. Pieśń druga. Wyd. przep. 8vo. r. sr. 3 k. —
Na papierze welinowym zwyczajnym. r. sr. 2 k. 50

WITOLDOWE BOJE. Pieśń trzecia i ostatnia. Wydanie przepyszne, ozdobione ryciną na stali, wykonaną w Anglii, wyobrażającą Bohatéra Witolda w całéj postawie, z obrazu oryginalnego w Nieświżu . . . . . . r. sr. 3
Na pap. welin. zwyczajnym z ryciną . r. sr. 2 k. 70
bez ryciny r. sr. 2 k. 50

(Kto wszystkie trzy poemata razem bierze, otrzyma je w najpiękniejszem wydaniu za r. sr. 8 kop. 50).

Diabeł. Powieść z czasów Stanisława Augusta. Wydanie poprawione i przerobione przez autora. 4 tomy we dwóch in 12 . . . . r. sr. 3 k. 30

Dwa Światy. Powieść. 4 tomy we 2ch. in 12 r. sr. 3 k. 30

Dwie Komedyjki. Portret, komedyjka w 3ch aktach. Łatwiéj popsuć niż naprawić, przypowiastka w 3ch aktach in 12. . . . . r. sr. 1

Kordecki. Powieść historyczna 2 tomy in 18 maj. r. sr. 3 k. 30

Ładowa Pieczara. Obrazek wiejski in 12. . . . r. sr. 1

Ostap Bondarczuk i Jaryna. Powieść. Wydanie nowe poprawne 2 tomy w jednym in 12. . . . . r. sr. 1

Każda z tych powieści poosobno po . . . . k. 60

Pamiętniki Nieznajomego. Wydanie drugie poprawne i przerobione przez autora. 2 tomy in 12. . . r. sr. 1 k. 65

Powieść bez tytułu. 4 tomy we 2ch in 12 r. sr. 3 k. 30







